

JAROSŁAW DOBRZAŃSKI O REALIZMIE
POLITYCZNYM ANDRZEJA WALICKIEGO

WOŁONTARIUSZE
WOŚP

W GÓRĘ, W DÓŁ – POLITYCZNY
RANKING ROBERTA WALENCIAKA

MARIUSZ SZCZYGIEŁ
BEZ POCZUCIA OBCIACHU

MY FACHOWCY



CO MORAWIECKI WIDZI W ANDRUSZKIEWICZU?

PRENUMERATA 2019

OD DOWOLNEGO NUMERU

EKONOMICZNA:

Roczna 289 zł
Półroczna 149 zł
Kwartalna 79 zł

PRIORYTETOWA:

Roczna 329 zł
Półroczna 169 zł
Kwartalna 89 zł

POMYSŁ
NA PREZENT
NA DZIEŃ
**BABCI
I DZIADKA**

**W CIĄGU ROKU
8 NUMERÓW GRATIS,
CZYLI 2 MIESIĄCE
ZA DARMO!**

tel.: 22 635 84 10 wew. 120
kolportaz@tygodnikprzeglad.pl



Zamów PRZEGLĄD przez internet na sklep.tygodnikprzeglad.pl

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPŁACAJĄCEGO

nr rachunku odbiorcy
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

nr rachunku odbiorcy c.d.

odbiorca:

**Fundacja Oratio Recta
ul. Inżynierska 3 lok. 7
03-410 Warszawa**

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:

Prenumerata

nr rachunku odbiorcy	Fundacja Oratio Recta	
nr rachunku odbiorcy c.d.		
odbiorca:	ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa	
nr rachunku odbiorcy	7 2 1 0 9 0 2 8 5 1 0 0 0 0 0 0 1 2 0 2 3 9 8 2 1	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		
nazwa zleceniodawcy		
nazwa zleceniodawcy od.		
tytułem	Prenumerata redakcyjna (ekonomiczna lub priorytetowa)	
tytułem od.		

eprasa.pl 763d629123

CYTATY

JERZY OWSIAK,
założyciel i prezes
Fundacji WOŚP

*Ja jestem, jaki jestem.
Nie ma ściemy, bo na
ściemie się nie ujedzie.*
„Playboy”

**WŁODZIMIERZ
CIMOSZEWICZ,**
były premier

*Prezydent Duda jest
samodzielny jak kukielka
w teatrze lalek.*
„Rzeczpospolita”

JAN A.P. KACZMAREK,
kompozytor, laureat Oscara

*Znam Amerykanów.
W każdej chwili nas
poświęcą, jeśli tylko
uznają, że to im się
opłaca.*

„Polska The Times”

MICHAEL COHEN,
wieloletni prawnik Trumpa
*Odkąd zacząłem dla
niego pracować, żyję
w psychicznym więzieniu.
Moim zadaniem było
pranie jego brudów.*
„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Łachudra, byle nasza

Ilekoć pomyślę, że znowu jakiś polityk sięgnął dna, wkrótce słyszę pukanie od spodu i widzę kolejnego dziwoląga, którego winduje się ponad miarę przyzwoitości. Bo i rozum nie ten, i zero kompetencji zawodowych. A jak się taki odezwie, to każdym niezbornym zdaniem dowodzi, jak głęboka jest zapaść wielu szkół średnich. Ale im to oczywiście w niczym nie przeszkadza. Bo jak mówi Adam Andruszkiewicz, „posiadam wyższe wykształcenie”. Partia ma więc gotowy slogan na wybory: „Od Misiewicza do Andruszkiewicza, czyli z PiS do rządu”. I wersję prorodziną „Dla nas rodzina jest najważniejsza”. Bo jak opowiada Kornel Morawiecki, ojciec premiera, to on polecił synowi, by wziął Andruszkiewicza do rządu. Wystarczyły trzy lata pełnej władzy, by sprawującym ją ludziom tak odbiło, że nie widzą niczego zdołanego w rozdawaniu stanowisk państwowych, samorządowych i w spółkach skarbu państwa – zjawisku tak masowym, że w wielu miejscach objęło wszystkich pracowników, od prezesów po recepcjonistki. Reguła nie ma tu żadnych, poza tą jedną, jedyną: wszyscy mają być nasi. Zatrudniani po uważaniu. Mamy więc nieprawdopodobną liczbę stanowisk poobsadzanych wedle formuły: może być łachudra, byle nasza.

Taka polityka kadrowa prowadzi do nieuchronnej katastrofy. Świat jest bowiem zbyt skomplikowany, by nadążały za nim niedouczone prymitywy. A i aspiracje większości Polaków nie pozwolą na zbyt długie panoszenie się takich ludzi.

Ale do tego wszystkiego pewnie by nie doszło, gdyby nie grunt przygotowany przez poprzednią koalicję. I nie pomoże tu powtarzanie, że następcy PO i PSL są o wiele bardziej pazerni i mniej kompetentni. To oczywiście prawda. Mimo to wciąż wielu Polaków wierzy, że właśnie PiS jest dla nich szansą. I trudno im się dziwić. Bo gdzie mają ulokować swoje nadzieje? W PO?

Bez zmiany tej patowej sytuacji, że albo PiS, albo PO, nie ma co liczyć na głęboką odmianę jakościową polskiej polityki. Na taką zmianę, której oczekuje coraz więcej Polaków. Zmontowanie bloku wszystkich przeciwko PiS ma tylko doraźny sens. Na wybory. A co później? Po miesiącu ta składanka od Sasa do Lasa będzie tak skłócona, że opozycyjny walec pisowski ją rozjedzie. I będziemy mieli przyspieszone wybory. Po których PiS może mieć większość konstytucyjną. Tego chcemy? Jeśli nie, nie liczymy, że opozycja, która zmarnowała trzy lata, doprowadzi do takiej zmiany. Nie jest to w jej interesie.

Celem opozycji jest przejęcie władzy. Z tym samym programem i tymi samymi ludźmi, których już raz odsunęto. A kto na to czeka?

BAKOWSKI

POCZTA POLSKA – dość spóźnień prenumeraty

Poczta Polska obciąża nas odsetkami od rachunków za usługi, których nie wykonuje. PRZEGLĄD powinien być dostarczany prenumeratom najpóźniej w środę, tymczasem mamy wiele sygnałów, że nasze pismo trafia do czytelników pod koniec tygodnia, a nawet później. Będziemy rozliczać Poczta Polska SA z każdego spóźnienia. Prosimy więc o informowanie redakcji o otrzymaniu PRZEGLĄDU później niż w środę. Można to zrobić telefonicznie, mejlowo lub listownie.

tel.: 22 635 84 10 wew. 120
kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
PRZEGLĄD, ul. Inżynierska 3 lok. 7,
03-410 Warszawa



W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

8 Robert Walenciak

Polityczne wzloty, upadki, odkrycia
i rozczarowania 2018

KRAJ

14 Teraz ja

Zadziwiająca kariera Andruszkiewicza

18 Sądne lata Małkowskiego

Final seksafery w Olsztynie

20 Po drugiej stronie puszek

Wolontariusze WOŚP

36 Przyjmij mnie pustynio

W eremie ojca Gabriela

ZAGRANICA

24 Konfabulator z Hamburga

Korespondencja z Niemiec

54 Brunatne czerwone

Korespondencja z Wiednia

56 Czekając na buldożery

Korespondencja z Jerozolimy

58 Dobra zmiana w Materze

Korespondencja z Włoch

OPINIE

28 Jarosław Dobrzański

Niedokończony spór o Polskę

34 Adam Bodnar

Prawa dziecka, czyli dekalog Michalaka

KULTURA

40 Jeśli znajdę się nago na Marszałkowskiej...

– rozmowa z Mariuszem Szczygłem

46 Mistrzowie rządzą

Aktorskie błyski 2018

49 Culturalia

66 ArtNoble 2017

SYLWETKI

50 Bez śladu

Wanda Rutkiewicz – legenda himalaizmu

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański

Łachudra, byle nasza

16 Bronisław Łagowski

Zatorscy, Wróble, Gęborysy

27 Jan Widacki

Kilka uwag po sylwestrze

33 Roman Kurkiewicz

Jeden faszysta?

39 Tomasz Jastrun

Był rok 2018

45 Agnieszka Wolny-Hamkało

Żli dorośli

55 Edward Mikołajczyk

Głos za inspektami na Wiejskiej

20

KRAJ



PO DRUGIEJ STRONIE PUSZKI

Wolontariusze WOŚP



JEŚLI ZNAJDĘ SIĘ NAGO NA MARSZAŁKOWSKIEJ...

– rozmowa
z Mariuszem Szczygłem

40

WYWIAD



56

ZAGRANICA

CZEKAJĄC NA BULDOŻERY

Korespondencja z Jerozolimy

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, WITOLD ROZBICKI/REPORTER/EAST NEWS



POLACY – nieufni, ale naiwni

Perły i plewy w kulturze 2018

ANDRZEJ KONOPKA

To był prawdziwy Pożar w Burdelu

SKOPJE

– europejska stolica kiczu

✉ Prestroga dla Biedronia

W wywiadzie „Polityk, który może namieszać” (PRZEGŁĄD nr 52) Robert Biedroń mówi: „Nikt w Polsce nie słyszał o Ann Arbor, a tam jest jeden z najlepszych uniwersytetów na świecie”. Otóż ja, mieszkaniec Polski, nie tylko słyszałem o Ann Arbor, ale nawet przebywałem tam półtora roku jako stypendysta Fulbrighta. Słyszał o tej miejscowości także każdy dobrze wykształcony psycholog z racji istnienia tam sławnego instytutu psychologii i działania naszego rodaka prof. Roberta Zajonca. Nie piszę tych słów z zamiarem wykazania panu Biedroniowi niedoinformowania. Moim zamiarem jest ostrzeżenie popularnego polityka przed formułowaniem przedwczesnych lub niezasadnych uogólnień, jakże szkodliwych w działalności publicznej. Swoją drogą życzę panu Biedroniowi sukcesów wyborczych w polskiej dżungli obywatelskiej, rozkwitłej pełnią beztalencja.

Prof. dr hab. Czesław Matuszewicz

Pan Robert Biedroń mówi o Słupsku tak, jakby przed nim nic tam nie było poza zepsutym powietrzem, gangsterami i nieudacznikami. „Krasnoludki” od ponad 50 lat



organizują w tym mieście Festiwal Pianistki Polskiej, przeszło 30 lat Komeda Jazz Festiwal, 12 lat Niemen Non Stop, 21 lat Konkurs Interpretacji Dzieł Stanisława Ignacego Witkiewicza „Witkacy pod strzechy”. Także przed Biedroniem były remontowane ulice, chodniki itp.

futi



Jakie cechy powinien dziś mieć autorytet moralny

Powinien nie przedstawiać się jako autorytet moralny i nie być moralizatorem. Moralizatorstwo często ocieka hipokryzją, jak u pewnego pośta PiS, który najgłośniejsze mówił o wierności małżeńskiej, a sam zdradzał żonę z kochanką poznaną na miesięcznicy smoleńskiej, i tę kochankę cynicznie mamił perspektywami wspólnego życia.

Franciszek Vetulani

Wiele osób nie potrzebuje autorytetów, gdyż poglądy, także moralne, wyrabia sobie samodzielnie. Inni, którym autorytety są konieczne, dobierają je irracjonalnie. Tak jest z większością autorytetów społecznych: papież Polak, Piłsudski, Wałęsa itd.

Andrzej B. Izdebski



ZDJĘCIE TYGODNIA



„Pomaganie jest dziecinnie proste” – to hasło 27. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, który odbędzie się 13 stycznia. Celem jest zakup nowoczesnego sprzętu medycznego dla specjalistycznych szpitali dziecięcych. Do tej pory WOŚP zebrała ponad 951 mln zł, do szpitali trafiło prawie 60 tys. urządzeń medycznych.



Andrzejowi Mleczce,

Mistrzowi i Ikonie wyrafinowanego humoru,
który od dziesięcioleci śmieszy, bawi, wychowuje i wymusza myślenie,
w Jego 70-lecie kłaniamy się nisko.

100 lat, Jubilacie!

PYTANIE TYGODNIA

Czym Polacy się nie interesują, a powinni?

PROF. MICHAŁ KLEIBER,

*wiceprezes Europejskiej Akademii Nauk
i Sztuk Pięknych (EASA)*

Polacy powinni próbować przekonać polityków, że w obliczu najróżniejszych, często bardzo poważnych wyzwań i zagrożeń, utrzymywanie w społeczeństwie obecnego napięcia emocjonalnego jest igraniem z ogniem. Tylko razem możemy zmienić tę sytuację. Drugim wielkim wyzwaniem, o którym nie myślimy, jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, jak dbając o naszą polską tożsamość, nie zapomnieć o tym, że jesteśmy także Europejczykami oraz obywatelami całego świata. Wynika z tego potrzeba refleksji nie tylko nad naszym krajem, ale także nad przyszłością zgodnej Europy i solidarnego świata.

GRZEGORZ BOŻEK,

*redaktor naczelny miesięcznika
„Dziki Życie”*

Odpowiedź jest prosta – stanem planety, który jest coraz gorszy z winy czło-

wieka. Powszechna dewastacja, mega-konsumpcja, potop śmieci, rabunkowa eksploatacja paliw kopalnych, rosnąca średnia temperatura Ziemi – to niestety nasza codzienność. Nie ma Ziemi nr 2, na którą możemy się przenieść. Dzisiaj misją ludzkości jest ocalić swój jedyny znany dom, czyli planetę. I to powinno obchodzić wszystkich ludzi, również decydentów, rządy, liderki i liderów opinii, przedstawicieli korporacji i firm, czyli tych, którzy wyznaczają kierunek, w jakim zmierzają świat. Wszystko inne – seriale, mecze, eksplorowanie świata, tańce z gwiazdami i losy bohaterów „Ukrytej prawdy” to nieistotne rozrywki egoistycznych ludzi.

ZOFIA MILSKA-WRZOSIŃSKA,

*psychoterapeutka, Laboratorium
Psychoedukacji*

Statystycznie rzecz biorąc, Polacy mało się interesują skutkami (zwłaszcza długodystansowymi) swoich decyzji i działań. Coś kupują, na kogoś głosują (albo nie głosują

w ogóle), coś podpisują, coś powiedzą o kimś w absolutnej tajemnicy, coś wrzucą do sieci, gdzieś pojadą na wakacje („taka świetna oferta była”), jakiś kredyt wezmą, nie przemyślą, nie doczytają, a potem żal, złość i rozczarowanie. Rzadko interesują się źródłami swoich głębokich przekonań i wyobrażeń o świecie – nie sprawdzają ich, ślepo wierzą albo *a priori* odrzucają. Charakteryzują się dość słabą refleksyjnością, nie ciekawi ich, co się dzieje w ich umyśle (np. dlaczego uporczywie trzymają się jakiegoś poglądu, choć wielokrotnie im się nie potwierdził, albo co ich irytuje w zupełnie, wydawałoby się, obojętnych zachowaniach ludzi) ani co się dzieje w umysłach innych. W rezultacie przypisują innym dalekie od rzeczywistości motywy zachowań: „on tak specjalnie powiedział, bo chciał zwrócić na siebie uwagę”, „ona tak się wypindrzyła, żeby inne gorzej przy niej wyglądały”, „oni te zmiany po to wprowadzają, żeby nam wszystkim lepiej się żyło”.

Not. Michał Sobczyk

Polityczne wzloty, upadki, odkrycia i rozczarowania roku 2018

Robert Walenciak

Rok 2018 był zapowiedzią tego, co się zdarzy w roku 2019. W kilku obszarach. Po pierwsze, mieliśmy wybory samorządowe i warto na nie spojrzeć jako na wskazówkę przed wyborami do Parlamentu Europejskiego oraz Sejmu i Senatu, które będą miały miejsce w tym roku.

Po drugie, wydarzenia z minionego roku pokazały ewolucję PiS. O tym pisałem już wielokrotnie i kolejne miesiące tę tezę potwierdzają – szeregi pisowców spełniają marzenia swojego życia, wchodzi w buty Platformy i żyją tak, jak im się wydawało, że platformersi żyli. Wypłacają sobie pensje wzięte z sufitu, zatrudniają rodzinę i znajomych, rozbijają się służbowymi samochodami. Nowa szlachta. Wygląda to karykaturalnie, bo Platforma brała tyżeczką, a oni chochlą, krzycząc przy tym, że im się należy. No, tacy są. Na przedświątecznej konwencji PiS krzychał na nich Jarosław Kaczyński, że nie są Platformą, że są inni, żeby się wzięli w garść. Wychodzi na to, że dobrze ich diagnozuje.

A tłustym kotom się nie chce... PiS już nie jest tak drapieżny jak rok czy dwa lata wcześniej. Już zaczyna ustępować,

wycofywać się z co bardziej denerwujących ludzi pomysłów. Ma dwa ważne powody – kadry chciałyby wreszcie beztroško sobie pożyć, no i mamy wybory, więc PiS musi jakoś zdobyć przychylność politycznego centrum.

W zeszłym roku przetrenowaliśmy też wielotygodniowy czas bez Jarosława Kaczyńskiego, gdy leczył kolano. I mogliśmy się przekonać, że partia rządząca bez swojego wodza jest jak wyrzucony na plażę wieloryb. Owszem, żyje, budzi respekt wielkością, ale na samodzielne ruchy jej nie stać, wystarczy usiąść obok i cierpliwie czekać, aż zacznie się rozpadać.

Trzeci obszar to opozycja. Rok 2018 był dla niej stracony. Uplłynął pod znakiem walki Grzegorza Schetyny o przywództwo zarówno w Platformie, jak i nad całą opozycją. Wyszło to średnio, Koalicja Obywatelska w wyborach samorządowych zyskała 27% poparcia, czyli mniej więcej tyle, ile zbiera sama PO. A Schetyna wciąż jest politykiem, któremu nie ufa rekordowa liczba Polaków. To jak ma prowadzić koalicję do boju?

Rok 2019 zapowiada się więc nerwowo, zwłaszcza że rozstrzygać się będzie bój o kształt kolejnych czterech lat. Kto kogo.

W GÓRĘ

1. JAROSŁAW KACZYŃSKI – cesarz

Głupio wypisywać Jarosławowi Kaczyńskiemu „w górę”, bo niby dlaczego? Od trzech lat jest na samym szczycie, robi, co chce, cóż więc mogło mu przybyć? No ale może jeszcze więcej. Może w Sejmie przemawiać, kiedy chce, poza trybem. Może wycofywać ustawy, nawet tuż przed głosowaniem. Może ściągać postów z dnia na dzień na dodatkowe sesje, bo przecież nikt nie ma wątpliwości, że marszałek Kuchciński takie rzeczy robi na jego polecenie. Może wymyślać od zdrajców, morderców, podwładni i tak będą zachwyceni przenikliwością wypowiedzi i oburzeni na tych, którzy prezesa zdenerwowali.

Zresztą ludzie PiS, przecież za jego zgodą i zachętą, rozkręcają kampanię kultu jego brata, no i – siłą rzeczy – jego samego. Mamy zalew pomników Lecha Kaczyńskiego, swoją drogą wyjątkowo paskudnych, mamy też kampanię dopisywania braci Kaczyńskich do grona liderów Solidarności, osób w niej najważniejszych. Nawet na wystawie z okazji stulecia niepodległości dołożono ich zdjęć, bo podobno „domagali się tego zwiedzający”.

To już kwestia czasu, kiedy pojawią się stawiające go filmy, główne ulice przybiorą jego imię i pojawią się tabliczki informujące młodzież, gdzie był, gdzie pił, gdzie spał. A on będzie to oglądał, zaspokajając pychę. Potem wszystko runie z hukiem, jak to w Polsce bywa, a tłum będzie klaskał radośnie.



2. RAFAŁ TRZASKOWSKI – wunderkind

Wygrał w Warszawie w cuqlach w pierwszej turze, choć nikt się tego nie spodziewał, nawet on sam. PiS w kampanii atakowało go wściekle, przedstawiając jako nieroba i osobę bez charakteru. Prawica tak już ma, że jeśli ktoś nie krzyczy, nie pomstuje i nie macha rękami, dla niej do rządzenia się nie nadaje.

Cudowne dziecko Platformy, miły i uprzejmy, mówi 10 językami, chwali się znajomością z Bronisławem Geremekiem i miłością do Unii Europejskiej. Jak to się ma do

rządzenia wielkim miastem, z budżetem 18 mld zł, tego nie wie nikt, ale wkrótce się przekonamy.

Za mniej więcej rok będzie wiadomo, jak Rafał Trzaskowski sprawdza się w roli prezydenta Warszawy, czy sprawy idą do przodu, czy buksują. A jeszcze później dowiemy się, czy Warszawa zaspokaja jego ambicje, czy też są one większe. Autostrada stoi otworem. Pytanie, czy kierowca chce i potrafi nią jechać.

3. WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ

– zmiana miejsc

PiS mocno go w wyborach poraniło, ale przecież nie rzuciło na kolana. Co prawda, w wyborach samorządowych stracił Lubelszczyznę i Świętokrzyskie, ale Mazowsze obronił. Dobrze i to.

To była zresztą dramatyczna gra, radnemu PSL Leszkowi Przybytniakowi, sadownikowi spod Grójca, PiS proponowało stanowisko wiceministra rolnictwa, jeździli do niego w tej sprawie Stanisław Karczewski i Jacek Sasin. Innemu radnemu proponowano stanowiska w spółce skarbu państwa. Licytowano wysoko.

Ostatecznie PSL i sam Kosiniak-Kamysz wyszli z tego obronną ręką. On zaś rok zakończył w taki sposób, że gazety właśnie o nim piszą, że powinien być liderem opozycji i jej kandydatem na premiera, zamiast Grzegorza Schetyny. Bo tak mówią Polacy, tak wskazują sondaże – 23:10. Faktycznie, gdyby ktoś spytał osobę spoza Polski, kto po wyglądzie i zachowaniu bardziej pasuje do partii mieszczańskiej, a kto do chłopskiej, byłoby wesoło.

4. JERZY OWSIAK – człowiek Orkiestra

Jego Orkiestra grała już 26 razy, teraz zagra po raz 27. I ciekaw jestem, czy pokaże to telewizja Kurskiego.

Jeśli chodzi o mnie, wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego Orkiestra wzbudza taką nienawiść na polskiej prawicy i w polskim Kościele. Oni dostają szału na jego widok, oskarżają go o niestworzone rzeczy. Boli ich, że raz w roku rządzi na ulicach miast. O co chodzi? O pieniądze, które zbiera, a oni nie potrafią? O to, że ludzie mu ufają? O zwykłą zawiść? Nie wiem.

Ta zazdrość jest obrzydliwa i nieskuteczna. Obrzydliwa, bo jak może przeszkadzać sprzęt medyczny, który Orkiestra kupuje szpitalom? Nieskuteczna – bo im bardziej pisowcy i prawica go hejtują, tym więcej zbiera, tym bardziej rośnie. W roku 2015, ostatnim rządów PO-PSL, zebrał 53 mln zł, a w roku 2018 – 126 mln zł. Ma PiS wpływ na Polaków.

5. TADEUSZ RYDZYK – numer 2

Po Kaczyńskim jest w obozie władzy człowiekiem numer 2, któremu na dodatek prezes nic nie może zrobić. Udzielne księstwo, sprzymierzone, ale inne. Rydzyk jest świadom tej siły i egzekwuje to, co mu się należy. Przy każdej okazji domaga się pieniędzy, a ministrowie, prezesi spółek itd. pokornie uruchamiają przelewy. Na wyścigi. Ile już przelali? Różne są wyliczenia, każde imponujące. Ma państwo polskie gest.

Za to Tadeusz Rydzyk organizuje władzy uroczystości. Premierowi, ministrom. Tak zwane urodziny Radia Maryja. A oni pędzą na nie i płasają przed nim, z Morawieckim na czele, trzymając się za ręce, śpiewając „Abba, Ojciec”. Nie sądzę, by robili tak z głębokiej wiary w Pana Boga ani nawet z politycznej rachuby. To raczej dowód braku refleksji, poczucia estetyki, no i naturalny w tym obozie odruch lizusostwa.



W DÓŁ

1. ANTONI MACIEREWICZ – ścigany

Jarosław Kaczyński zamknął go do szafy pancernej i głęboko schował od niej klucz. Zrobił taki psikus opozycji, która teraz nie ma kim straszyć. Bo pamięć Polaków to dwa miesiące albo wieczność.

Oczywiście Kaczyński pewnie drży, że Antoni z tej szafy mu wyskoczy, ale to i tak jest mniejsze ryzyko niż puszczenie go w czasie kampanii samopas. Tym bardziej że Macierewicz jest mocno poobijany. Ściga go Tomasz Piątek dwiema książkami i pyta, czy był agentem SB. Szydzą z niego media, pytając, co z uzbrojeniem polskiej armii i z katastrofą smoleńską. Nawet najwięksi fani PiS przyznają, że lepiej bez Antoniego niż z Antonim.

Patrząc na jego dogasającą karierę i nie mogę się opanować od myśli, w jaki sposób ten mitoman, co widać na kilometr, mógł rozwalić wywiad, armię, a potem się otrząpać i jakby nigdy nic opowiadać nowe bzdury.

2. MAREK KUCHCIŃSKI – uniżony sługa prezesa

Marszałek Sejmu to w III RP przez lata była funkcja kluczowa; wyrósł na niej niejeden polityk. A tu przyszedł Kuchciński i zeszło powietrze. Dziś marszałek Sejmu jest podrzędnym urzędnikiem w państwie PiS. Można rzec, że Polska wstała z kolan, ale Marek Kuchciński na kolana padł. A i Sejm stracił na powadze, nic ważnego tam się już nie dzieje, pisowcy przegłosowują, co chcą, a opozycja ma 30 sekund na zadanie pytania.

Co ciekawe, im mniej Sejm w Polsce znaczy, tym bardziej Kuchciński go uposaża. Dziś jest chroniony jak twierdza, szlabany, kontrole, straż marszałkowska ma dodatkowe uprawnienia, nowe, galowe mundury, dostała też szable, 15 sztuk za 70 tys. zł. Widzę tu ewolucję w kierunku państw Trzeciego Świata, tych różnych dzikich dyktatur. Im która słabsza i brutalniejsza wobec swoich, tym bardziej starała się wyróżnić kolorem mundurów i rozbudowanym ceremoniałem. I proszę, Kuchciński w tę stronę zmierza. ▶

► 3. ADAM GLAPIŃSKI – człowiek z gestem

Ten to się bawi! Prezes NBP, prawa ręka Jarosława Kaczyńskiego od spraw biznesowych, jest jak szef klubu Tęcza.

Swojemu uczniowi Markowi Ch. załatwił posadę szefa KNF. Żonie Marka Ch. z kolei dał w NBP pracę dyrektorki departamentu. Jej zastępczynią zrobił byłą żonę Mariusza Kamińskiego, ministra koordynatora służb specjalnych. A jego syna Kacpra wysłał do Waszyngtonu, do Banku Światowego, z pensją 500-600 tys. zł rocznie.

A żeby było weselej, ma dwie blondyneczki, które nie odstępują go na krok i podobno trzęsą NBP. To dyrektorka Gabinetu Prezesa NBP Kamila Sukiennik i dyrektorka Departamentu Komunikacji i Promocji Martyna Wojciechowska. Nie skąpi im złotych, bo obie dorabiają w radach nadzorczych. A oprócz tego pobierają pensje – Wojciechowska 65 tys. zł miesięcznie.

Tak oto lis urzęduje w kurniku. Jest bogato, wesoło i w swoim towarzystwie.

4. MAREK CH. – czyli szumidło

Kto by pomyślał, że losy, no, może nie kraju, ale na pewno paru instytucji zmieniła źle działająca zagłuszarka. I że dzięki temu Leszek Czarnecki mógł nagrać rozmowę z szefem KNF. Bo gdyby nie nagrał – nie byłoby sprawy. O tej rozmowie już pisaliśmy, podczas niej została złożona Czarneckiemu propozycja nie do odrzucenia – albo za 40 mln zł zatrudni wskazanego prawnika, albo państwo zabierze mu bank i da komuś innemu, dokładając do tego 2 mld zł. Ostra pogrywka. I teraz pytanie – jak często władza tak pogrywała? Z iloma biznesmenami? Z iloma się udało? I jakiemu bankowi chciała podarować Getin Bank, dorzucając 2 mld zł?

Na razie wszystko w rękach Marka Ch. (on sam wszystkiemu zaprzecza) i śledczych.

Tak oto za sprawą szumidła poznaliśmy metody działania władzy, jej mentalność. I mogliśmy się przekonać, w jakim kraju żyjemy. Mocne? Nie dla wszystkich. Wi-

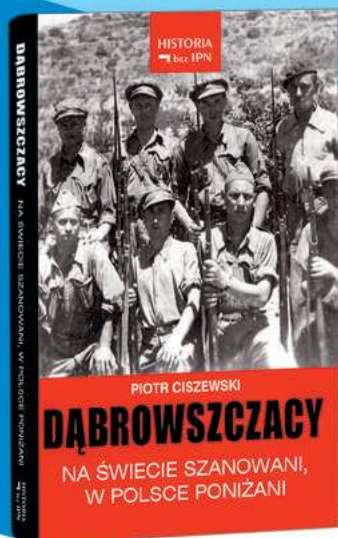


ceminister Jadwiga Emilewicz, pytana w mediach o tę sprawę, stwierdziła, że to żadna afery, tylko wypadek przy pracy. No faktycznie, wypadek – maszyna źle zadziałała.

5. PATRYK JAKI – dres

Miał zdobyć Warszawę, ale się nie udało. Jaki się dziwi i szuka powodów tej klęski. Proponuję, żeby spojrzeć w lustro, posłuchał swoich występow, opowieści o liniach metra, XIX dzielnicy itp. Może zrozumie, dlaczego ludzie nie chcieli tego bełkotu.

Polska prawica za jeden z filarów swojej politycznej tożsamości uznała niechęć do imigrantów, elegancko tłumacząc to różnicami kulturowymi. Że ktoś jest obcy, nie pasuje do mieszkańców i nigdy się nie zintegruje. Że miejscowi nie chcieliby obok niego mieszkać. Co tu rozwijać, ta dość wątpliwa teza o różnicach kulturowych akurat w przypadku Warszawy i Jakiego wiele tłumaczy.



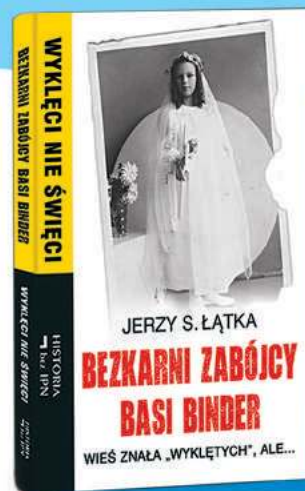
NASZE KSIĄŻKI NA ZIMOWE WIECZORY!

Autor demaskuje fałszerstwa prawniczej propagandy. Pokazuje ochotników i ochotniczki z Brygad Międzynarodowych walczących w Hiszpanii. Ludzi ideowych i odważnych, a przy tym niepozabawionych wad. Ich losy były niezwykle powikłane i dramatyczne.

49 zł

Mordowali z zimną krwią. Kobiety zakopali w pobliskim lesie. Wieś znała zabójców, ale ci przez lata byli bezkarni. Dziś uchodzą za bohaterów AK. Za „żołnierzy wyklętych”.

45 zł



Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy PRZEGŁĄDU 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wybierz sposób dostawy:

- GRATIS wysyłka poleconą Poczta Polska
- dostawa kurierem FedEx 14,90 zł
- darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

NA ZERO

1. ZBIGNIEW ZIOBRO – delfin czy pirania?

Zerem to on nie jest. Od roku słyszę, że Zbigniewa Ziobro mają dość i Jarosław Kaczyński, i Mateusz Morawiecki, i Andrzej Duda, a on trwa i trwa... I jest coraz mocniejszy.

Ziobro zbudował się na dwóch elementach. Po pierwsze, jest mocny w prokuraturze. A im więcej spraw tam trafia, tym więcej od niego zależy. Banał? Śledztwo w sprawie KNF może uderzyć w Adama Glapińskiego i w całe PiS, ale może pójść bokiem. A śledztwa w sprawie reprivatyzacji warszawskiej? Jest ich 155. Sam Jakub R., który od końca stycznia 2017 r. przebywa w areszcie, może uderzyć zarówno w Platformę, jak i w Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, osoby ważne w PiS. Ziobro jest więc szeryfem i ma broń, z której może strzelić albo nie.

Po drugie, jest mocny na prawicy PiS, ma otwartą drogę do o. Rydzyka, więc spacyfikować tak łatwo się nie da. I Kaczyński ma z tym zgrzy. A będzie miał większy, bo przecież ambicje Zbigniewa Z. sięgają przywództwa na prawicy, a ci prokuratorzy czy różni narodowcy to narzędzia, których używa. I których nie zawaha się uruchomić, gdy uzna, że nadeszła pora.

W tym wyścigu po schedę po Kaczyńskim, który przecież trwa, bierze udział przynajmniej kilku zawodników. W roku 2018 Ziobro był najskuteczniejszy.

2. JAROSŁAW GOWIN – korekta kursu

Lisek chytrusek. Cichutko, bez rozgłosu swoje robi. Już się z niego nabijano, że ta jego partia w całości zmieści się w jego ministerialnym gabinecie, już wieszczono, że odpływa w niebyt. A tu, proszę, obronił się, nagle wyrósł na sztandar zwrotu PiS ku centrum. I nieważne, czy ten zwrot jest, czy go nie ma, Gowin go firmuje.

„Ludzie nie chcą konfliktów i gwałtownych zmian. Nie chcą rewolucji politycznych ani obyczajowych. Oczekują natomiast od całej klasy politycznej, że pozwoli im spokojnie cieszyć się owocami szybkiego wzrostu gospodarczego, tworząc przewidywalne reguły prawne. Nawet wśród wyborców PiS coraz większą wagę przypisuje się kwestii praworządności”, tłumaczy. I nawołuje do „racjonalnej korekty kursu”.

PiS w rok wyborczy wkroczyło jako formacja rozedrgana i skłócona – bo wszyscy walczą o miejsca na listach wyborczych, o pieniądze na kampanię itd., a tu nic nie wiadomo. Jarosław Kaczyński jak sfinks milczy i czeka. W takiej atmosferze rośnie pozycja tych spokojnych, którzy nie tracą zimnej krwi. Można więc powiedzieć, że czas sprzyja Gowinowi.

3. JOACHIM BRUDZIŃSKI – ciamajda roku

Kaczyński zrobił go ministrem od policji, więc poczuł wiatr historii. Ach, jak się napinał, jaki to twardziel, i chwalił, czego to nie może! Policjanci poprosili go zatem o podwyżkę. Fora! Brudziński nie chciał nawet z nimi rozmawiać! Skoro tak, to przed 11 Listopada poszli na L4. I rzucili Joachima na kolana. Już wiadomo, kto komu robi łaskę.

A teraz, jako wspomnienie roku 2018, Brudziński zamieścił zdjęcia z Jarosławem Kaczyńskim, z którym spędzał wakacje (a nie lepiej z rodziną?). Na policjantach wrażenie robi to średnie, ale w PiS – ho, ho... Można te zdjęcia

obejrzeć, Kaczyński patrzy spode łba na tle jakichś zachwycanych wujków, z Brudzińskim na czele.

To marnie, że takie zdjęcia dziś wystarczają za dowód siły i wpływów.

4. MARIUSZ BŁASZCZAK – melduję posłusznie!

Prezes rzucił go ze spraw wewnętrznych na obronę narodową. Żeby wyczyścił ministerstwo z Macierewicza i jego ludzi. No i żeby kupił jakieś uzbrojenie.

Z wymianą ludzi poszło szybko, z zakupami gorzej. Zdesperowany Błaszczak był już gotów kupować austrijskie fregaty (30-letnie – prawie nówka), ale w ostatniej chwili zablokował go premier Morawiecki, skąpiąc grosza na obronę narodu.



Błaszczak chwycił się więc czego innego – MON ufundowało Polakom 100 ławek niepodległości, za 4 mln zł. Żeby usiedli i poculi się dobrze. Bo co to za różnica: fregata, czotg, ławeczka... I tak na końcu chodzi o samopoczucie narodu. Wyjaśnił to zresztą Michał Szułdrzyński z „Rzeczpospolitej”: „4 mln zł wydane na ławeczki rozliczymy jako wydatki na obronność i pochwalili nas Donald Trump, że polskie ministerstwo obrony wydaje więcej niż inni członkowie NATO. Ławeczki mają też głęboką sferę symboliczną: mogą stać się świetną metaforą rządów PiS. To połączenie patriotycznego wzmożenia, rocznicowego nabzdyczenia ze zwykłą tandetą, brakiem kompetencji i dobrego gustu oraz wydawania milionów z państwowej kasy zupełnie bez sensu przecież idealnie pasuje do dobrej zmiany. I jest świetnym podsumowaniem ostatnich trzech lat”.

5. MAREK SUSKI – dobry wojak

Przypomina mi Szwejkę, nie tylko z urody, ale i z pogodnego usposobienia i nienachalnej inteligencji. Może dzięki temu prezes Kaczyński powierza mu odpowiedzialne zadania, bo wie, że ze strony Suskiego żadne knowania czy skomplikowane gry go nie czekają.

► W obecnym rozdaniu Suski jest sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, czyli patrzy Mateuszowi Morawieckiemu na ręce. Takie oczy i uszy preza. Roch Kowalski XXI w.

Nie dziwny się więc, że Marek Suski dorobił się rekordowej liczby memów i anegdot. Ja najbardziej lubię tę: Leży Marek Suski z Beatą Mazurek na plaży. W pewnym momencie Beata Mazurek go pyta:

- Marek, a co jest dalej: słońce czy Radom?
- Na to Marek Suski odpowiada:
- Beata, widzisz słońce?
- Widzę.
- A widzisz Radom?
- Nie.
- No właśnie.

NADZIEJE

1. ROBERT BIEDROŃ – szczupak

Wyskoczył gdzieś z boku, dość niespodziewanie, i robi furorę. Na jego spotkania przychodzą setki sympatyków; ani Schetyna, ani Morawiecki tyle nie ściągną, choćby popękali. Biedroń ma umiejętność prowadzenia tych spotkań, rozmowy, nikogo nie udaje, jest konsekwentnie lewicowy. I już odebrał PiS monopol na kontakty ze zwykłymi ludźmi, a Platformie monopol na Europę, nowoczesność i postęp.

Pytanie nasuwa się więc samo – co z tego będzie? Wystrzał z kapiszona? Palikot bis? Nowa lewica? A może coś większego?

I następne pytania: czy Biedroń wytrzyma tempo, które sobie narzucił? I czy przetrwa ataki, bo nie ma wątpliwości, że za chwilę rzuci się na niego cały polityczny establishment. Z drugiej strony lepiej, jak się rzuci, niż gdyby przemilczał.

Na razie to najciekawsza inicjatywa polityczna ostatnich miesięcy. Spoza establishmentu, tych zasiedziały od kilkudziesięciu lat polityków, przyzwyczajonych do magla PO-PiS. Szczupak w stawie z tłustymi karpami. Da im radę?

2. WOJCIECH SMARZOWSKI – nasze lustro

Gdy nakręcił „Wołyń”, polska prawica chwaliła go bez umiaru i mało brakowało, by zaczęła wołać, że wieszczę itd. Gdy nakręcił „Kler”, ci sami ludzie pluja mu pod nogi i pytają, kto na takie bluźnierstwa dał mu pieniądze. Ludzie mu dali. „Kler” obejrzało rekordowe ponad 5 mln widzów, kolejne miliony obejrzą film na DVD i w telewizji. Tego już się nie zatrzyma. Może abp Gądecki wołać, że „Kler” to współczesna odmiana „Żyda Süssa” – krzywdy Smarzowskiemu nie robi. I to on jest śmieszny.

Smarzowski jest rzadkim w dzisiejszym kinie przypadkiem twórcy, który chce kręcić nie dla pieniędzy (choć „Kler” miliony zarobił), ale to, na co ma ochotę i co uważa za ważne. Ze świetną obsadą. A jak dowodzi sukces jego filmów, potrafi te polskie bóle wyciągnąć na światło dzienne i sugestywnie pokazać. Jak w lustrze. Dlatego tak boli.

3. DONALD TUSK – pięć lat minęło

Słaba to nadzieja, ale trzeba ją opisać. Niby go nie ma, a jest. To puści jakiś komentarz, to przyjedzie na przesłuchanie przed sejmową komisją i już o nim bębnią, ku złości Kaczyńskiego i rozpacz Schetyny.

Wyraźnie szykuje sobie powrót. Że na białym koniu itd. Donaldzie! Nic z tego nie będzie! Pięć lat minęło, tęsknią za tobą jakieś grupy działaczy PO, jakieś grupy dziennikarzy, tłumy to nie są. Lepiej pamiętane są ośmiorniczki i opowieści o ciepłej wodzie w kranie, które maskowały nicnierobienie.

A ty również odwykłeś od nadwiślańskich zwyczajów; po Brukseli, spotkaniach z Macronem i Angelą Merkel wyjazdy do Grudziądza, Mielca czy Wałbrzycha będą dla ciebie koszmarem. Z jednej strony, gromady pieczeniary myślących, jak się podczepić, z drugiej – hejterzy wychowani przez PiS. Wchodzisz w to? Naprawdę?



4. JOANNA SCHEURING-WIELGUS

– twarda sztuka

Ze sporego klubu Nowoczesnej, który wszedł w roku 2015 do Sejmu, jedna z niewielu osób wartych uwagi. Twarda sztuka. Nie bała się kard. Nycza, który przyszedł na wigilię parlamentarzystów, i skradła mu show. Wręczyła mu kopertę. Z zaproszeniem. „Zaprosiłam kardynała na 7 stycznia, gdy w Sejmie będziemy przedstawiać zaktualizowaną mapę pedofilii w polskim Kościele”, napisała.

Teraz z kolei zagrzmiła, gdy rząd zgłosił projekt nowelizacji ustawy o przeciwdziałaniu przemoc w rodzinie. W tym projekcie pisano, że jednorazowe pobicie to nie przemoc. Trudno tę głupotę komentować – bo czy jednorazowy gwałt to gwałt? A jednorazowa kradzież – to kradzież? Scheuring-Wielgus zapytała więc szefa rządu: „To Pan @MorawieckiM nie wiedział, że taki gniot (zresztą nie pierwszy) wychodzi z Pana Rządu? Pan jest dzbanem czy premierem RP? Powiedzieć wstyd to mało”.

Ma zatem odwagę i refleks, co w dzisiejszych czasach w polityce jest dość rzadkie. Ale to tyle chwalenia – bo przecież zdziwienie ogarnia, że trwa u boku Ryszarda Petru, aktualnie w jego partii Teraz! Znaczy, jest sentymalna. Czyli bardziej działacz niż polityk.

5. KRZYSZTOF BREJZA – pogromca wampirów

Lubię go, bo w tym ośmieszonym i spacyfikowanym Sejmie jest jednym z niewielu, którzy coś pożytecznego robią.

Za to w PiS nienawidzą go szczerze, bo wyciąga na światło dzienne rzeczy, które pisowcy chcieliby przed

Polakami ukryć. Takie jak „drugie pensje” członków rządu za lata 2016-2017. 115 tys. zł – Mariusz Błaszczak, 105 tys. zł – Anna Zalewska, 98 tys. zł – Mateusz Morawiecki itd. I jeszcze ich zmusił, żeby te pieniądze oddali.

To także Brejza ujawnił wydatki Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej na reklamy w pisowskich mediach, setki tysięcy złotych, które tam popłynęły. Szpera w ministerstwach, w Kancelarii Sejmu, w KPRM i jest w tym skuteczny. Jedyne poseł PO w dziewięcioosobowej komisji ds. Amber Gold (PiS ma pięćoro), a i tak głośniejsze o jego odkryciach niż Małgorzaty Wassermann.

Wiadomo, do Rokity z czasów komisji Rywina jeszcze mu daleko, ale swoją pozycję już ma. Jako pogromca wampirów, tych, co doją III RP.

ROZCZAROWANIA

1. MATEUSZ MORAWIECKI – bankster

Wszystko, co najgorsze, w jednym. Nie dość, że pisowiec, to jeszcze bankster, który sprzedawał naiwnym kredyty we frankach. Dla ludu ma miskę ryżu, dla swoich ciepłe posady i kasę. A jak wołał na nagraniach u Sowy, gdy usłyszał, że Aleksander Grad chce pieniędzy? „Pięć dych czy siedem, czy stówkę mu damy na jakieś badania czy na coś...”. Hojny, bo nie płaci ze swoich.

Z obowiązku zawodowego słucham Morawieckiego, różnych jego wystąpień i wywiadów, i zachodzę w głowę, po pierwsze, dlaczego tak często mija się z prawdą. Nie potrafi zorganizować sobie ekipy, która dostarczałaby mu informacji? Czy po prostu traktuje wyborców jak kretyńców, którym wszystko można wcisnąć?

Po drugie, zastanawiam się, kto i za co płacił mu te miliony, gdy był w banku. I przestaje się dziwić, że sektor bankowy co parę lat generuje kryzysy.

Mamy więc człowieka z rozdętym *ego*, który chce tańczyć i śpiewać – być premierem, szefem kampanii wyborczej, szefem partii rządzącej, wielkim autorytetem i co tam jeszcze. Łapie trzy sroki za ogon, więc za rok wróże mu klapę i bezrobocie.

2. GRZEGORZ SCHETYNA – gracz

Wszystkich chce ograć. I wszyscy to wiedzą. I on ich ogrywa. Pięknie to świadczy o jakości polskiej polityki, zwłaszcza opozycji.

Przypadek Grzegorza Schetyny powinien być analizowany i przedstawiany w szkołach dla mało zdolnej młodzieży – jak człowiek bez charyzmy, bez wdzięku może w polityce robić karierę i owijać sobie ludzi wokół palca.

I to wszystko by działało, gdyby nie jeden drobny fakt – wyborcy tego nie kupują. Platforma stoi w sondażach, 27% i wyżej sufit, mimo że

ma niemal wszystko: pieniądze, struktury, plus worek zaprzysiężonych mediów. Coś więc ją hamuje, jakaś kotwica. Sam jestem ciekaw, czy oni, tam, u Schetyny, dojdą w roku 2019, co ich dołuje.

3. ANDRZEJ DUDA – turysta w świecie polityki

Mamy prezydenta, dla którego Unia Europejska to „wymaginowana wspólnota”, sędziowie – relikty komuny, a ulubiony strój – koszulka firmy Red is Bad. Oto prezydent wyklety.

Siedem razy podpisywał kolejne ustawy o Sądzie Najwyższym i zawsze był tym zachwycony. Choć każda następna poprawiała poprzednią. No to już wiemy, jaki jest poziom samodzielności Andrzeja Dudy. I wiedzy (prawniczej!) przy okazji. Adrian jak żywy.

Wypominają też Dudzie, że gdy pojechał do USA, do Trumpa, podpisywał ważną umowę na stojąco, podczas gdy prezydent USA siedział. Rzeczywiście wyglądał głupawo, z miną internetowego Janusza, ale ja bym się go tak nie czepiał. W końcu był w Białym Domu, zrobił sobie zdjęcie z prezydentem USA, nie każdy to może. Jak na turystę, który zabłądził w świecie polityki, i tak zachowuje się w normie.

4. BARBARA NOWACKA – paprotka

Poszła na służbę do Schetyny. Zajmuje się zaganianiem lewicowych wyborców do platformerskiej zagrody. Za obietnicę dobrego miejsca na listach wyborczych, bo przecież nie za to, że Platforma zajmie się prawami kobiet. Co zresztą Schetyna jej dokładnie przypominał. To w języku PO nazywa się koalicją.

Jej przypadek jest smutny, bo jeszcze niedawno mówiło, że to kandydatka lewicy na premiera i liderka ruchów kobiecych. Słuchano jej z uwagą. A tu taki upadek... Tak oto na własne oczy możemy się przekonać, czym jest polityka i jak cieniutka jest granica między gwiazdą a paprotką.

5. KAMILA GASIUK-PIHOWICZ – femme fatale

Polubiła politykę, szkoda, że w jej brudnym wydaniu. W roku 2017 pięknie krzyczała w obronie sądów, wzbudzając entuzjazm demonstrantów. Wtedy pisowcy zgrzytali zębami i nazwali ją myszką agresorką.

Ale potem prowadziła już inne boje. Najpierw, razem z Katarzyną Lubnauer, obaliła Ryszarda Petru. Teraz o mały włos obaliłaby nie tylko Katarzynę Lubnauer, ale w ogóle całą Nowoczesną, gdy z grupą posłów przeszła do klubu PO. Najpierw była myszką agresorką, a teraz jest *femme fatale*.

Nie wróże już pani Gasiuk-Pihowicz wielkich politycznych sukcesów. I zdaje się, że sama o nie już nie zabiega, kapitalizuje to, co osiągnęła, czyli zadowolili się dobrym miejscem na liście wyborczej – i tyle.

Tak to jest, gdy ktoś traktuje politykę jak dobry *start-up*.

Robert Walenciak



Katarzyna Wierzbicka

Czołem wielkiej Polsce! – krzyczy młody narodowiec do tłumu trzymającego biało-czerwone flagi. – Wracam właśnie z telewizji, gdzie poseł PO raczył powiedzieć, że na pierwszym miejscu są zobowiązania międzynarodowe. Nie! Na pierwszym miejscu jest naród! My jesteśmy gospodarzami w tym kraju! I to my będziemy mówić, co jest na pierwszym miejscu w Polsce!

Potem inicjuje skandowanie: – Tu-jest-Polska-tu-jest-Polska!

Następnie tłum śpiewa: – Wyp... z uchodźcami, cała Polska śpiewa z nami!

Inny filmik, tym razem bożonarodzeniowy: – Drodzy przyjaciele! Z okazji nadchodzących świąt Bożego Narodzenia pragnę życzyć wam (...), abyście pamiętali o tym, że najważniejsze są nasze te najstarsze wartości: właśnie przyjaźń, miłość, Bóg, honor, ojczyzna...

I jeszcze kilka cytatów.

W Białymstoku: „Najzdrowsza tkanka jest w Polsce wschodniej. Nie w żadnej »warszawce«. Nie w żadnych pedalskich knajpach przy tęczy. Tam nie ma zdrowej Polski. Tu jest zdrowa Polska”.

O Viktorze Orbánie: „Jest dla mnie wzorem polityka w Europie. Pokazuje, jak powinno się uprawiać politykę. To jest zdrowa prawica, mocno patriotyczna”.

O Romanie Dmowskim: „To wychowawca Polaków i wzór polityka, który obecnie jest przemilczany. A trzeba go wydobyć z niebytu”.

O uciekających przed wojną migrantach: „Dość tej propagandy w telewizji, kiedy widzimy matki z dziećmi! Ci mężczyźni dorośli, którzy idą stamtąd, powinni walczyć, ponieważ nasi przodkowie walczyli, kiedy była w Polsce wojna! A nie uciekali jak szczury, tylko walczyli! Więc oni powinni walczyć o swoje kobiety i dzieci i bronić swoich ojczyzn, tak jak żołnierze wyklęci!”.

O parytetach w Sejmie: „W polskim parlamencie mamy zaledwie niespełna 4% postów poniżej 30. roku życia. Chcemy bardzo poważnie rozważyć wprowadzenie parytetów w zatrudnieniu w administracji publicznej dla młodych ludzi, tak aby urzędy samorządowe oraz rządowe miały

TERAZ JA!

Nowy wiceminister cyfryzacji Adam Andruszkiewicz stale ma na ustach ojczyznę, wielkość, honor i przejmowanie władzy. O cyfryzacji i nowych technologiach nie mówi nic



obowiązek zatrudniania ludzi poniżej 30. roku życia. Również być może na stanowiskach kierowniczych”.

O Białorusi: „Uważam, że powinniśmy się zbliżyć kulturowo, cywilizacyjnie i gospodarczo z Białorusią”.

O Polsce w 2015 r.: „Dzieci się w ogóle nie rodzą w naszym kraju, przemysł upadł, dokonuje się demilitaryzacja wojska polskiego i czas najwyższy zrobić w tym kraju porządek, zanim Polska przestanie istnieć. Moim marzeniem jest, aby Ruch Narodowy objął stery władzy w kraju. Jesteśmy na to gotowi, mamy kadry, które przeszły odpowiednią formację, (...) mamy struktury w całym kraju, a to jest bar-

a w roku 2015 został jej szefem. W lipcu następnego roku zrezygnował z tej funkcji, wstępując w szeregi narodowców. W wyborach parlamentarnych wystartował w 2015 r. z list Kukiz'15, zdobywając ponad 15 tys. głosów i mandat posła. Rok później współzałożył stowarzyszenie Endecja, któremu przewodniczył do 2018 r. Pod koniec 2017 r. wystąpił z ugrupowania Kukiza, żeby przejść do koła Wolni i Solidarni Kornela Morawieckiego. Wreszcie – na wniosek premiera Morawieckiego – 28 grudnia 2018 r. został wiceministrem cyfryzacji, odpowiedzialnym m.in. za wszystkie przechowywane w elektronicznych rejestrach dane

że prawica musi się dzisiaj jednoczyć, natomiast Ruch Narodowy mnie bardzo mocno atakuje i krytykuje”, żali się portalowi TVN 24.

Z kolei były kolega Andruszkiewicza z Kukiz'15 Piotr Apel uważa nową nominację za dowód, że Ministerstwo Cyfryzacji nie jest traktowane poważnie, Andruszkiewicz zaś to w jego opinii zwykły karierowicz. „Nie mam przekonania, że w tym przypadku kompetencje miały jakiegokolwiek znaczenie – mówił w wywiadzie w „Super Expressie”. – Andruszkiewicz to osoba bez kompetencji, która przyjmie każde pieniądze i każde zlecenie, byle pójść w górę”.



dzo ważne. Bo sam lider niewiele może. Musi za nim stać wielka struktura, która może przejąć władzę na różnych szczeblach: w mediach, służbach specjalnych, w spółkach, w administracji”.

POSIADAM WYŻSZE WYKSZTAŁCENIE

Pomylił się ten, kto uzna, że te cytaty pochodzą z neofaszystowskiego forum internetowego – ich autorem jest nowy wiceminister cyfryzacji, Adam Andruszkiewicz. Urodzony w 1990 r. w Grajewie, absolwent stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie w Białymstoku. Wszechpolak, pasjonat militariów, gorący przeciwnik pluralizmu i imigrantów.

Kariera polityczna 28-letniego Andruszkiewicza imponuje tempem. Nie można też powiedzieć, że nowy wiceminister szczególnie przywiązuje się do zajmowanych stołków bądź ugrupowań, które go przyjęły. Jeszcze zanim został posłem, zaangażował się w działalność Młodzieży Wszchepolskiej i Ruchu Narodowego. Jako wiceprezes MW kierował jej okręgiem podlaskim,

obywateli. W tym samym momencie wystąpił z Wolnych i Solidarnych, bo – jak uzasadniał – „poseł opozycji nie może być wiceministrem”.

W mediach zawrzało – wśród licznych i różnorodnych wypowiedzi internetowych młodego narodowca próżno bowiem szukać takich, które miałyby jakikolwiek związek z zakresem kompetencji ministra cyfryzacji. Andruszkiewicz tym się nie przejmuje. „Od pisania konkretnych programów cyfrowych są specjaliści i eksperci

Andruszkiewicz będzie miał dostęp do wszystkich przechowywanych w elektronicznych rejestrach danych obywateli.

w tej materii”, wyjaśnił. Zresztą grunt to wykształcenie. „Posiadam wykształcenie wyższe, to ważna kompetencja”, zaznaczył w rozmowie z „Super Expressem”.

Dawni koledzy Andruszkiewicza nie mogą mu wybaczyć przejścia na stronę rządową. On sam przyznaje, że jego relacje z Ruchem Narodowym i szefem tego ugrupowania, Robertem Winnickim, są obecnie „bardzo złe”. „Wynika to z tego, że ja uważam,

Apel wspomina także o prowadzonym w sprawie Andruszkiewicza śledztwie, w którym zarzutem było podrabianie podpisów, oraz pobrany z Sejmu ryczałcie na paliwo, który wyniósł w 2016 r. 40 tys. zł – mimo że Andruszkiewicz nie ma ani samochodu, ani nawet prawa jazdy. Poseł argumentował wtedy, że „jego służba polega na nieustannym przemieszczaniu się po kraju”. Po czym w 2017 r. wydał na paliwo 70 tys. zł, bijąc tym samym poselski rekord.

Andruszkiewicz żali się, że padł ofiarą nagonki, apelując na Twitterze o wsparcie do swoich zwolenników. Poza samym premierem należy do nich wiceminister kultury Jarosław Sellin, który chwali nowego wiceministra cyfryzacji za „wnikliwe analizy polityczne”. Innym obrońcą młodego narodowca jest poseł Jarosław Porwicz, kolega Andruszkiewicza z WiS, odpierający wymierzoną w niego krytykę sugestiami o „partykularnych

► interesach” jej autorów. „To jest na szerszy temat – odpowiadał Porwich w TVP na pytanie, o jakie interesy chodzi. – Pan poseł Andruszkiewicz jest politykiem bardzo wyrazistym, nazywa pewne rzeczy po imieniu, mówi otwartym tekstem, nazywa zdradę zdradą, bohaterów bohaterami (...). To się wielu osobom nie podoba”.

Stawiane zaś Andruszkiewiczowi zarzuty niekompetencji poseł Porwich odpiera tak: „Często i gęsto spotykam się z posłem Andruszkiewiczem (...) i wiem, że on jest pasjonatem cyfryzacji, ma bardzo duże pojęcie na temat nowoczesnych technologii i bardzo dużą wiedzę na temat portali społecznościowych”.

stopada do końca grudnia było ich aż 870, do tego 48 zapytań. Dotyczyły one m.in. harmonogramu ćwiczeń wojskowych Anakonda, zakupu śmigłowców dla policji i karabinków dla Straży Granicznej czy uruchomienia elektrowni jądrowej.

Jednak nie tylko militaria należą do fetyszów nowego wiceministra cyfryzacji. Innym jego hobby jest tropienie okultyzmu, pogaństwa i komunizmu w nazwach pociągów, co z kolei wytropił portal WP.pl. Zdaniem Andruszkiewicza nazwanie pociągu Aurora może być odczytywane jako promowanie komunizmu. Nie podoba mu się pociąg Broniewski, krytykuje również nazwanie pociągu na cześć



Adam Andruszkiewicz na marszu ku czci „żołnierzy wyklętych”, Hajnówka, 27 lutego 2016 r.

Nie mniej enigmatyczne są wyjaśnienia samego Andruszkiewicza na temat powodów jego nominacji. „Mogę zdradzić, że odbyłem rozmowę z ministrem Markiem Zagórskim i opowiedziałem mu, jaką mam wizję działania. Myślę, że moja wizja po prostu go przekonała”, oświadczył w rozmowie z „Super Expressem”.

Konkretne kwalifikacje wiceministra w zakresie cyfryzacji wciąż jednak pozostają tajemnicą ministra Zagórskiego, posła Porwicha i Andruszkiewicza.

BRONIEWSKIM NIE POJEDZIE

Jarosław Porwich nie pomylił się jednak co do jednego – Adam Andruszkiewicz w istocie jest politykiem niezwykle dynamicznym. Objawia się to chociażby w liczbie złożonych przez niego interpelacji: jak podaje OKO.press, od połowy li-

Witolda Gombrowicza. „Czy to postać, którą należy promować?”, zastanawia się. O nazwach Sedina, Świętopełk, Czibór, Dionizos i Światowid pisze, że są „okultystyczne, promujące pogańskie i mityczne bóstwa”.

Co do wspomnianej przez posła Porwicha wyrazistości – cóż, nie da się jej zaprzeczyć. Słuchając bowiem wypowiedzi narodowca z ostatnich trzech lat, można odnieść wrażenie, że opowiada on o świecie z klasycznego westernu, w którym „dobrzy” bez wytchnienia walczą ze „zbrodniarzami”, „zdrajcami” i „lewakami”, którym zależy jedynie na pogrążeniu „naszej kochanej ojczyzny”. Słowa klucze: duma, honor, ojczyzna, walka. Andruszkiewicz dużo mówi o obronie terytorialnej, wrogach i prawdziwej polskości. O cyfryzacji i nowych technologiach nie mówi nic.

Katarzyna Wierzbicka

Stereotypy o chłopach i wsi zawierają część prawdy i część nieprawdy. Naszymi najbliższymi sąsiadami byli Zatorscy. Można mówić o czymś więcej niż tylko o sąsiedztwie. Mój pradziadek kupił u Franciszka Zatorskiego, zamożnego gospodarza, kilka hektarów ziemi dla swojego syna, mojego dziadka. Syn Franciszka Maciej był znanym w okolicy hulaką, gospodarstwo zaniedbywał, a do tego nie miał szczęścia. Raz spalili mu się zabudowania gospodarcze, drugi raz dom. Liczna rodzina znalazła się pod gołym niebem. Ziemianka jednak lepiej chroniła od zimna i deszczu niż gołe niebo, ale łatwo sobie wyobrazić niewygodę przebywania w ziemiance. Synowie Macieja, a było ich trzech lub czterech, wcześniej zostali przez matkę wdrożeni do pracy i dom został zbudowany szybciej, niż to się zazwyczaj na wsi działo. Pamiętam ten dom z jego fazy schyłkowej. Najstarszym synem Macieja był Jasiek, wyposażony przez naturę w pracowitość, jak inni w talent śpiewaczy; praca, do jakiej się brał, dawała mu przyjemność. Na swojej działce położonej malowniczo pod lasem i ozdobionej z dwu stron drzewami akacji wybudował zgrabny dom z gankiem i dwiema kolumnkami. Wkrótce pojawi się ktoś, kto zasieje ziola i posadzi kwiaty. Jasiek Zatorski zakochał się w żydowskiej dziewczynie, a ona w nim. Mało prawdopodobne, że on ją porwał, jak mówiono, raczej ona uciekła od matki i najpierw po kryjomu przeniosła się do Zatorskich. Przechrzciła się i wzięła ślub kościelny. Rozpacz matki była nie do opisanie. Katolicy nie są zdolni do takiej rozpacz. Szlomicha, jak ją nazywano we wsi, darła włosy z głowy i płakała, miotając się po ścieżkach i wołając, że jej córka umarła. Gdy ją próbowano pocieszyć, mówiąc, że córka żyje i właśnie wzięła ślub, ona odpowiadała, że to jest właśnie ta śmierć, którą oplakuje.

Przechodząc na katolicyzm, dziewczyna wzięła sobie imię Sabina, jakie miała wcześniej – nie wiem. W szkole była podobno najlepszą uczennicą i najbardziej lubianą.

Młodzi Zatorscy niedługo cieszyli się swoim domem z gankiem i kolumnkami, swoimi kwiatami i gęsto posadzonymi drzewami akacji. Wybuchła wojna i zatrula wszystkie uczucia. Żydzi z pochodzenia pozostający w związku małżeńskim z katolikami byli uważani przez wieś za swoich i wszyscy przeżyli. Nie ukrywali się, ale Niemcom schodzili z oczu. Gdy była oblawa, nasza matka przyprowadziła chłopców Sabiny i naka-

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

Zatorscy, Wróble, Gęborysy

zała nam mówić, że my czterej jesteśmy braćmi. Dzieci Zatorskich miały czarne włosy i czarne oczy, a my z bratem włosy koloru żytniej słomy; rasistowsko wykształconemu Niemcowi mogło to dać do myślenia.

Zatorscy z wieloma innymi rodzinami zostali wywiezieni na przymusowe roboty do Austrii, po wojnie z angielskimi perypetiami po drodze znaleźli się w Chicago. Bez zawodu, bez znajomości języka, zdani tylko na swoje talenty pracowitości podejmowali się każdej pracy, jaka się nastroczała, a nastroczały się tylko najcięższe. A co z chłopcami? Zatorscy założyli sobie maksymalny cel edukacyjny i osiągnęli ten cel. Młodszy, Zygmunt, ukończył studia inżynierskie, po których doszedł do dość wysokiego stanowiska w przemyśle. Starszy, Zdzisław, zrobił karierę godną podziwu, poszedł na studia najdroższe i najtrudniejsze, często powodujące utratę ojczystego języka. Został uznanym lekarzem, w mieście Houston w Teksasie miał doskonałą praktykę i okazały dom.

Przyłóżmy do losu tych ludzi stereotyp o polskich wieśniakach. Zatorscy w każdym pokoleniu podnosili się i upadali, upadali i się podnosili. W rezultacie znaleźli się w amerykańskiej klasie średniej.

Stary Wróbel miał czterech synów, którzy uprawiali rolę i czytali książki.

Władek po oporządzeniu inwentarza zasiadał przy lampie wraz z żoną i oboje czytali do północy. Przeczytali wszystkie książki z biblioteki szkolnej, a później pożyczali. Szczepan chodził przed wojną do gimnazjum, ukończył je albo nie. Nie widziałem go nigdy, ale dużo o nim słyszałem, bo w czasie wojny był „szyszką” w AK. Wszyscy zresztą Wróblowie byli w AK. Z urywków ściszonych rozmów wiem, że mój ojciec przekazywał Szczepanowi niebezpieczne rzeczy, także dziwny wózek o dwóch małych kółkach, wygrzebany przez nas dzieci z zakamarków szopy. Był to ciężki karabin maszynowy, jak się dowiedziałem po wojnie. Dużo można by na ten temat mówić. Moją uwagę najbardziej przyciągał Jasiek. Nie stronił od pracy na roli, ale powołanie miał inne. Był działaczem Wici, a także PSL w czasach Mikołajczyka, a później został agronomem. Był wysoki i szczupły, miał szczupłe dłonie i mówił, jakby z książki czytał. Jak kto chciał, mógł go brać za chłopca, ale więcej przemawiało za inteligentem, stereotyp chłopski do Wróblów nie pasuje.

Mój wujek Stach Gęborys utrzymywał się ze stolarstwa, ale w istocie był filozofem. Chodził jak filozof, mówił jak filozof i milczał jak filozof. U nas w domu w tym małymównym stolarzu odkryto intelektualistę, gdy z Niemiec, gdzie

był na przymusowych robotach, przysłał list, odkrytkę opisującą wiosnę w górach – bo to była Austria – a poza tym wszystko, co pisał, było bardzo mądre. Wujek Stach miał zawsze książki, których nikt inny jeszcze nie miał. Myślicie, że tylko jeden Norwid pisał książki? Był drugi Norwid, prawdopodobnie warszawski biznesmen, który opisał, jak w czasie wojny udało mu się uciec z Generalnej Guberni i z jaką radością znalazł się w szwedzkim areszcie. Książek u Gęborysa przybywało za sprawą synów, którzy gromadzili je zawodowo.

Brat Stacha był samorodnym malarzem. Tak mu się życie ułożyło, że nie spotkał nikogo, kto by mu udzielił użytecznych wskazówek. Po wojnie miał za dużo lat, żeby rozpoczynać naukę w liceum lub akademii, a przed wojną potrzebny był mecenas, który się nie zjawił. Jego obrazy robiły wrażenie rozmiarami: portret na wysokość drzwi od stodoły, pejzaż z sosnami jeszcze większych rozmiarów. Antek Gęborys pokazał mi, że sosna, drzewo ubogie, ma swoje piękno, które trzeba umieć zobaczyć. Tak jak trzeba było umieć zobaczyć starą wieś z jej niestereotypowymi mieszkańcami. Do opowiedzenia jest postać Kostka Kopra, który czytał „Dialogi” Platona i był wójtem, zanim nastał stalinizm.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



ZOSIA SITNIK – PAMIĘTAMY

To już 10 lat, jak odeszła od nas Zosia Sitnik, dobry duch naszej redakcji. Przez kilkanaście lat formalnie kierowała sekretariatem, faktycznie była i kadrową, i działem kontaktów z czytelnikami, i specjalistką od logistyki, kiedy trzeba było przenieść redakcję, i pogotowiem medycznym, kiedy ktoś poczuł się słabo. Zawsze elegancka, dystygowana i uprzejma. Jedną z tych kobiet, o których mówi się: „Pani z klasą”. Miała znakomity kontakt z czytelnikami. Załatwiała tysiące spraw. Zawsze mogliśmy na niej polegać.

Organizowała wielkie wydarzenia redakcyjne, takie jak Busole czy patronaty medialne, i kameralne spotkania wigilijne. Pamiętała o domu dziecka w Elku i o dziesiątkach ważnych akcji społecznych fundacji i stowarzyszeń. Wysyłała dziennikarzy na badania lekarskie. U niej lekarze zdiagnozowali chorobę zbyt późno. Wspierana przez najbliższych bardzo dzielnie walczyła. Niestety, tej walki nie mogła wygrać. A my nie mogliśmy Jej pomóc. Zmarła 3 stycznia 2009 r. Napisaliśmy wtedy, że nie zapomnimy.

Zespół PRZEGŁĄDU

Marek Książek

SĄDNE LATA MAŁKOWSKIEGO

Po 11 latach od wybuchu seksafery w Olsztynie sąd uniewinnił byłego prezydenta miasta. Połowa mieszkańców się cieszy, ale druga uważa, że to przekręt

Gdyby ten wyrok zapadł trzy miesiące wcześniej, Czesław Jerzy Małkowski zapewne byłby dziś ponownie prezydentem Olsztyna. Bo wielu wyborców oddało głos na jego rywala w obawie przed kompromitacją, gdyby na karę więzienia skazano włodarza miasta. Miasta, które przez ów skandal okryło się złą sławą i jest kojarzone głównie z ratuszową wieżą, gdzie prezydent Małkowski miał zażywać rozkoszy z kochanką – sekretarką w urzędzie miasta. Konsekwentnie przypominała o tym stacja TVN, emitując nagranie ich sprośnych rozmów. Kandydata obrzydzał też olsztyński satyryk Piotr Bałtroczyk, odsądzając od czci i wiary tego „komunistycznego aparatchyka, zawodowego kłamcę, cenzora” oraz „upiora dawnego systemu”, publicznie wytykając mu „podłe czyny”. Dzięki temu po raz kolejny wybory wygrał Piotr Grzymowicz, do 2007 r. zastępca Małkowskiego.

„SWÓJ CHŁOP” NA URZĘDZIE

Afera, o której kilkakrotnie pisaliśmy na łamach PRZEGŁĄDU, ujrzała światło dzienne 21 stycznia 2008 r. po artykule „Skandal w magistracie” Mariusza Kowalewskiego w „Rzeczpospolitej”. Autor opisał przypadki molestowania ratuszowych urzędników, zwłaszcza Anny – takim imieniem Kowalewski nazwał sekretarkę ówczesnego prezydenta, którą ten „wyłuskał” spośród młodych aktywistek SLD. Bo Małkowski, rocznik 1949, z wykształcenia historyk, dawniej sekretarz gminny PZPR w Wielbarku, potem pracownik instancji wojewódzkiej partii, wreszcie dyrektor wojewódzkiego urzędu cenzury, po transformacji ustrojowej był czołowym działaczem Sojuszu Lewicy Demokratycznej w regionie. Z listy tej partii został radnym i przewodniczącym rady miasta, wymuszając – według wieści gminnej – dymisję na ówczesnym prezydencie miasta Januszu Cichoniu, by zająć jego fotel. Potem jednak potwierdzał swoją pozycję w wyborach powszechnych, a na zastępcę powołał Piotra Grzymowicza, który zajął się sprawami gospodarczymi. Twarzą miasta pozostał Małkowski; to on przyjmował interesantów i bywał wśród artystów, zdobywając opinię „swojego chłopa”.

Jednocześnie, jak twierdziły potem pokrzywdzone w sprawie, swoją męskość eksponował w stosunku do urzędników.

Najbardziej pokrzywdzoną miała być Alicja T., owa zamężna Anna z publikacji prasowych. To jej Czesław Jerzy Małkowski miał się narzucać, zmuszać do uległości seksualnej, a nawet dwukrotnie zgwałcić: pierwszy raz w 2002 r. w ratuszu, natomiast drugi – w marcu 2007 r. w jej domu, gdy była w zaawansowanej ciąży. W końcu kobieta zaczęła nagrywać ich rozmowy, prowokując np. do wejścia na ratuszową wieżę, aby tam dać się unieść miłosnej ekstazie. On się godził i radził, żeby wzięła aparat fotograficzny – będzie to wyglądało, jakby weszli tam podziwiać panoramę Olsztyna. „Ja będę podziwiała, a ty mnie będziesz p...?”, wyrażała swoje domysły zmysłowym głosem sekretarka. On na to, że ją „za...”, jak usłyszała cała Polska w programie TVN. Takie zarzuty pogrążyłyby nie tylko prezydenta Clintona, ale nawet prostego burmistrza w USA czy mera we Francji. Ale nie w Olsztynie.

ROMANS Z SEKRETARKĄ

Po ostatnim wyroku, na sylwestrowej konferencji prasowej Małkowski oświadczył, że nagranie jest zmontowane, a zrobił to dziennikarz jednej ze stacji telewizyjnych. Żadna ekspertyza nie wykazała też oryginalności słynnej fotografii prezydenta z rozpiętym rozporkiem, siedzącego na fotelu pod godłem państwowym – zapewnił. Jego adwokat Marek Gawryluk nie potwierdził wprost, czy wiarygodność tych dowodów podważono w procesie karnym. Zauważył jednak, że skoro sąd brał pod uwagę cały materiał

dowodowy i wydał wyrok uniewinniający, można sobie samemu wyrobić opinię w tej sprawie.

Wyrok z 28 grudnia 2018 r. był „ukoronowaniem prawdy”, jak to określił Czesław Małkowski na wspomnianej konferencji prasowej. Do tego czasu zapewniał, że nigdy nikogo nie zgwałcił i nie molestował. Początkowo nawet wypierał się romansu z Alicją T. Według jego zwolenników był to poważny błąd, bo gdyby od razu przyznał się do zdrady małżeńskiej, miałby przechrztać u żony, ale zyskałby przewagę nad oskarżycielką. Mógłby twierdzić, że nie powołał jej na wyższe stanowisko lub zerwał z nią związek, dlatego się zemściła – takich argumentów używał później, ale nie miały one już wielkiej siły przekonywania. Zresztą do akcji przystąpiły organy ścigania; urzędujący prezydent miasta został wyprowadzony w kajdankach przez policję i dowieziony do prokuratury w Białymstoku, gdzie odsiedział pół roku w areszcie.

ZEMSTA PRZECIWNİKÓW?

Olsztyn podzielił się na dwa obozy: jeden uważał, że Małkowski zasłużył na karę, zwłaszcza że do jego wyczynów seksualnych miało dochodzić w szacownym urzędzie, a drugi odpowiadał ludowym, seksistowskim porzekadłem: „Jak suka nie da, to pies nie weźmie”. Ten motyw eksponowały szczególnie „moherowe berety”, bo jeszcze przed seksafērą Małkowski rzucił legitymację Sojuszu, no i dwa razy był na pielgrzymce w Watykanie, gdzie wręczył papieżowi Polakowi akt nadania honorowego obywatelstwa Olsztyna, stając się przyjacielem miejscowego kleru.



Czesław Jerzy Małkowski
z demaskatorskim artykułem.
Obok mecenas Marek Gawryluk.

sąd rozstrzygnął na korzyść oskarżonego. Nawet pani sędzia wydająca pierwszy wyrok w Ostródzie w 2015 r. nie wymieniła czynów zarzucanych Małkowskiemu. Dziennikarze musieli się domyślać, że jeden paragraf dotyczył gwałtu, a drugi „seksualnego wykorzystania zależności służbowej” wobec tej samej osoby. Łączna kara wyniosła pięć lat więzienia, do tego doszedł sześcioletni zakaz zajmowania stanowisk kierowniczych w jednostkach samorządowych i tak samo długi zakaz kontaktowania się z porzuczoną.

Nieprawomocny wyrok nie przeszkadzał Małkowskiemu startować w wyborach na prezydenta Olsztyna, którego to stanowiska został pozbawiony w wyniku referendum zaraz po wybuchu seksafery. Potem trzykrotnie ubiegał się o powrót na prezydencki fotel, wywołując zadowolenie jednych, a wzburzenie drugich, zwłaszcza feministek. W drugiej rundzie przegrywał jednak minimalnie z Piotrem Grzymowiczem. Ostatni raz w październiku zeszłego roku, choć wtedy już różnicą ok. 10%. Podobno liczył, że do tego czasu zapadnie wyrok uniewinniający. Jego nowy obrońca (poprzedniego oddalił, zarzucając mu przejście na drugą stronę) odwołał się od pierwszego wyroku skazującego, wypunktowując sprzeczności w uzasadnieniu. Na tyle skutecznie, że odwoławczy Sąd Okręgowy w Elblągu uchylił orzeczenie pierwszej instancji i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania. Historia zatoczyła koło i wróciła do Olsztyna, co zaniepokoiło przeciwników Małkowskiego, obawiających się o obiektywizm sądu.

DALSZY CIĄG NASTĄPI

Wyrok z końca ubiegłego roku jest korzystny dla oskarżonego, ale nie przekonuje tych, którzy święcie wierzą w jego winę. Na portalach społecznościowych padają określenia farsa lub przekręt sądowy. „Miałam obawy o ten proces, od kiedy dowiedziałam się, że ma być prowadzony w Olsztynie. W poprzednim procesie brałam udział tylko w tych

Jednocześnie pojawiły się teorie, jakoby Alicję T. przekupili przeciwnicy włodarza miasta. Wymieniano kontrkandydata Małkowskiego w wyborach prezydenckich, byłego senatora PiS Jerzego Szmita, właściciela biura turystycznego Andrzeja Starkiewicza i byłego senatora AWS Pawła Abramskiego. Wszyscy trzej nie ukrywali, że chcą zobaczyć prezydenta za kratkami. Mieli ku temu powody. Pierwszy w rewanżu za wyborczą przegraną, drugi – bo prezydent kazał rozebrać

stowania i gwałtu na Annie wyszła na jaw przy okazji śledztwa prowadzonego przez oficerów Centralnego Biura Śledczego właśnie w sprawach gospodarczych. A że śledczy robili przy tym wiele hałasu, reporter „Rzeczpospolitej” poszedł ich tropem i tak trafił do sekretarki z ratusza. Później do innych pokrzywdzonych, które miały być molestowane przez Małkowskiego. Czy były? One przekonują, że tak, ale jawność procesu sądowego – ze względu na ochronę

Gdyby ten wyrok zapadł trzy miesiące wcześniej, Małkowski zapewne byłby dziś ponownie prezydentem Olsztyna.

jego biuro stojące prawie na ulicy, a trzeci – ponieważ Małkowski nie dał się przekupić, aby przekwalifikować teren nad jeziorem na działki budowlane, a co więcej, zgodził się wziąć udział w zdemaskowaniu korupcyjnej propozycji byłego senatora (rejestrowały to urzędnicy zainstalowane w prezydenckim gabinecie). Abramski dostał za to trzy lata więzienia, wyszedł po półtora roku i nikt nie miał wątpliwości, że pała żądzą odwetu. Tyle że trzej panowie oficjalnie zgłaszali doniesienia do prokuratury o popełnieniu przez Małkowskiego przestępstw, ale gospodarczych.

Z tych zarzutów prezydent się wybronił. Niemniej jednak, co ujawnił w wywiadzie prasowym autor „Skandalu w magistracie”, sprawa mole-

dóbr osobistych kobiet – została wyłożona. Na dodatek już przed pierwszym wyrokiem z 2015 r. zarzuty o molestowanie urzędniczek zostały umorzone wskutek przedawnienia.

TAJNE ŁAMANE PRZEZ POUFNE

Praktycznie od początku procesu w 2011 r. jesteśmy skazani na domysły, spekulacje i krążące po mieście pogłoski. Na przykład, że sperma eksprezydenta, przekazana lekarzowi przez Alicję T. po rzekomym gwałcie w 2007 r., została zachowana przez sekretarkę po ich wcześniejszym stosunku. Mówi się o dwóch różnych ekspertach medycznych, różnej liczbie szkiełek do badania, ale nie wiadomo, czy właśnie te wątpliwości

► rozprawach, w których byłam przesłuchiwana. Ten był dla mnie zupełnie inny. Nie wiem, jak można było wystrzelić w kosmos opinie biegłych z dwóch niezależnych instytutów. Już wcześniej sąd w Elblągu praktycznie podpisał się pod tym, co napisał obrońca. Teraz mamy w Olsztynie kontynuację takiego podejścia”, powiedziała Alicja T. dziennikarzowi portalu Onet, a „Super Expressowi” pozałaża się: „Sąd napłuł mi w twarz”.

Tymczasem w Olsztynie sędzia Mariusz Stachowiak ponad dwie i pół godziny podawał ustnie motywy wydania wyroku uniewinniającego. Nie wiemy, jakich używał argumentów, bo na sali sądowej pozostały tylko strony procesu. Czesław Jerzy Małkowski podkreślił potem, że sąd obnażył działania prokuratury z Białegostoku. Udało nam się jednak ustalić, na jakiej podstawie obalono najcięższy zarzut – zgwałcenia ciężarnej kobiety, co miało się stać 28 marca 2007 r. Tego akurat dnia odbywała się sesja rady miejskiej, na której – zgodnie z protokołem – był obecny prezydent Małkowski. Ale – według oskarżenia – mógł popełnić ten haniebny czyn w przerwie obrad, między godz. 12.00 a 12.30. Na dojazd do domu Alicji wystarczyło mu 10 minut, więc teoretycznie było to możliwe. Tylko że w tym czasie pokrzywdzona rozmawiała przez telefon komórkowy z koleżanką, co wykazały billingi, niesprawdzone wcześniej ani przez prokuraturę, ani przez ostródzki sąd.

Wyrok jest nieprawomocny. Prokurator zapowiada apelację, choć nawet pierwszy obrońca Małkowskiego twierdzi, że praktycznie nie ma szans rozpoznawania zarzutów po raz trzeci. Jego zdaniem sprawa od początku nadawała się do umorzenia, ale presja mediów była tak wielka, że najpierw prezydent trafił do aresztu, a potem prokuratura brnęła w oskarżenia. Olsztyński proces nie analizował nowych dowodów, w ciągu ponad 50 rozpraw pogłębił jedynie wiedzę o dotychczas zgromadzonych.

Historia jednak się nie kończy, bo Małkowski zapowiada procesy cywilne przeciwko osobom, które przyczyniły się do jego oskarżenia. W tym Alicji T., autorowi artykułu w „Rzeczpospolitej” i domniemanym inicjatorom seksafery, poza przedsiębiorcą turystycznym, który już nie żyje.

Marek Książek

Anna Brzeska

Dla nas nie ma rzeczy niemożliwych. Są tylko rzeczy do zrobienia. Jeżeli coś idzie pod górkę, siadamy i mówimy: „Dobra, jest problem”. I szukamy wyjścia – mówi Waldemar Nowakowski, szef sztabu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Ciechanowie. Te cztery zdania wydają się całkiem niezłą odpowiedzią na pytanie, jak to się stało, że WOŚP ciągle gra i bije kolejne rekordy.

Kiedy w 1993 r. Jurek Owsiak zaczął w radiowym programie „Róbta, co chceta” mówić o zbiorce pieniędzy na rzecz Oddziału Kardiochirurgii Dziecięcej w Centrum Zdrowia Dziecka, nikt się nie spodziewał, że ta inicjatywa zmieni się w narodowy zryw charytatywny trwający już prawie trzy dekady. Nikt też nie przypuszczał, że po 26 latach kwotę, którą udało się zebrać w pierwszym finale, uda się przebić przeszło 50-krotnie.

IKSIŃSKI JUŻ TAM BYŁ, WIĘC MUSZĘ I JA

W 2018 r. WOŚP zebrała ponad 126 mln zł, podczas gdy w 1993 r. niepełna 2,5 mln zł (w przeliczeniu na nowe złote). Ale lawina zdarzeń, którą uruchomił pamiętny pierwszy finał, transmitowany przez telewizyjną

Dla wolontariuszy nie ma rzeczy niemożliwych. Są tylko rzeczy do zrobienia.

Dwójkę, nie byłaby możliwa, gdyby wydarzenie ograniczyło się do Warszawy i telewizyjnych korytarzy. W głośnej i kolorowej Orkiestrze faceta w żółtej koszuli i czerwonych spodniach zakochała się cała Polska, a lokalne grupki wolontariuszy wyrastały w kolejnych latach jak grzyby po deszczu.

Najszybciej zaczęło się tam, gdzie temat podchwyciły lokalne media. Tak było w Lubinie, gdzie z WOŚP od początku był Dariusz Szymacha, obecnie dziennikarz i fotoreporter, m.in. portalu e-legnickie.pl. – Podczas pierwszego finału WOŚP, o którym migawki pojawiły się w lokalnej telewizji w Lubinie, jej dziennikarze wpadli na pomysł zrobienia zbiórki na mieście. Mieli kamerę, a nagrany materiał został puszczone

w wiadomościach. Mieszkańcy Lubina i okolic zobaczyli więc transmisję ze zbiórki, ale ponieważ wielu z nich nie zdążyło nic wpłacić, przyjechali z pieniędzmi do telewizji. Jej naczelnym był wtedy mój kolega Krzysztof Raczkowiak. Widząc, że jest w telewizji, że coś się tam dzieje, zadzwoniłem do niego i zapytałem, czy mogę przyjechać i jakoś im pomóc. Zgodził się. Redakcja mieściła się wówczas na VI piętrze budynku należącego do stadionu Zagłębia Lubin. Kiedy tam przyjechałem, kolejka ludzi stojących na schodach, chcących wesprzeć WOŚP, sięgała już parteru!

Szymacha podkreśla, że ludzie przyjechali wpłacać pieniądze, mimo że siedziba telewizji mieściła się na obrzeżach miasta, więc dojazd wcale nie był łatwy.

– Widząc, co się dzieje, chłopcy pomysłili, że zaczną wszystko puszczać na żywo – opowiada. – Uruchomili w studiu kamery. To była samonakręcająca się spirala. Im dłużej to puszczała, tym więcej ludzi zaczęło przyjeżdżać. Transmitowali to, jak ludzie wrzucają pieniądze do wielkiej urny. Niektórzy, widząc w telewizji znajomych, myśleli sobie zapewne: Iksiński już tam był? To ja też muszę jechać. I tak przyszło do telewizji kilka tysięcy osób.

Ta akcja była spontaniczna. Nikt jej nie planował, na ulicach nie było jeszcze wolontariuszy. Dlatego efekty zbiórki przerosły oczekiwania wszystkich, zwłaszcza że przyniesione pieniądze trzeba było gdzieś przeliczyć. – W dodatku było to przed denominacją, więc banknotów było bardzo dużo – wyjaśnia Szymacha. – Trzy pomieszczenia telewizji były zapełnione ludźmi, którzy do późnej nocy liczyli i układali zebrane pieniądze.

CZY WYŚCIE ZWARIOWALI?!

Dariusz Szymacha z łezką w oku wspomina pierwszy finał. – Przyjechał też jakiś taksówkarz. Mówił, że jechał z Polkowic – to kilkanaście kilometrów od Lubina. Zatrzymała go tam jakaś pani i poprosiła, żeby zawiózł do nas jej złoty pierścionek. I on to zrobił! Myśmy wtedy zebrali ok. 70 mln zł, oczywiście starych, ale na miasto wielkości Lubina to była olbrzymia kasa. Do tego doszedł prawie kilogram złota. Z tego złota Jurek Owsiak w następnym roku polecił zrobić słynne serduszka.



PO DRUGIEJ STRONIE PUSZKI

Nie psujcie tego, co dobre, czyli 27 lat Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy

Kwota zebrana w Lubinie była na tyle imponująca, że Jurek Owsiak osobiście przyjechał, by podziękować ekipie. – Przyleciał do nas samolotem załatwionym z KGHM, mniej więcej miesiąc po finale. W restauracji pod siedzibą redakcji było wesele. Najpierw Jurek je odwiedził, potem weselnicy przyszedli do nas, pojawiło się trochę alkoholu... O godz. 3 w nocy ktoś wpadł na pomysł: Jurek, wchodzimy na żywo. Przecież jesteśmy w telewizji! On na to: Czy wyście zwariowali? Teraz nagle włączycie sygnał? A trzeba zaznaczyć, że wtedy program był nadawany mniej więcej do godz. 22. Kto więc miałby nas oglądać w środku nocy? Ale posadziliśmy Jurka w studio, odpaliliśmy transmisję. Nie minęły trzy minuty, a już był pierwszy telefon. I tak dzwonili non stop do godz. 6 rano i rozmawiali z Jurkiem, aż ten zaczął błagać, byśmy już przestali.

6 KM ŁAŃCUCHA I PIENIĄDZE Z URUGWAJU

W następnych latach nauczeni doświadczeniem organizatorzy zbiórki – jednym z nich był Dariusz Szymacha

– staranniej się przygotowali. Pojawiły się reklamy, plakaty, byli wolontariusze. – Przenieśliśmy finał ze stadionu do centrum miasta, do ówczesnego Domu Kultury Zagłębia Miedziowego – opowiada dziennikarz. – Zrobiliśmy tam przenośne studio. Partyzantka, ale działało. Licytowaliśmy złote serduszka, ale wymyśliłem też, byśmy zrobili coś, co przyciągnie jeszcze więcej ludzi. Postanowiliśmy skleić łańcuch choinkowy – taki, jakie robią dzieci z papieru. Miasto zamknęło dla nas

Waldemar Nowakowski, szef sztabu w Ciechanowie: Od 2006 r. życie płynie mi od finału do Woodstocku i od Woodstocku do finału.

100-metrowy kawałek ulicy, na którym ten łańcuch był układany. Jak się okazało, to nie było spodziewane 10 czy nawet 100 m. Przez kilkanaście godzin ludzie skleili ponad 6 km łańcucha! Skrawki papieru przywozili z pobliskiej drukarni, inni przynosili gazety, cięli je na miejscu i kleili.

Jak opowiada Dariusz Szymacha, ochotnicy zgłosili się nie tylko do klejenia łańcucha, ale też przynieśli termosy z herbatą, a nawet ekspres do jej parzenia. – Ktoś zaapelował,

by przynieść klej, więc już za chwilę było go tyle, że nie wiedzieliśmy, co z nim robić – śmieje się dziennikarz.

Podobnie było z jedzeniem. – Wystarczyło wspomnieć na antenie, by ludzie coś nam przynieśli. I wtedy piekarnie, pizzerie, bary przysłały nam tyle jedzenia, że to się nie mieści w głowie. Oczywiście za darmo.

Przyznaje jednak, że ostatecznie wszystko zostało zjedzone.

Dodaje, że chociaż z czasem finały Orkiestry otrzymywały ramy organi-

zacyjne, to i tak każdy był nieco inny: – Któregoś razu ktoś przyniósł maskotkę i nagle się okazało, że inni też postanowili przynieść maskotki. Było ich kilkaset. Oddawaliśmy je potem do domów dziecka czy na oddziały dziecięce szpitali. Ludzie przynosili też egzotyczne pieniądze, np. z Urugwaju. Nie mieliśmy pojęcia, czy są cokolwiek warte. To były niskie nominały, a te waluty nie stały dobrze. Jeden z tych banknotów był więc potem licytowany jako fant. ▶

► Choć ówczesny dziennikarz lubińskiej telewizji ze wzruszeniem wspomina pierwsze finały WOŚP, przyznaje, że z czasem Orkiestra musiała przejść pewną przemianę: – Zmieniły się czasy, zmieniło się pokolenie. Orkiestra nie może być już taka sama jak wcześniej.

ERA CYFROWA

I nie jest. Dzisiejsza WOŚP to świetnie działająca organizacja, podzielona na lokalne sztaby, zarządzane przez warszawski sztab główny. Poza niewielką grupą pracowników Fundacji WOŚP wszyscy pracują za darmo.

Sztabów jest w Polsce ok. 1,7 tys. Co roku lokalni organizatorzy muszą zgłosić ich powołanie około trzech miesięcy przed finałem. To samo dotyczy kwestujących z puszkami wolontariuszy – wszystkich obowiązuje harmonogram rejestracji, a podczas zbiórek noszenie identyfikatora.

Sztaby nie mogą zostać zarejestrowane w prywatnych mieszkaniach, lecz muszą być goszczone przez rozmaite instytucje. Liczeniem pieniędzy zajmują się godne zaufania komisje, a całą akcję zabezpieczają prywatne firmy ochroniarzy, straż miejska czy policja. Sztaby rozdzielają zadania w sposób przemyślany – inne osoby zajmują się dostarczeniem sprzętu na finał, inne obsługą sceny czy kontaktem z urzędami. Krótko mówiąc, WOŚP od lat działa jak dobrze naoliwiona maszyna

Dziś już nikomu nie wolno tak kwestować. Wszystkich wolontariuszy obowiązują specjalne tekturowe puszki, produkowane w setkach tysięcy egzemplarzy przez zaprzyjaźnioną firmę. Drukowane jadą do poszczególnych sztabów w formie płaskiej – wolontariusze składają je na miejscu i oklejają orkiestrową banderolą. Zawartość puszek jest potem liczona w obecności wolontariuszy, którzy otrzymują od razu gotowe podziękowania z podpisem Jurka Owsiaaka.

Dariusz Szymacha: Zmieniły się czasy, zmieniło się pokolenie. Orkiestra nie może być już taka jak wcześniej.

Chociaż szef ciechanowskiego sztabu WOŚP podkreśla, że inicjatywa wciąż wydaje się mu czymś spontanicznym, wywołującym niezwykłą życzliwość i chęć zaangażowania, docenia również zmiany: – Najlepszą rzeczą okazała się cyfryzacja. Kiedyś wolontariuszy rejestrowaliśmy ręcznie, potrzebowaliśmy do tego wielu ludzi. W tym roku rejestrowali się sami poprzez portal internetowy. Nam to oszczędza bardzo dużo czasu, unikamy też błędów. Co więcej, nie musimy przechowywać żadnych dokumentów, a jedynie jechać przed finałem do fundacji, wydrukować identyfikatory i zabrać je ze sobą.

Waldemar Nowakowski zaznacza jednak, że poza tymi technicznymi ułatwieniami to wciąż ta sama

sta, pokaz pojazdów militarnych czy wreszcie sklep Mydło i Powidło. – Nazwalismy go tak, bo wstawiliśmy tam wszystkie rzeczy, które dostaliśmy od ludzi. Przynosili najróżniejsze cuda – począwszy od maskotek i książek, skończywszy na sprzęcie AGD i RTV. Ktoś przyniósł nawet fajny, stary, ale wciąż działający magnetofon kasetowy. Sam chciałem go kupić, ale ktoś mnie uprzedził, przyszedłem za późno, bo podczas finału muszę być w trzech miejscach naraz – wspomina szef sztabu w Ciechanowie.

Mimo że kiedy zaczął „grać” w WOŚP, ta była już zorganizowaną fundacją, i tak zdarzały się wpadki. Waldemar Nowakowski: – Rok 2007. Koncert z olbrzymią sceną na dziedzińcu ciechanowskiego zamku. Gwiazdą jest Szymon Wydra. Najpierw grają lokalne zespoły, pełen zamek ludzi, cudowna frekwencja. W końcu wychodzi zespół Szymona Wydry i zaczyna koncert cichym wstępem. Po chwili mocne uderzenie, takie z przytupem. I... cała scena gaśnie! Pałą się tylko jakieś pojedyncze, drobne światła z boku sceny. Jedynym działającym mikrofonem okazał się mój mikrofon prowadzącego.

Nowakowski nie pamięta ani jednego słowa, które wypowiedział wtedy na scenie. – Trwało to jakieś pół godziny, zasilanie przywrócono. Zespół wyszedł drugi raz i dokładnie w momencie tego mocnego uderzenia znowu

wszystko zgasło – opowiada. – Miałem problem, żeby zatrzymać ludzi. A sztab za sceną miał problem, by przekonać Wydrę, by wyszedł trzeci raz na scenę. Ale udało się!

Co według szefa sztabu WOŚP w Ciechanowie sprawia, że ludziom nadal chce się brać udział w zbiorcach WOŚP? – Proszę wejść do pierwszego lepszego szpitala publicznego, szczególnie na oddziały dziecięce, neonatologiczne czy porodówki – mówi. – Dwa dni temu mama dziewczyny z naszej komisji liczącej pieniądze musiała, niestety, iść do ciechanowskiego hospicjum. W całym tym nieszczęściu koleżanka przysłała mi zdjęcie łóżka z wielkim serduszkim i pisze: „Zobacz, dla-

WOŚP od lat działa jak dobrze naoliwiona maszyna do pomagania.

do pomagania. I jako taka dla wielu wolontariuszy i sztabowców stała się ważną częścią życia.

Waldemar Nowakowski, szef sztabu w Ciechanowie: – Od 2006 r. życie płynie mi od finału do Woodstocku i od Woodstocku do finału (od ubiegłego roku festiwal oficjalnie nazywa się Pol'and'Rock Festival – przyp. red.). Już w 2005 r. przeszedłem bowiem – jak to określam – „na drugą stronę puszek”. Zajmowałem się wtedy organizacją koncertów, wiedziałem więc, co robić. Gdy dołączyłem do Orkiestry, wiele spraw było już poukładanych, ale wciąż pamiętam pierwsze finały i czasy, gdy pieniądze zbierało się do stoika po ogórkach albo do reklamówki.

Orkiestra: – Nadal mamy np. stałą ekipę liczącą pieniądze – muszą to być zaufane osoby, nikt z ulicy – i tę samą księgową Elę, która jest szefową komisji. Powiedziała, że będzie to robiła, dopóki będzie żyła.

ADRENALINA

Nowakowski przyznaje, że co roku szuka nowych pomysłów na finałowy koncert, ale trzyma się zasady, by nie angażować doń artystów chcących otrzymać wynagrodzenie za występ. Dlatego polega na lokalnych zespołach. Jako dobre rozwiązania, które przyciągają wiernych fanów Orkiestry, wymienia stworzenie miasteczka WOŚP przy centralnym placu mia-

tego z tobą jestem". Takie momenty ściskają za gardło i upewniają człowieka, że warto to robić. A poza tym ja jestem uzależniony od adrenaliny i muszę ją sobie zapewnić. Sama organizacja finału i dzień finału to tak potężna dawka, że wystarcza mi na pół roku. Na Przystanku Woodstock mam następną. Od 2006 r. nie opuściłem żadnego.

– Z roku na rok zbieramy coraz więcej – dodaje Nowakowski. – Przez jakiś czas Ciechanów zbierał z reguły między 40 a 50 tys. zł. Dwa lata

by na wszystko wystarczało pieniędzy. Ale jeśli tak nie jest i są takie organizacje, to je wspieramy, bo widać wymierne efekty ich pracy.

NIESPODZIANKI I TRADYCJE

Choć motywacja uczestników Orkiestry się nie zmienia, a co roku bity jest rekord wysokości zebranej kwoty, organizatorzy nie spoczęli na laurach i wciąż wymyślają nowe sposoby na przyciągnięcie uwagi ofiarodawców. Rady weteranów nadal są przydatne.



Właściciele psów rasy golden retriever kwestują dla WOŚP w Poznaniu od 10 lat.

temu było 80 tys. W zeszłym roku, gdy przekroczyliśmy 100 tys., prawie zemdlałem. Tłumaczę sobie to tak, że w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat wokół Orkiestry zaczęły się dzieć niefajne rzeczy. Fala hejtu i politycy, którzy krzyczeli, że trzeba to zdelegalizować. Więc ludzie chcieli pokazać: nie, nie ruszajcie tego. To jest dobre! Myślę, że działamy trochę na przekór, bo takim jesteśmy narodem. Zresztą co taki człowiek może powiedzieć politykowi? Nie ma okazji go spotkać, może mu najwyżej nawrzucać na Facebooku. Ale jeśli zamiast 10 wrzuci do puszeki 20 zł i zrobi to 120 tys. ludzi w kraju, wynik nagle wzrośnie. I to jest najlepszy sposób pokazania politykom, że WOŚP jest dobrą inicjatywą. Oczywiście nawet ja się z nimi zgadzam, że ta fundacja nie powinna mieć racji bytu. W naszym kraju powinno być tak dobrze,

Według Dariusza Szamachy z Lubina liczy się bowiem to, na ile dana inicjatywa będzie w stanie zjednoczyć ludzi we wspólnej zabawie, bez względu na to, jak bardzo absurdalna wydaje się na początku. – Ostatnio naszym harcerzom rzuciłem taki pomysł – opowiada dziennikarz – weźcie niewielką beczkę i sprawdźcie, ile razy ludzie zeskoczą z beczki na dół. Ktoś stoi i liczy. 1, 2, 3... 15 tys. I to się nakręca. Mam wrażenie, że teraz trochę brakuje w finałach czegoś, co by ludzi zaskoczyło – stwierdza.

A jednak okazuje się, że inicjatywy, które rolę niespodzianki odegrały już dawno temu, wciąż przyciągają. I działa wtedy dla WOŚP to, co można by nazwać efektem tradycji. Tak jest np. w przypadku grupy właścicieli psów rasy golden retriever, kwestującej dla WOŚP w Poznaniu od 10 lat – na tyle długo, by stać

się w pewnym sensie symbolem poznańskiej Orkiestry.

Szymon Kapela, założyciel grupy: – Zaczęło się od tego, że spotykaliśmy się w kilka osób na poznańskiej cytadeli na spacerach z psami. Wiedzieliśmy, że gdzieś w Polsce psy już pomagają WOŚP, więc padło hasło, byśmy robili to samo. Nie było jeszcze wtedy Facebooka, więc na Naszej Klasie szukałem ludzi, którzy też mają golden retrievery. W pierwszym finale, w którym braliśmy udział, było nas dziesięcioro, ale z każdym rokiem przybywało psów i ich właścicieli. Od kilku lat mamy stałą grupę ok. 40 psów, które rotacyjnie wychodzą na ulicę podczas finału (gdy psy czują się zmęczone, właściciele wracają z nimi do domów, stąd rotacja).

Psy biorą też udział w prezentacji sztuczek, odbywającej się w południe na poznańskim rynku, co przyciąga tłumy zainteresowanych.

– Goldeny to duże psy, ale wyglądają tak przyjaźnie, że działają jak magnes – wyjaśnia Szymon Kapela. – Śmiejemy się, że my, wolontariusze, jesteśmy tylko dodatkiem do tych psów i smyczy. Przerosło to nasze oczekiwania. Bardzo często rodziny z dziećmi omijają innych wolontariuszy, widząc psiaki i chcąc wrzucić pieniądze właśnie nam w zamian za to, że mogą się przytulić do naszych podopiecznych czy zrobić sobie z nimi zdjęcie – dodaje. – Maluchy przynoszą całe skarbonki, czasem jednogroszówek, a rodzice opowiadają nam, że dzieci przez cały rok odkładały, wiedząc, że będą potem mogły przyjść do psów.

Szymon Kapela przyznaje, że na początku działalności grupy byli przekonani, że psy przyciągną głównie dzieci. Okazało się jednak, że zwierzęta budzą również zainteresowanie seniorów: – Opowiadają nam historie o swoich psach, które już odeszły. Wielu tych ludzi ze względu na podeszły wiek nie może już wziąć nowych szczeniąt. Dlatego chętnie przychodzą i wrzucają pieniądze do naszych puszek, by pobyć z naszymi psami i przez chwilę znów czuć tę radość. Szczególnie wzruszająca jest para staruszków, która zawsze przychodzi do nas pod poznański zamek rano w dniu finału, kiedy jeszcze niewiele się dzieje, by pogłaskać wszystkie nasze psy.

Anna Brzeska

KONFABULATOR Z HAMBURGA

Jeden z najczęściej nagradzanych reporterów „Spiegla”
latami zmyślał historie i manipulował faktami

Wojciech Osiński

Korespondencja z Niemiec

„Der Spiegel” należy niewątpliwie do najbardziej wpływowych pism na świecie. Jego publicyści i dziennikarze są regularnie obsypywani wyróżnieniami. Do niedawna zaliczał się do nich także Claas Relotius, wschodząca gwiazda niemieckiego reportażu. 33-letni hamburczyk pracował dla „Spiegla” od 2011 r., zdobywając wiele nagród. Otrzymał m.in. cztery Niemieckie Nagrody Reporterskie, Nagrodę im. Petera Scholla-Latoura, European Press Prize oraz nagrodę przyznaną przez organizację pomocy dzieciom Kindernothilfe. W 2014 r. amerykańska telewizja informacyjna CNN nadała mu tytuł Dziennikarza Roku, a zaledwie miesiąc temu dostał kolejną nagrodę za reportaż o pewnym syryjskim dziecku.

Okazuje się, że większość tych nagród młody reporter będzie musiał zwrócić. Krótko przed świętami wyszło na jaw, że wymyślił historie i bohaterów w co najmniej 14 z 60 swoich tekstów opublikowanych w tygodniku i na jego portalu. Nowy redaktor naczelny „Spiegla” Ullrich Fichtner wybrał ucieczkę do przodu i sam ujawnił skandal w redakcji. „Relotius działał celowo, metodycznie i z prawdziwie kryminalną energią – napisał w oświadczeniu, zaznaczając, że prawdziwy rozmiar skandalu wciąż jest nieznanym. – To będzie trwało miesiącami, bo jeszcze nie wiemy, ile naprawdę kłamstw zawierają te teksty”.

Ostatecznie Relotius przyznał się do oszustwa i złożył wypowiedzenie, choć nawet gdy ciężar dowodów był już przyniatający, odpierał zarzuty. Jeszcze w końcu listopada próbował ratować swój wizerunek napisanymi przez siebie mejlami, które miały pochodzić od jego rozmówców i być dowodem zawodowej rzetelności. O ile autentyczność informacji w relacjach z odległych krajów często była nieweryfikowalna i Relotius łatwo mógł zbierać (zmyślać) wypowied-



Claas Relotius otrzymał wiele nagród dziennikarskich, w 2014 r. telewizja CNN nadała mu tytuł Dziennikarza Roku.

dzi, nie wychodząc z hotelu, o tyle w ostatnim artykule trafił na współautora, który znał się na rzeczy.

UPARTY MORENO

Manipulacje Relotiusa prawdopodobnie nie zostałyby ujawnione, gdyby nie jego redakcyjny kolega Juan Moreno. W listopadzie przygotowywał on z Relotiusem zdalnie tekst o amerykańsko-meksykańskim pograniczu. Moreno miał wiele zastrzeżeń co do wiarygodności zawartych w nim informacji, co wzmocniło jego wcześniejsze podejrzenia. „Moim największym atutem był fakt, że nie znałem Claasa osobiście. Znałem go wyłącznie z jego reportaży. Były świetnie napisane, ale zawierały zbyt wiele szczegółów. To nietypowe dla tego gatunku dziennikarskiego”, przyznał kilka dni po ujawnieniu skandalu w wywiadzie dla swojego byłego pracodawcy, „Süddeutsche Zeitung”. Poza tym Moreno zauważył kilka niedociągnięć warsztatowych. Relotius pisał o amerykańskich strażnikach patrolujących południową granicę, z których jeden rzekomo oddał strzał.

„Jeśli ktoś strzela, piszę o tym na początku, a nie dopiero na końcu drugiej wersji tekstu. Najpóźniej wtedy wiedziałem, że coś nie gra”, przyznaje niemiecko-hiszpański dziennikarz.

Toteż na początku wzbraniał się przed odgórnie zarządzoną współpracą z Relotiusem. „Nie chciałem z nim pisać, bo już wcześniej podejrzewałem, że w tekstach posługuje się większą dawką fantazji niż rzetelnych informacji”, przekonuje. Opoowiada, jak kiedyś zauważył w jednym z artykułów Relotiusa o Stanach Zjednoczonych zdjęcie bohatera, który zdaniem autora chciał zachować anonimowość. Tyle że ta fotografia obiegła już amerykańską prasę. A o widocznym na niej człowieku, który bynajmniej nie chciał ukrywać swojej tożsamości, powstał film dokumentalny.

Zapytany, dlaczego wcześniej nie próbował nagłośnić swoich podejrzeń, Moreno odpowiada: „Zarzuć sławnemu dziennikarzowi »luźne« podejście do swoich źródeł, to tak jak zakwestionować wyrok sędziego. Przez jakiś czas wzruszałem ramionami, ale tym razem jego artykuł był też podpisany moim nazwiskiem. Jeśli ktoś inny ujawniłby manipulacje, cień podejrzeń padłby również na mnie”.

Zresztą o mały włos tak się nie stało. Jedną z aktywistek, odpowiedzialną w imieniu grupy strażników granicznych za kontakt z mediami, zapytała redakcję „Spiegla”, jak to możliwe, że Relotius napisał reportaż o ich organizacji, skoro nie był na miejscu i z nikim nie rozmawiał.

MÓWIĆ, JAK JEST

Moreno szybko się przekonał, jak trudno dotrzeć z podobnymi zarzutami do szefostwa tygodnika, gdy na celowniku znalazł się tak ceniony reporter jak Relotius. Niektórzy koledzy zaczęli nawet dostrzegać w utalentowanym dziennikarzu ofiarę podłego spisku, a w Morenie kierującego się odruchem zazdrości napastnika, który chce wygryźć zdolniejszego kon-

kurenta. Dlatego teraz są tym bardziej wstrząśnięci. „Przecież Claas jest najskromniejszym i najmiłszym człowiekiem na świecie”, dziwi się redaktor z sąsiedniego biura. W tym świetle staje się jasne, dlaczego Moreno uznał za zaletę brak osobistych kontaktów z Relotiussem. „On nam mydlił oczy i przechrztył nas wszystkich”, tłumaczy dziś Özlem Gezer, wiceszefowa działu Społeczeństwo. Przed świętami redakcja „Spiegla” poświęciła temu tematowi sporą część numeru. Na okładce widnieją słynne słowa ojca tygodnika, Rudolfa Augsteina, uchodzące od lat za hasło profesjonalnego dziennikarstwa: *Sagen, was ist* (Mówić, jak jest).

Ta reputacja została teraz mocno nadzarpnięta, zwłaszcza jeśli chodzi o zachowanie samej redakcji, która stanęła murem za Relotiussem. Dzisiaj jej naczelny bije się w piersi: „Przez cztery tygodnie Moreno przechodził istne piekło, bo jego koledzy i przełożeni nie wierzyli w oskarżenia”.

Młody reporter wymyślił historie i bohaterów w co najmniej 14 z 60 tekstów opublikowanych w „Spieglu” i na jego portalu.

Dziennikarz był jednak uparty i na własny koszt przeprowadził *research*, aby zebrać dowody winy Relotiusa. Skontaktował się np. z kilkoma informatorami, z których wypowiedzi obficie miał czerpać kolega po piórze. Okazało się, że nigdy nie spotkali niemieckiego dziennikarza o podobnym nazwisku. „Relotius umiejętnie zaprzeczał wszystkim oskarżeniom, wszystkim dobrze udokumentowanym dowodom Morena. Jednak ostatecznie doszedł do punktu, kiedy to przestało funkcjonować, a on sam zaczął cierpieć na bezsenność z powodu strachu przed odkryciem jego tajemnicy”, czytamy we wstępie zatytułowanym „In eigener Sache” („W osobistej sprawie”).

WALKA Z FAKE NEWSAMI

Zresztą skandal może dotyczyć nie tylko „Spiegla”. Relotius współpracował z innymi mediami, choćby z wpływowym miesięcznikiem „Cicero”, dziennikiem „Die Welt” oraz lewicową gazetą „die tageszeitung”, w których również mógł nadużyć swojego talentu. W samym „Spieglu” ukazało się kilkadziesiąt jego artykułów. Redakcja w samoocyszczającym tonie wskazuje jeszcze inne rzekomo zmyślane reportaże Relotiusa, np. o Amerykance, która miała być świadkiem egzekucji w Stanach Zjednoczonych, o irackich dzieciach uprowadzonych przez terrorystów ISIS czy o pewnym więźniu w Guantanamo.

Zwykle Relotius utrzymywał, że z bohaterami tekstów spotykał się osobiście, podczas gdy w rzeczywistości opierał się na informacjach zaczerpniętych z innych magazynów oraz portali, takich jak YouTube. Ubarwiał poza tym swoje teksty



Na okładce „Spiegla”, w którym redakcja pisze o wpadce Relotiusza, widnieją słowa założyciela pisma Rudolfa Augsteina: *Sagen, was ist* (Mówić, jak jest).

nie wiemy). Po opublikowaniu tekstu zwrócił się prywatnie do czytelników, aby dla owych dzieci wpłacili na jego konto składki, które następnie rzekomo sobie przywłaszczył. On sam odpiera te zarzuty, sprawa ma więc charakter rozwojowy.

Przypadek Relotiusa jest o tyle bolesny, że przytrafił się redakcji „Spiegla”, ostatniej ostoji dziennikarskiej rzetelności w nawale *fake newsów* (z którymi dotąd zresztą niezłomnie walczyła). Tygodnik ukazuje się od ponad 70 lat i jest bodaj najważniejszym niemieckim pismem informacyjnym, znanym z niezawodnego profesjonalizmu. Średni nakład tego magazynu wynosi 720 tys. egzemplarzy. W okresie powojennym założyciel „Spiegla” Rudolf Augstein wiódł prym w walce o wolność słowa, a za zbyt „niezależne” dziennikarstwo trafił nawet do więzienia. Ośmielił się bowiem zakwestionować zdolność obronną Bundeswehry, czym ściągnął na siebie niechęć rządzących, podejrzewających go o zdradę stanu. Dzisiaj określenie „Spiegel-Affäre” nie budzi już tamtych pozytywnych skojarzeń, bo na lata będzie nieodłącznie związane ze sprawą Relotiusa. Redakcja nazwała jego manipulacje rysą na swojej długiej historii i przyznała, że jest głęboko wstrząśnięta. Tygodnik powołał komisję wewnętrzną, która ma zbadać wszystkie teksty reportera.

Redakcja przeprosiła też czytelników i osoby, które zostały bezpośrednio dotknięte działaniami Relotiusa. Jednocześnie Ullrich Fichtner zaznacza, że poza tym jednym przypadkiem etyka dziennikarska „Spiegla” utrzymuje się na najwyższym poziomie: „Mimo że nasze wydawnictwo musi stawić czoło poważnemu kryzysowi, na dodatek w i tak już burzliwym okresie przebudowy jego struktur, śmiem twierdzić, że nadal gwarantujemy rzetelność i dziennikarstwo najwyższej jakości”

W pierwszym tegorocznym numerze „NIE”:
Z dużej afery mały deszcz,
czyli rasizm po pisowsku.



► PALIWO DLA POPULISTÓW

Sprawa jest oczywiście poważniejsza, bo dla populistów z Alternatywy dla Niemiec i sympatyków Pegidy, wypisujących na transparentach hasła typu „Lügenpresse” (kłamliwa prasa), afera „Spiegla” stała się doskonałym paliwem. Kolejne problemy mogą się wiązać z faktem, że tygodnik jest najbardziej wrogim Donaldowi Trumpowi medium w Niemczech. Redaktorzy z Hamburga raz po raz wrzucali na okładki karykatury prezydenta USA, insynuując, że co rusz wzniesie on pożary polityczne. Szkody wyrządzone tygodnikowi przez młodego konfabulatora są więc ogromne, skoro ambasador Stanów Zjednoczonych w Berlinie po skandalu (ujawnionym w dodatku za sprawą kłamliwych doniesień o amerykańskich strażnikach na meksykańskiej granicy) generalnie zakwestionował wiarygodność relacji „Spiegla” z USA, który przecież poza Relotiusem zawsze miał w swoich szeregach świetnych korespondentów.

To skądinąd temat na osobny artykuł, jakim cudem zmyślone teksty mogły przejść przez barierę działu dokumentacji, w przeszłości chlubę wydawnictwa nad Łabą. Pracownicy tego działu (a jest ich ponad 60) przed każdą publikacją pedantycznie badają wszystkie szczegóły i liczby. O ile więc takie dzienniki jak „Bild” niekiedy żyją ze zręcznego manipulowania faktami

(choćby poprzez krzyżujące nagłówki i leady mające się nijak do zawartości tekstu zasadniczego), o tyle w przypadku „Spiegla” można odnieść wrażenie, że jeden konfabulator uruchomił upadek całego imperium medialnego. Teksty Relotiusa przechodziły bowiem nie tylko przez dział dokumentacji, lecz

Można odnieść wrażenie, że jeden konfabulator uruchomił upadek całego imperium medialnego.

także przez redaktorów z działu korekty i dział prawny, gdzie analizowano materiały pod względem wszelkiego rodzaju pułapek prawnych. Niewykluczone, że skandal może wywołać lawinę pozwów.

REDAKCJA GO POWIESIŁA

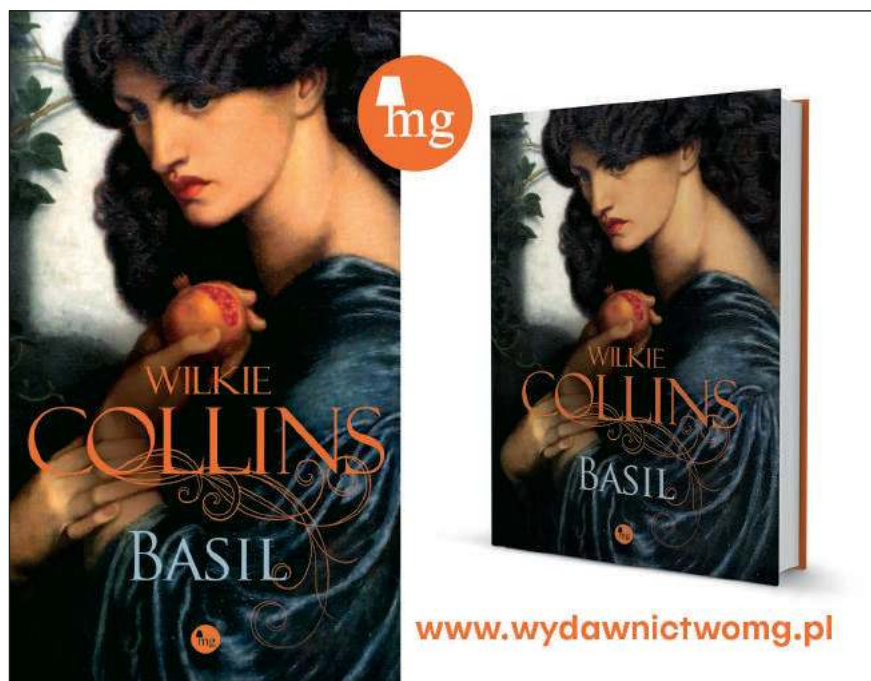
Można – nie bez ironii – postawić tezę, że Relotius wybrał nieodpowiedni zawód. Gdybyż został powieściopisarzem lub nowelistą! Ma fantazję i doskonałe pióro. Zaskakuje jednak upór, z jakim nieszczęsnemu reporter do samego końca bronił swoich kłamstw. Jak podaje „Spiegel”, kiedy dziennikarz już się poddał, wyjaśnił, że nie chodziło mu o laury ani o kolejną wielką story, ulegał raczej lękom i presji, by nie zawieść. „A ta presja była tym większa, im większy odnosiłem sukces”, miał tłumaczyć. Aż w końcu musiał stwierdzić, że

jest chory i potrzebuje pomocy. Tutaj najpóźniej należy zadać kilka pytań dotyczących komunikacji między przełożonymi a młodszymi redaktorami w prestiżowym medium, za jakie chce uchodzić „Spiegel”. Czy Relotius rzeczywiście ulegał wyłącznie „kryminalnej energii”, jak twierdzi Fichtner?

Sposób, w jaki redaktor naczelny rozprawił się z kimś, kogo wcześniej chwalał pod niebiosa, nie spodobał się w branży. „To jest młody człowiek, a jego redakcja w ostatnim numerze dosłownie go powiesiła”, uważa Giovanni di Lorenzo, redaktor naczelny tygodnika „Die Zeit”. Wtórzy mu Michael Meyen, medioznawca z Monachium: „Media takie jak »Spiegel« oczekują od swoich autorów nieprzerwanie kompletnych i doskonałych tekstów, aby w dalszym ciągu zagwarantować czytelnikowi dziennikarstwo »najwyższej jakości«. Relotius im je więc dostarczał, obawiając się zarażeniem reakcji szefów, kiedy nie docierał do rozmówców lub gdy wysiłki reporterskie pozostawały bez rezultatu. Ta sprawa jest także dla samej redakcji okazją do przemyśleń”.

Rozprawiając się medialnie z Relotiusiem, nowy naczelny chciał zapewne udowodnić, że młody reporter był tylko wypadkiem przy pracy i że zainicjowane śledztwo obala zarzuty o kłamliwej prasie. Ale trudno oprzeć się wrażeniu, że w „Spieglu” każdy trochę, na swój sposób, konfabuluje. Nawet publicyści polityczni lub reporterzy z Bundestagu zmyślają pewne sytuacje, aby zwiększyć dramaturgię i atrakcyjność tekstów. Jakże często w tym tygodniku autorzy powołują się na zdobyte wypowiedzi pewnych „rozmówców z otoczenia pani Merkel”. Ten styl (obok domniemanej rzetelności) stał się już rozpoznawalną cechą „Spiegla”. Anonimowość rozmówcy jednak nie tylko zabezpiecza dziennikarza przed zarzutem manipulacji, ale również sprzyja dalszemu tworzeniu fikcji. Zacytujmy tu dziennikarza Henryka Brodera, który sprawę Relotiusa ujął bodaj najdosadniej: „Dziennikarski diabeł nasrał tam, gdzie leżało już sporo gówna”.

Wojciech Osiński



Z Galicji



Jan Widacki

Po noworocznym orędziu pana prezydenta nikt już chyba nie ma ochoty na politykę. Zapomnijmy o niej na czas jakiś. Powspominajmy sylwestra.

Strzelały szampany i fajerwerki, suweren żegnał stary rok, a witał nowy. W wielkich miastach nowy rok witano hucznie na wielkich imprezach gromadzących tysiące ludzi. To już stało się tradycją. Repertuar tych imprez, ich scenografia będą zapewne przedmiotem badań rozmaitych etnologów i historyków obyczaju. Podobnie jak zjawisko zanikania tradycyjnych dotąd balów sylwestrowych. Te ostatnie zastępowane są przez rozmaite potańcówki połączone z wyżerką, organizowane przez restauracje i hotele. Należą do pokolenia, które odróżnia potańcówkę czy dyskotekę od balu. Spróbuję wyjaśnić te różnice. W końcu zaczął się karnawał, może te uwagi komuś się przydadzą.

Nie nosi się orderów do smokingu ani do garnituru. Chyba że jest się weteranem wojny ojczyźnianej i idzie się nie na bal, tylko na defiladę na placu Czerwonym.

Śmiałe odstępstwa od tych rygorów (np. smokiny z koszulą rozpiętą pod szyją) uchodzą celebrytom, którzy znając normy, w ten sposób demonstracyjnie okazują ich lekceważenie. Przy czym jest to na tyle jednoznaczne, że nikt nie ma wątpliwości, że to świadome odstępstwo, a nie wynik braku znajomości reguł. Jeśli się nie jest księciem Walii, lepiej nie ryzykować. Demonstracja raczej będzie odebrana jako brak wychowania i znajomości reguł.

Bal wymaga muzyki na żywo. Nie muszą to być filharmonicy wiedeńscy, wystarczy mały zespół, który potrafi zagrać zarówno modne przeboje, jak i walca wiedeńskiego. Nie ma balu przy

KILKA UWAG PO SYLWESTRZE

Wspomniane różnice sprowadzają się, najogólniej rzecz biorąc, do stroju, repertuaru, rodzaju muzyki. Także do towarzysstwa. Kiedyś rozróżniano stroje balowe i wieczorowe, dziś ta różnica się zatarta. Pozostawmy przy strojach wieczorowych. Panowie w smokingu lub rzadziej we frakach. Te ostatnie prawie wyszły z użycia, choć szkoda, bo to najpiękniejszy współczesny strój męski. Są jeszcze obowiązkowe na tradycyjnie najelegantszych balach, organizowanych w pięknych, stylowych wnętrzach, przy muzyce wykonywanej przez najlepsze orkiestry, na balach z udziałem głów państw lub innych wyjątkowo dostojnych osób. Na zwykły bal panom wystarczy smokiny. O ile frak trzeba szyc na miarę, o tyle smokiny można kupić gotowy, w cenie nieróżniącej się zbytnio od ceny garnituru. Do smokingu nosi się czarną muszkę i czarne lakierki lub czarne, gładkie półbuty, byle nie na gumie! Jeśli ktoś nie ma smokingu, może założyć ciemny garnitur, czarny, granatowy lub stalowy. Do niego koniecznie białą koszulę i muszkę lub krawat. Tu muszka nie powinna być czarna. Krawat jedwabny, gładki, ciemny. Buty czarne, nie na gumie, wyczyszczone!

Panie mają znacznie większe pole do popisu i znacznie większe od panów pole manewru. Suknia balowa powinna być długa. Musi być długa, jeśli partner jest w smokingu. Ale zamiast długiej sukni może być długa spódnica lub spodnie (ale nie dzinsy!), do tego jakaś strojnieszka bluzka. I szpilki lub inne czółenka na obcasie. Ważnym uzupełnieniem stroju jest biżuteria. Nie musi być złota. Nie powinna udawać złotej. Elegancie może być srebro. Nielegancie zawsze będzie sztuczne złoto. Nadmiar biżuterii wcale elegancji nie dodaje, przeciwnie. No i oczywistym dodatkiem do stroju musi być odpowiednia fryzura i makijaż. Z tym też, podobnie jak z biżuterią, nie należy przesadzać.

Odpowiednikami damskiej biżuterii w stroju panów są ordery. Te się nosi do munduru, a z cywilnych ubrań tylko do fraka.

muzyce z płyt. Tradycyjnie w Polsce bale zaczynały się polonezem, kończyły nad ranem mazurem. Dziś mazura nikt prawie już tańczyć nie potrafi. Ale poloneza, przy odrobinie staranności i elementarnym poczuciu rytmu, potrafi każdy. Miło jest zaczynać bal polonezem, choć konieczne to nie jest. No i ważna uwaga. Bal powinien zaczynać się po godz. 20. Śmiesznie wyglądają smokiny w blasku słońca, dlatego bale urząda się w karnawale, a nie w maju lub czerwcu, kiedy jasno jest do godz. 22.

Oprócz ewentualnego poloneza na balach tańczy się walce, tanga, rozmaite inne tańce towarzyskie, można i rock and rolla lub inne modne rytmy, ale w rozsądnych proporcjach, by tańczącym pot nie spływał po czołach i jego zapach nie zdominował zapachu perfum. Zwłaszcza gdy rozgrzani trunkami i tańcem panowie zaczynają rozpinać, a później ściągać marynarki, co niestety zdarza się, choć nie powinno. Panowie pływający lub podrywający w przepełnionych koszulach do balu nie pasują.

Zwykle na balach podaje się kolację, do niej serwuje trunki. Oprócz kolacji z reguły jest jeszcze zimny bufet (u nas, i tylko u nas, od czasów szwedzkiego potopu zwany szwedzkim stołem), czasem nad ranem podaje się jeszcze na gorąco barszcz lub żurek. Obok zimnego bufetu przez cały czas balu czynny jest bar. Sposób korzystania z niego też należy do kultury. Kieliszek tego lub owego trunku ma podtrzymać dobry humor, odpędzić senność, a nie spowodować niepewny krok taneczny, bełkotliwą mowę czy – jak to czasem nie daj Boże się zdarza – utratę świadomości.

Można noc sylwestrową spędzić na balu, można na rynku, można w lokalu, teatrze, w górskim schronisku, a nawet w bawówce. I wszędzie można dobrze się bawić. Ale w każdym z tych miejsc obowiązują trochę inne zasady. Ktoś, kto na sylwestra w schronisku lub bawówce przybyłby w smokingu, będzie wyglądał równie głupio jak ktoś w sweterku na balu.

No to „Niech żyje bal...”. Dobrego roku!

Jarosław Dobrzański

Ponad trzy dekady temu, w obliczu upadku pierwszej Solidarności, w londyńskim „Aneksie” redagowanym przez Aleksandra Smolara pojawił się nietypowy dla emigracyjnej publicystyki tekst, będący zarazem próbą oceny przyczyn porażki Solidarności, jak i rozrachunkiem z głównym nurtem antysystemowej opozycji wobec władz PRL¹. Tekst nietypowy w tym sensie, że do tej pory pisma emigracyjne stosowały nadzwyczajną taryfę ulgową wobec krajowej opozycji, przyjmując, że wszelka krytyka oznacza jej osłabianie i jest korzystna dla władzy, równa się więc zdradzie interesów społecznych i narodowych.

Nawet klęska związkowej emanacji opozycji – Solidarności – nie wywołała żadnej refleksji, nie mówiąc już o próbie podsumowania dokonań tego wyjątkowego w krajach demokracji ludowej ruchu. Piśmiennictwo emigracyjne, podobnie jak krajowe, wydawane poza oficjalnym obiegiem, uświęciło ofiarę Solidarności, idealistycznie widząc w niej zwieńczenie dziejów polskich zrywów narodowych i uwalniając ją – jak miało to miejsce w przypadku wcześniejszych powstań, z warszawskim na czele – od oceny jej celów i działań przez pryzmat ich realnych skutków. Zwalniając Solidarność z odpowiedzialności za historię, którą współtworzyła, całą winę za niepowodzenie próby reform społecznych zrzucano na „totalitarny i zbrodniczy reżim komunistyczny”.

Piśmiennictwo emigracyjne uświęciło ofiarę Solidarności, idealistycznie widząc w niej zwieńczenie dziejów polskich zrywów narodowych.

Stało się tak, mimo że Solidarność od początku stylizowała się na modłę antypolitycznej tradycji narodowej, co w połączeniu z nieumiarkowaniem, moralizowaniem, zastępowaniem teatralnymi gestami sprytu politycznego i umysłowym kolektywizmem musiało przypieczętować jej los.

OD TOTALITARYZMU DO AUTORYTARYZMU

Autor tego wyjątkowego tekstu, historyk idei prof. Andrzej Walicki, wychodził z założenia, że jedyna

NIEDOKOŃCZONY SPÓR O POLSKĘ

O realizmie politycznym Andrzeja Walickiego



W 1998 r. prof. Andrzej Walicki otrzymał z rąk prezydenta Włoch Oscara Luigi Scalfara Nagrodę im. Eugenia Balzana, najważniejszą europejską nagrodę w dziedzinie humanistyki.

możliwa strategia pożądanego przemian idących w kierunku poszerzenia zakresu wolności w Polsce musiałaby uwzględniać, z uwagi na realia polityczne i uwarunkowania międzynarodowe, jakiś rodzaj kohabitacji

ideologii marksistowskiej w jej humanistycznej wersji. Inaczej niż rewizjoniści, którzy liczyli na reformy poprzez zreformowany system (demokratyczny socjalizm), Walicki stawiał na reformy poprzez zreformowanych ludzi władzy. Nie spodziewał się wiele po wewnętrznej demokratyzacji aparatu partyjnego. Tego rodzaju program napawał go raczej lękiem niż nadzieją. Budził obawy o roztrwonienie energii na jałowe spory polityczne, co z kolei groziłoby rozrostem ideologicznego sekciarstwa, a nie pomniejszało znaczenie ideologii.

i współpracy z władzą państwową, a dokładniej z jej frakcją reformistyczną, co w praktyce oznaczało warunkowe uznanie państwa i władz PRL przez opozycję.

Odrębność jego wizji politycznej od wizji dominującej w środowisku intelektualnym bliskim autorowi dała o sobie znać jeszcze w latach 50. W odróżnieniu od rewizjonistów, którzy w okresie destalinizacji wystąpili z programem budowy socjalizmu bez wypaczeń, Walicki, który marksistą nie był, nie uważał, by pożądane zmiany musiały się odwoływać do

Bardziej zależało mu na ograniczeniu władzy partii nad społeczeństwem, na zwiększeniu jego swobód – osobistych, kulturalnych, intelektualnych – niż na jakkolwiek rozumianym dzieleniu się władzą czy udziałem społeczeństwa we władzy. Było całkiem zrozumiałe, że rewizjoniści nie będą w stanie się porozumieć

ze stalinistami, a dla partyjnych odwilżowców będą zbyt radykalni i niebezpieczni politycznie. Program rewizjonizmu musiał zatem przegrać za sprawą jego wewnętrznej sprzeczności, a także przez brak wycucia realnych granic kontestacji i nieumiejętność dostrzeżenia po drugiej stronie partnerów do rozmowy.

W latach 60. stanowisko intelektualistów opozycyjnych, które najpełniej wyrażał Leszek Kołakowski, stawało się coraz bardziej nieprzejednane. Mimo że odwilż przyniosła pożądane zmiany, on – wbrew oczywistości – twierdził coś wręcz przeciwnego, że popaździernikowa zmiana władzy oznaczała początek

wewnętrznej stabilności. Podniósłby się także prestiż międzynarodowy, i to nie wyłącznie tej władzy, ale całej konstrukcji państw skupionych wokół ZSRR. Rozwiązanie to niosłoby pewne korzyści pragmatyczne, ułatwiając procesy zarządzania zarówno na poziomie poszczególnych państw, jak i z perspektywy Kremla. Czy były to jedynie pobożne życzenia? Przecież zaledwie kilka lat później, za Gorbaczowa, ZSRR pozwolił satelitom na znacznie więcej – na zupełną zmianę ustroju i odzyskanie suwerenności. Poza tym nawet w czasach stalinowskich pewne cele i decyzje władz PRL cieszyły się znacznym poparciem społecznym. Konfrontacyjna

na przez partię. Jedno i drugie nie byłoby możliwe bez destalinizacji w ZSRR. Wydarzenia te z kolei dowodzą, że wbrew zimnowojennym zwolennikom teorii o niezmienności komunistycznego totalitaryzmu ustroj radziecki i jego polska odmiana były zdolne do ewolucji w kierunku progresywnym, liberalnym. Możliwa zatem musiała być i strategia sprzeciwu społeczeństwa obywatelskiego opierająca nadzieje na ewolucję systemu na kooperacji z jego administratorami. Walicki postulował zastąpienie wewnątrzpartyjnego rewizjonizmu przez działania pozapartyjne, ale wewnątrzsystemowe. Dawałyby one szansę na dialog

Prof. Walicki wychodził z założenia, że jedyna możliwa strategia pożądanych przemian w Polsce musiałaby uwzględniać jakiś rodzaj kohabitacji i współpracy z władzą państwową.

końca odwilży. Inni jeszcze bardziej radykalizowali to stanowisko, mówiąc wręcz o początku restalinizacji.

Można więc powiedzieć, że wizja Walickiego była propozycją zrobienia kolejnego, po odwilży, kroku na drodze detotalitaryzacji ustroju. Chodziło nie o reformowanie socjalizmu i szukanie humanistycznej wersji marksizmu, ale o osłabianie znaczenia ideologii, poszerzanie zakresów wolności jednostki i zwiększanie autonomii Polski wobec Kremla, za cenę zaakceptowania ograniczeń wynikających z położenia Polski i rozumiały w kategoriach realizmu politycznego. Uwarunkowania te oznaczały, że władza polityczna nadal będzie spoczywać w rękach aparatu partyjnego, ale będzie ona ograniczona; że nadal będzie to system autorytarny i niedemokratyczny, ale już nie totalitarny, nie wszechwładny. Pogląd ten potwierdza zarówno teoria politologiczna (Juan Linz), jak i doświadczenie krajów strefy radzieckiej i samego ZSRR.

Autor uważał, że Moskwa mogłaby uznać taką ewolucję za korzystną także z jej punktu widzenia i zaakceptować ją. Władza w podporządkowanym jej państwie byłaby oparta już nie na strachu i terrorze, ale na warunkowym przyzwoleniu społeczeństwa. Legitymizowałaby się więc nie tyle przymusem i ideologią, ile swego rodzaju umową społeczną, a to byłaby zmiana fundamentalna. Nie tylko umocniłoby to podstawy jej

strategia opozycji, obliczona na pogłębianie przepaści między społeczeństwem a władzą, abstrahowała od tego faktu.

Z drugiej strony władza mająca warunkowe poparcie społeczeństwa dysponowałaby większą swobodą wobec jej zwierzchnictwa na Kremlu. Polska Ludowa nie przestałaby więc być państwem o ograniczonej suwerenności zewnętrznej, ale stałaby się mniej radziecka, bardziej polska i bardziej obywatelska. Poodwilżowy etap ewolucji politycznej PRL przybrał przecież kształt bardzo podobny do tego wyobrażenia. Nie ulega wątpliwości, że władza spersonalizowana w osobie Gomułki do pewnego momentu cieszyła się autentycznym poparciem społecznym. Dzięki temu miała swobodę inicjatyw na gruncie międzynarodowym, którą potrafiła wykorzystać z zyskiem dla państwa. Szczególnym przykładem jest sprawa uregulowania granicy zachodniej.

MIT NIEREFORMOWALNEGO KOMUNIZMU

Obiegowa opinia utrzymuje, że popaździernikowa odwilż wypłynęła na fali rewizjonizmu, która przetoczyła się przez polskie uniwersytety i środowiska intelektualistów. Walicki odwraca tę zależność. Rewizjonizm stał się możliwy dzięki polityce liberalizacji, którą przyniosły odwilż i swego rodzaju wewnętrzna dekomunizacja ustroju przeprowadzo-

niepartyjnych elit z reformatorsko nastawioną ekipą władzy, która byłaby wrażliwa na argumenty odwołujące się do interesu państwowego. Krytycy wytykali mu brak realizmu, utrzymując, że „do tanga trzeba dwojga”, a strona rządowa nie była, nie jest i nigdy nie będzie zainteresowana takim dialogiem. Wydarzenia z lat 1988-1989 obaliły jednak te argumenty.

Tymczasem w latach 70. i 80. w kręgach intelektualistów nastawionych opozycyjnie do realnego socjalizmu w Polsce zaczęła przeważać myśl, że jedyną drogą do zmian jest stała presja na system, izolowanie go, kompromitowanie jego działań i ludzi i ostateczne obalenie go lub wywołanie jego upadku. Założenia te kłóciły się zarówno z logiką systemu, jak i z doświadczeniem i faktami. Z tymi założeniami podjął polemikę Walicki.

DEFICYT RACJONALIZMU

Tekst Walickiego wpisywał się w bogatą polską tradycję historycznej literatury rozliczeniowej i nasycał skójarzenia ze stańczykami oraz krakowską szkołą historyczną. Jednak mimo że zawierał wiele cennych spostrzeżeń i racjonalnych ocen wyrażonych językiem wolnym od emocji, nie spotkał się z zainteresowaniem wśród elit opozycyjnych ani na emigracji, ani w kraju, nie wywołał ożywionej debaty, nie ▶

► mówiąc już o sympatii czy akceptacji wyłożonych w nim poglądów. Opozycja wyraziła oburzenie i ostro skrytykowała autora. O nieprzychylnym klimacie wokół tego tekstu i odrzuceniu jego tez przez te środowiska przesądziły tabu chroniące Solidarność przed krytyką i grupowe myślenie elit opozycyjnych zaangażowanych w budowę własnej mitologii. Odczytany ponownie po latach, w innym kontekście politycznym, tekst Walickiego ujawnia prawdy wciąż aktualne. Są to prawdy wstydlive i skrzętnie ukrywane przed społeczeństwem. Staje się bowiem jasne, że najgorsze cechy mentalności opozycyjnej z końcowej fazy PRL przetrwały i przeniknęły do rządzącej dziś formacji, a nawet wzmocniły się i wyolbrzymiły, zagrażając stabilności demokracji w Polsce.

W wymiarze bezpośredniego kontekstu historycznego kwestia podjęta przez Walickiego dotyczyła rozrachunku z Solidarnością. Polska właśnie przeszła przez burzliwą fazę swojej najnowszej historii – półtoraroczny „karnawał Solidarności” i zamykający ten okres stan wojenny. W szerszym kontekście, wychodząc poza najnowsze wydarzenia, dyskusja stawiała problem uczenia się wspólnoty obywatelskiej z własnych doświadczeń i powtarzalności czy też utrwalania się pewnych zachowań i kosztownych błędów w polskiej mentalności politycznej.

Jeśli dziś warto powrócić do tych sporów, to właśnie z powodu wyraźnej w naszych powojennych dziejach tendencji do bezkrytycznego powtarzania utrwalonej reakcji i mentalnych klisz, które nie pozwalają refleksji politycznej uwolnić się od ucieczki od racjonalizmu. Odczytana w ten sposób dyskusja sprzed 35 lat ujawnia niebezpieczną cechę polskiej mentalności politycznej – niezdolność do myślenia w kategoriach realistycznych i wynikającą stąd nieumiejętność poprawnego zdefiniowania interesu narodowego. Esej Walickiego warto przeczytać razem z wydanym właśnie obszernym tomem jego korespondencji z Kołakowskim. Listom, pisanym w ciągu 50 lat, towarzyszy komentarz Walickiego, stanowiący wraz z korespondencją bogate źródło wiedzy o losach polskiej inteligencji i jej zaplątaniu w politykę².

NIEPOPRAWNA POLITYCZNIE KRYTYKA SOLIDARNOŚCI

Autor opierał swój wywód na zgodnym ze stanem faktycznym twierdzeniu, że pomimo oczywistego ograniczenia suwerenności PRL sam fakt posiadania państwa, nawet wadliwego, stanowi wartość, dzięki której można osiągać pewne istotne dla narodu cele. Co więcej, dowodził logicznie, że od władzy ograniczonej przez zewnętrzne uwarunkowania nie można wymagać tego, czego ona nie jest w stanie zrobić. A nadto, że jej zdolność do działania zbieżnego z obiektywnym interesem narodu jest wprost proporcjonalna do poparcia, jakiego udziela jej społeczeństwo. Władza totalnie kontestowana czy wręcz odrzucana przez istotną część aktywnego politycznie społeczeństwa nie tylko nie będzie mogła realizować pożądanego z punktu widzenia interesu narodu celów, ale też skazana będzie na rosnące uzależnienie od sił zewnętrznych oraz zaprzeczonych obcym wpływom krajowych ośrodków twardego komunizmu.

Sympatia autora, który nigdy nie był komunistą, była po stronie opozycji. Jednak jego krytycyzm, oparty na solidnej, spójnej logicznie argumentacji historyczno-politycznej, tak bardzo uderzał w zakorzenione w niej uprzedzenia i nawyki myślowe, że uznany został za wrogi atak z zewnątrz, któremu należy dać przykładny odpór.

Polska Ludowa stałaby się państwem mniej radzieckim, bardziej polskim i bardziej obywatelskim.

Oponenci Walickiego nie byli w stanie spojrzeć na rzeczywistość w zaproponowany przez niego sposób. Nie potrafili nawet zaakceptować zakładanego przezeń minimalnego warunku merytorycznej dyskusji, jakim było odrzucenie postrzegania PRL jako absolutnego zła, niezdolnego do najmniejszej pozytywnej metamorfozy. Walicki bez ogródek pisał, że PRL, choć nie jest państwem naszych marzeń, jest czymś więcej niż autonomią i „lepsza taka państwowość niż żadna”. Powoływał się na autorytet Emmericha de Vattela, który twierdził, że podmiotowość prawną mają kraje „hołdownicze i pozostające w nierównym sojuszu”, ale nie bezpaństwowe.

Tymczasem wedle dominującego przekazu opozycji tak ograniczona suwerenność sprawiała, że władza ta nie mogła być uznana za naszą, lecz jedynie za władzę wypełniającą wolę obcych, a wobec tej nieusuwalnej ułomności władzy wszystkich Polaków nadal obowiązywał kodeks patriotyczny z okresu przedpaństwowego istnienia narodu, w szczególności postawa moralno-politycznej negacji władzy, czyli niepisany kodeks honorowy uświęcony romantyczną tradycją powstańczą. W tym świetle każda współpraca z władzą była kolaboracją i zdradą.

PRL BEZ IDEALIZACJI I DEMONIZACJI

Walicki widział to inaczej. Potwierdzał, że przy istniejących uwarunkowaniach międzynarodowych – dominacji ZSRR w jego strefie wpływów w Europie Wschodniej – autonomia społeczeństwa polskiego była nikła. Jednak zakres autonomii nie w pełni suwerennej władzy był znaczny. I właśnie dzięki temu możliwe były wszystkie odrębności tak bardzo wyróżniające PRL na tle innych państw podległych ZSRR. Zwłaszcza odrębności w nauce i kulturze, a więc w sferach niezwykle wrażliwych dla samoświadomości narodowej i doniosłych dla historycznej ciągłości narodu.

Uważał ponadto, że możliwości, jakie stwarzała ta sytuacja – posze-

rzania pozapolitycznych swobód i zakresu samorealizacji społecznej – nie zostały jeszcze w Polsce w pełni wykorzystane. Stało się tak za sprawą nieprzejdanej postawy opozycji, która poprzez odmowę choćby warunkowej legitymizacji spychała władzę na pozycje wyobcowania i zmuszała ją do szukania oparcia na zewnątrz. Tym samym nie mogła ona skutecznie pełnić funkcji parasola ochronnego dla ograniczonej sfery autonomicznej działalności społeczeństwa. Zakres tego ograniczenia równy był zakresowi niepolitycznych swobód w ówczesnej Polsce i ten właśnie obszar był polem manewru, na którym opozycja,

świadoma ograniczeń niezależnych od władzy, mogła w drodze negocjacji z władzą wywalczyć więcej dla narodu. Mogła też, zajmując stanowisko nieprzejednane, zmniejszyć ten zakres lub wręcz doprowadzić do jego likwidacji.

Walicki nie był więc naiwnym apologetą PRL³. Zdawał sobie sprawę ze złożoności przyczyn zaistniałej sytuacji i tego, że wina – jeśli mówić w kategoriach odpowiedzialności moralnej – nie leżała po jednej stronie. Stopień demoralizacji nomenklatury, wyobcowanej ze

dogadania się i samozorganizowania w struktury państwa.

ORYGINALNOŚĆ „KISIELA”

Stefan Kisielewski pisał, że zawsze dziwiła go nieadekwatna do realiów postawa niektórych środowisk inteligentkich i młodzieży wobec władzy – pryncypialna wrogość i prowokacja po odwilży 1956 r. i niemalże uległość w czasach prawdziwego terroru, kiedy intensywność niechęci wobec reżimu była znacznie mniejsza. Władysław Gomułka widział to

Walicki bez ogródek pisał, że PRL, choć nie jest państwem naszych marzeń, jest czymś więcej niż autonomią i „lepsza taka państwowość niż żadna”.

społeczeństwa i postępującej się państwem do zaspokojenia własnych apetytów, ograniczał wiarę opozycji w możliwość wpływania na władzę i negocjowania z nią w interesie ogólnospołecznym.

Ani zatem uzależniona od aparatu elita partyjna, ani sam uwikłany w swoje korupcyjne interesy aparat nie były zainteresowane dogadywaniem się z opozycją. Jednak ani jedni, ani drudzy, poza ekstremistycznymi wyjątkami, nie chcieli czołowej konfrontacji z masowym ruchem. Pozostaje więc prawdą, że wraz z ewolucją systemu od totalitaryzmu do autorytaryzmu i równolegle z postępującą dezideologizacją PRL oddziaływanie na władzę stawało się teoretycznie bardziej możliwe niż we wcześniejszych okresach. Opozycja jednak nie umiała wykorzystać niekonfrontacyjnych technik manipulacji władzy, warunkowego dawkania legitymizacji i zaangażowania strony przeciwnej w swego rodzaju proces negocjacyjny.

Demoralizacji nomenklatury na pewno sprzyjała – zgodnie z logiką niezamierzonych konsekwencji – rozpowszechniona w kręgach opozycji postawa odmowy współpracy z władzą. Postępowanie takie skazywało bowiem władzę na pozyskiwanie zasobów ludzkich w drodze selekcji negatywnej, pozbawiając ją dostępu do najlepszych kandydatów. Nie chcąc legitymizować władzy oddolną współpracą, opozycja wtrącała ją w objęcia oportunistów i cynicznych karierowiczów. Był to więc kolejny przykład niezdolności Polaków do

podobnie. „Kisiel” opowiadał o niesmaku, z jakim Gomułka odniósł się do grupy nieprzejednanych inteligentów, którzy w 1956 r. w jakimś proteście gremialnie i teatralnie, na czele z pisarzem Jerzym Andrzejewskim, wystąpili z partii. Miał im wtedy wyrzucić, z uzasadnionym sarkazmem, że „za Stalina mogli być w partii, a teraz nie mogą”. Gomułka być może jako pierwszy – wiele lat przed powstaniem KOR i Solidarności – dostrzegł ten paradoks, że wraz z postępującą liberalizacją ustroju w PRL narastała kontestacja władzy przez elity intelektualne i inteligencję.

Tendencja ta nabrała w końcu znamion patologii, jeśli uwzględnić fakt, że proces potępiania w czambuł PRL nigdy nie ustał ani nie zwolnił. Dziś, prawie 30 lat od upadku PRL, antypeerelizm sięga zenitu. Komunizm umarł, za to antykomunizm okazał się – jak Lenin – wiecznie żywy. Zabalsamowana nienawiścią do PRL pisowska władza stała się żywym mauzoleum antykomunizmu.

Czytelnika, który dziś zajrzałby do zakurzonego egzemplarza „Aneksu”, mogłoby zdziwić, że wśród kilku odpowiadających Walickimu znalazł się tylko jeden, który przyznał rację inicjatorowi ówczesnego sporu o kondycję „moralno-psychologiczną” polskiej inteligencji. Jednomyslność z autorem uzasadniał tymi słowami: „Pan Walicki jest mi nie tylko bliższy swym łaodem myślowym, lecz i niejako swą »formacją historyczną«, swymi doświadczeniami. Brałem już w życiu udział w kilku powstańczych

zrywach młodzieży zakończonych klęską i nie bardzo mnie bawi stwierdzenie na nowo, że każde pokolenie musi popełniać te same błędy, bowiem błędy są niezmiennie, tak jak prawa biologii. Poza tym, podobnie jak i pana Walickiego, interesuje mnie forma dzisiejszej polskiej państwowości. Niesuwerenna i obdarzona absurdalnym ustrojem łączącym gospodarkę z polityką jest jednak to państwowość ciekawa historycznie, terytorialnie i demograficznie, jakby rozmyślna antyteza Polski Jagiellońskiej, której wielonarodowa federa-

cyjność srodze się na nas po wiekach zemściła. Tak więc Walicki bliższy mi jest swym myślo-

wym łaodem, ma koncepcję, logikę, argumenty, a także krytyczną odwagę, której bardziej nam dzisiaj w ocenie minionych paru lat potrzeba niż hagiografii”.

Autorem apologii „pana Walickiego” był Stefan Kisielewski. Mistrz filozofii politycznej zdrowego rozsądku okazał się jedynym sprawiedliwym. Reszta adwersarzy nie sprostafa intelektualnie debacie, poprzestając na filipikach, drwinach, uproszczeniach i demagogii. Tytuł odpowiedzi jednego z nich oddaje nastrój większości: „Pon się bojo we wsi ruchu”. Prócz „Kisielewa” wśród respondentów Walickiego znaleźli się Leszek Kołakowski, Waldemar Kuczyński, Jan Józef Lipski i Krzysztof Pomian.

MITOLOGIA PIERWSZEJ SOLIDARNOŚCI

Wbrew obowiązującej do dziś oficjalnej wersji historii Walicki pokazał, że Solidarność nie była ruchem wyzwolenia narodowego sięgającym do tradycji romantycznych. Traktowała ona tę narrację historyczną i cały sztafaż polskiego patriotyzmu cynicznie i instrumentalnie, jako taran do walenia we wroga – PRL – i narzędzie do podważania jej legitymizmu. Stawiała sobie cele zbędne lub na wyrost. Polska już miała państwowość, a jej wolność mogła zostać poszerzona lub zmniejszona, ale nie dopiero wywalczona. Nie chciała też Solidarność ograniczenia omnipotencji władzy, lecz co najwyżej „zdemokratyzowania totalitaryzmu”. Nie była poza tym wyłącznie ruchem ▶

► odnowy moralnej, bo ujawnił się jej agresywny moralizm, tendencja do samouniewinniania się, a także do egalitaryzacji jako równania w dół i usprawiedliwiania powszechnej w społeczeństwie „afrykańskiej korupcji” zrzucając winę na „system”,

drużyna „dobrej zmiany”, przyswoiła sobie *modus operandi* najgorszej kleptokracji rodem z republik bananowych – z bijącymi w oczy kumoterstwem, nepotyzmem i prywatą – nie wzięła się znikąd. Pod względem zachłanności i pazerności

rodowego tabu”. Słowa Walickiego miały być ostrzeżeniem, a stały się proroctwem, które wypełniło się dosłownie. Rządząca obecnie ekipa w stopniu ekstremalnym uwewnętrzniała niemal wszystkie negatywne cechy dawnej opozycji i Solidarności.

Gomułka być może jako pierwszy dostrzegł paradoks, że wraz z postępującą liberalizacją ustroju narastała kontestacja władzy przez elity intelektualne i inteligencję.

jakby był on czymś zewnętrznym wobec społeczeństwa w warunkach realnego socjalizmu. W 1981 r. Solidarność i jej intelektualści nie potrafili przyjąć tych faktów do wiadomości i woleli spektakularnie rozsadzić istniejące państwo, niż moliwnie je naprawiać. Dziś, po prawie trzech dziesięcioleciach państwowej mitologizacji tego ruchu, posługujemy się tak dalece zafaszowanym obrazem jego przeszłości, że nadal nie dopuszczamy do siebie tych prawd.

Na marginesie warto zauważyć, że łatwość, z jaką dzisiejsza posolidarnościowa ekipa odwołująca się do mitu Sierpnia, a w szczególności

na majątek społeczny elity solidarnościowe prześcignęły wszystkie ekscesy dawnej komunistycznej nomenklatury.

Walicki nie krytykował etosu opozycji z przekory czy złośliwości. Chciał zapobiec powtórce tych samych błędów. Dotychczas Solidarność jedynie wychwalano, a nawet gloryfikowano, a za mało krytykowano. Dająca się unieść fali pozornej rewolucji inteligencja opozycyjna, przy zupełnym braku samokrytyki i rzeczowej refleksji, ujawniła skłonność do „autoheroizacji, antyintelektualizmu, myślenia życzeniowego i okopywania się na pozycjach na-

Widać to najwyraźniej w jej fałszywym moralizmie i skrajnej nietolerancji wobec osób i opinii dystansujących się od myślenia grupowego i stadnych emocji.

Jarosław Dobrzański

PRZYPISY

¹ Andrzej Walicki, *Myśli o sytuacji politycznej i moralno-psychologicznej w Polsce*, „Aneks” 1984, nr 35, s. 82-104.

² Leszek Kołakowski, Andrzej Walicki, „Listy 1957-2007”, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2018.

³ Bardzo proszę nie kwestionować określenia „naiwny apologeta”. Słowo apologeta nie oznacza poplecznika, zwolennika, chwalcę, a jedynie obrońcę, kogoś, kto usprawiedliwia określone idee lub osoby.

KARP OKIEM PRAKTYKA

Polemika z prof. Andrzejem Elżanowskim

Sławomir Litwin

Artykuł „Karpiobójstwo” (PRZEGLĄD nr 50) prof. Andrzeja Elżanowskiego skłonił mnie do wyrażenia innych, niż sam autor, poglądów w sprawie polskiego karpia. Jestem dyplomowanym ichtiologiem z 65-letnim stażem pracy w rybactwie śródlądowym, głównie stawowym. Od „prostaka” ichtiologa do głównego decydenta w rybackiej administracji państwowej.

Mam świadomość, że podejmuję polemikę z profesorem. Wybitnym naukowcem, biologiem, zoologiem specjalistą, np. od linii filogenetycznych ptaków – awifauny, weterynarinem. Karp to jednak temat dla ichtiologów, zarówno naukowców, jak i praktyków. Przez ponad 60 lat praktyki w produkcji karpia i jego sprzedaży zdobyłem orientację o tym, co się zaczęło dziać w polskim obrocie żywym karpem w ostatnich latach

i kto jest sprawcą tego dziwnego zjawiska.

1. Stanowczo neguję twierdzenie profesora, że 86% Polaków protestuje i sprzeciwia się znęcaniu nad karpami, do jakiego dochodził rzekomo przy sprzedaży żywych karpia. Dowód? 21 grudnia o godz. 11 w warszawskim Leclercu na Ursynowie kolejka po żywego karpia liczyła ok. 100 osób. Płaty, tusze, dzwonka karpia można było kupić bez kolejki. Podobna sytuacja była dzień wcześniej w radomskim Selgrosie.

2. Prof. Elżanowski pisze, że według EFSA 10-minutowe przebywanie bez wody powoduje duszenie się karpia i wywołuje 50-krotne podniesienie poziomu hormonu stresu. Taki pogląd jest skrajnie sprzeczny z praktykami i z licznymi badaniami profesjonalistów, np. Instytutu Weterynarii w Puławach, podanymi w pu-

blikacji prof. Jerzego Antychowicza i in. „Stres i stresozależne zaburzenia zdrowotne występujące u ryb”.

3. Co do uboju karpia, to wieloletnie badania ichtiologów i praktyków wskazują, że obowiązujący w wytycznych Głównego Lekarza Weterynarii sposób uśmiercania karpia jest ubojem zasadnym.

4. Całkowicie chybiona jest propozycja, aby karpie i inne ryby

uśmiercać prądem zaraz po połowie. Czy mógłby pan profesor wskazać chociaż jeden kraj na świecie stosujący taką metodę uśmiercania ryb?

Prof. Elżanowski gani dr. inż. Henryka Białowąsa, znanego specjalistę ichtiologa, że „poszedł na współpracę z Towarzystwem Promocji Ryb”. Czy autor „Karpiobójstwa” nie poszedł na znacznie większą współpracę z amatorskimi pozarządowymi organizacjami ochraniarskimi Viva!, Otwarte Klatki czy Noga w Łapę? Chociaż w tej sprawie usprawiedliwia profesora wegetarianizm. ■



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

JEDEN FASZYSTA?

Tyle się wydarzyło. Ostatnio. Ciągłe. W ostatnich dniach. W minionych godzinach. O tylu sprawach i zdarzeniach mogę przeczytać, obejrzeć je niemal. I potem tylko to uporządkować, zrozumieć i dalej wartko w żywot brnąć.

Zaczął pracę nowy Kongres USA, w którym zasiądą m.in. (jak to barwnie wypunktował Zbigniew Hołdys, a wcześniej sfotografował magazyn „Vanity Fair”): Alexandria Ocasio-Cortez (z pochodzenia Portorykanka), Ayanna Pressley (pierwsza czarnoskóra członkini Kongresu ze stanu Massachusetts), Ilhan Omar (muzułmanka, imigrantka z Somalii), Veronica Escobar (pierwsza Latynoska z Teksasu w Kongresie), Deb Haaland i Sharice Davids (pierwsze Indianki w Kongresie, jedna to członkini szczepu Laguna Pueblo, druga plemienia Ho-Chunk, w dodatku mistrzyni MMA, weteranka armii USA, lesbijka, działaczka LGBT). Dobrze pomyśleć, ile napsują krwi w imię dobra wspólnego pewnemu złotowłosemu narcyzowi, obsadzonemu w roli prezydenta USA.

A poza tym jeszcze w 2017 r. nowo opisany przez Kanadyjczyka dr. Vazricka Nazariego gatunek ćmy otrzymał nazwę *Neopalpa donaldtrumpi*. Nowa ćma wyróżnia się w rodzinie *Neopalpa* żółto-białymi łuskami na głowie oraz wyraźnie mniejszym penisem. Sama ma około centymetra, żyje w Kalifornii i Meksyku. Ale dowiedziałem się o tym dopiero teraz... Jak to się stało?

Chińczycy wyładowali (a właściwie chiński ładownik kosmiczny) po ciemnej stronie Księżyca, która, jak wiadomo, nie jest wcale ciemniejsza od tej nam znanej, tylko stale i trwale niewidoczna z Ziemi. Będą szukać skarbów, czyli minerałów, i lokalizacji bazy kosmicznej i może budowy teleskopu, bo tam ziemskie hałasy i szумы nie docierają. Wielki kosmiczny wyścig, figura starcia światowych gigantów, dawniej ZSRR i USA, wraca w nowym stylu i z wielkim graczem.

Niecałą dobę (pierwszą dobę roku wyborczego 2019) fruwał w przestrzeni polityczny projekt zmian w ustawie o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie. To, co w nim nowego się pojawiło, to zniknięcie słowa jednorazowe z definicji przemocy w rodzinie, która miała się stać przemocą domową (bo jak dobrze wiemy, rodzina ma być święta i w takowej nigdy żadnej przemocy nie ma, a te setki tysięcy pobić kobiet i dzieci w rodzinnych pieleszach to przemoc lokalowa, domowa, mieszkaniowa). W defini-

cji czytaliśmy o „jednorazowym albo powtarzającym się umyślnym działaniu lub zaniechaniu naruszającym prawa lub dobra osobiste”, w projekcie nowelizacji PiS słowo jednorazowe wykreślono. Program natychmiast został oprotetowany (w dniu wolnym od pracy) i zyskał brutalną nazwę „Wpierdol+”. Raz każdemu może się zdarzyć? Premier Morawiecki, szybciej niż lecą rosyjskie rakiety, wycofał (osobiście) projekt. Ale mleko się rozlało. Tak to się kończy, kiedy refleksja idzie po, a nie przed.

Refleksja refleksją, ale o co chodzi z mianowaniem i wciągnięciem do rządu neofaszystowskiego krasnala i karierowicza, byłego ONR-owca i szefa Młodzieży Wszechpolskiej, niejakiego Adama Andruskiewicza, dzięki Kuzkowi powsta RP, który zasłynął dotąd wyłącznie z marnie wykrzyczanych nacjonalistyczno-faszystowskich tyrad na manifestacjach narodowców oraz z wyludzenia z kasy Sejmu kilkudziesięciu tysięcy złotych na paliwo, chociaż nie ma on nawet prawa jazdy? Niezbadane są meandry zamiłowania obecnie rządzących do usuwania wyłącznie tych problemów, które chwilę wcześniej sami stworzyli. Tu trochę za szybko napisałem, bo Andruskiewicz wciąż wice-

ministrem cyfryzacji jest (kiedy piszę te słowa) i ze zrozumiałą skromnością, która kroczy za kompetencjami, zaapelował – dotąd domena premierów

– o sto dni ciszy nad jego poczynaniami. Niedoczekanie! Islamofob i homofob będzie musiał teraz poznać wszystkie cyfry arabskie. Tego się nie spodziewałem...

A poza tym skończył się wreszcie ten przeklęty COP24 w Katowicach, tłumaczka Donalda Tuska odmówiła zeznań, Tadeusz Rydzek koncelebrował mszę po śmierci Tadeusza Pieronka, milczy jak grób Antoni Macierewicz oskarżony przez Tomasza Piątka w nowej książce o bycie współpracownikiem Biura Studiów Służby Bezpieczeństwa w latach 80., idzie strajk nauczycieli.

A ja nie mogę wyrzucić z głowy śmierci sześciu bezdomnych osób, które spłonęły w jakimś pustostanie na Żeraniu, w świąteczną noc, w stolicy chrześcijańskiego kraju, kiedy na setkach tysięcy stołów stały puste nakrycia dla nieznanych wędrowców. Nie poznamy imion, nazwisk ani historii życia tych ludzi. Przemoc, która ich tam zagnała i spaliła, jest niewidoczna, niesłyszalna, bezwonna. To nie zasługuje na nic więcej niż chwilę w mediach. Na szczęście w Danii zderzyły się pociągi, zatrzymano setki pijanych kierowców w Polsce, był korek na Zakopiance i faszysta z papierami jest w rządzie.

Sześć bezdomnych osób spłonęło w stolicy chrześcijańskiego kraju w świąteczną noc, gdy na stołach stały nakrycia dla nieznanych wędrowców.

Adam Bodnar

Nastąpiła zmiana na stanowisku rzecznika praw dziecka. Po 10 latach, w połowie grudnia zeszłego roku, zakończył swoją misję Marek Michalak. To dobra okazja, aby przyjrzeć się jego dorobkowi i zastanowić nad współczesnymi problemami związanymi z ochroną praw najmłodszych obywateli.

10 lat w życiu kraju, zwłaszcza jeśli chodzi o demografię, to cała epoka. Dość powiedzieć, że od 1 stycznia 2008 r. do 30 czerwca 2018 r. urodziło się w Polsce ponad 4 mln dzieci, czyli więcej, niż mają ludności takie kraje jak Litwa, Słowenia czy Łotwa. Los każdego z tych dzieci jest w pewnym sensie także „zadaniem” dla RPD. Obrazuje to skalę wyzwania, przed jakimi stanął w minionej dekadzie Marek Michalak.

Oczywiście nie sposób tu przedstawić wszystkich dokonań RPD. Liczba jego wystąpień, inicjatyw i zrealizowanych projektów jest imponująca, dlatego pokusiłem się o sporządzenie spisu tylko najważniejszych spraw, takiego subiektywnego dekalogu Michalaka, aby ten niezwykle obszerny materiał zobrazować w sposób możliwie przejrzysty. Subiektywnego – ponieważ, nie ukrywam, szczególnie mi bliskie są nasze wspólne działania i współpraca urzędów Rzecznika Praw Obywatelskich i Rzecznika Praw Dziecka na rzecz ochrony praw dzieci.

I. Nie będziesz bił dzieci

Zdecydowane stanowisko Marka Michalaka w tej sprawie stało się swoistym symbolem obu jego kadencji. Mieliśmy tu do czynienia zarówno z ostrymi wystąpieniami publicznymi, jak i z realizowanymi z pasją kampaniami społecznymi, a zwłaszcza sławną „Kocham, nie biję”. Myślę, że w efekcie doprowadziło to do pewnej zmiany społecznej – przestaliśmy powszechnie akceptować „klapsy” jako metodę wychowawczą. Co prawda, ciągle dopuszcza je 47% Polaków, ale jeszcze 10 lat temu uważało tak aż 78%. Udało się też zmienić na korzyść dzieci wiele przepisów w tym zakresie. A swoją drogą warto może w tym miejscu wspomnieć o ostatniej rozmowie Marka Michalaka z Władysławem Bartoszewskim, tydzień przed śmiercią profesora, który powiedział mu wtedy:

Prawa dziecka, czyli dekalog Michalaka

Konsekwentną postawą i nadzwyczajnym zaangażowaniem rzecznik praw dziecka starał się udowodniać, że prawa dziecka to prawa człowieka

„Niech pan przypomina wszystkim, że przyzwoici ludzie nie biją dzieci”.

II. Alimony to nie prezenty, należy je płacić

Niepłacenie alimentów jest dużym problemem społecznym w Polsce. Szczególnie że narażone na krzywdę są tu przede wszystkim dzieci. Dlatego powołaliśmy w tej sprawie wspólną komisję RPO i RPD złożoną z wybitnych ekspertów. Dzięki bliskiemu współdziałaniu podjęliśmy mnóstwo interwencji, przebiliśmy się do opinii publicznej, z naszych inspiracji zrodziły się zmiany w prawie. Myślę, że można mówić także o rodzącej się zmianie w podejściu do alimentów w sferze społecznej i mentalnej.

III. Kocham, nie piję

Wciąż wiele dzieci rodzi się z FAS, alkoholowym zespołem płodowym. To bolesny społecznie problem, któremu należy zdecydowanie się przeciwstawić. Trwa dyskusja co do metod osiągnięcia tego celu, ale nikt na szczęście nie kwestionuje sensu starań o taką profilaktykę. Zaangażowani w to są nie tylko rzecznicy, ale i wiele innych osób z życia publicznego, w tym celebryci. Cieszę się, że wspólnie udało nam się uruchomić kampanię społeczną „Kocham, nie piję”. Wzięła w niej udział m.in. pani Odeta Moro, która niedawno sama urodziła synka.

IV. Dziecko ma prawo do matki i ojca

To dzięki inicjatywie Marka Michalaka do Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego wprowadzono zapis, że dziecko ma prawo do wychowania przez oboje rodziców. Problemy okołorodzinne zawsze są wielkim wyzwaniem

– frustracja rodziców (głównie ojców), szybkie zmiany społeczne i obyczajowe, nieefektywny system prawny, problemy transgraniczne. Wszystko to wymaga cierpliwych, konsekwentnych działań w różnych obszarach. Sprawę komplikuje fakt, że nawet wiele organizacji społecznych i pozarządowych jest w tych kwestiach podzielonych i prezentuje różne stanowiska. RPD jednak nigdy nikogo nie odrzucał, wytrwale dyskutował, szukał rozwiązań, kierując się dobrem dziecka. Niestety, wiele problemów wciąż pozostaje nierozwiązanych, m.in. kwestia reprezentacji dziecka jako uczestnika postępowania rozwodowego.

V. Nie będziesz traktował dzieci jak zawodników w podnoszeniu ciężarów

RPD udało się uruchomić naszą wyobraźnię na temat codziennych obciążeń dzieci w szkole. Zauważył np. tornistry, których waga często przekracza połowę wagi ciała dziecka. Także to, że książki i akcesoria szkolne są za ciężkie, a zeszyty ćwiczeń drukowane na papierze kredowym. I że nie ma w szkołach szafek, by te ciężkie przedmioty tam zostawiać. Problem stał się z czasem przedmiotem publicznej debaty, a ministrowie edukacji i władze szkolne znalazły się pod presją.

VI. Oszczędźmy dzieciom w szpitalach dodatkowych cierpień

Rzecznik zawsze interesował się dziećmi przebywającymi w szpitalach, często je odwiedzał i wspierał. Podejmował działania w sprawie warunków i zasad sprawowania przez rodziców w szpitalu opieki pielęgnacyjnej nad dzieckiem, wspólnego pobytu oraz wynikających z tego opłat. Podobnie reagował, gdy pojawiały się proble-



Marek Michalak jest kawalerem przyznawanego przez dzieci Orderu Uśmiechu. N. w czasie uroczystości wręczenia orderu Katarzynie Brożek, nauczycielce i instruktorce Nieprzetartego Szlaku z Torunia.

my związane z wypowiedzianiem przez lekarzy klauzuli *opt-out* czy w kwestii zapewnienia dzieciom odpowiedniej opieki pielęgniarstwie. Upomniał się o ochronę zdrowia dzieci podczas akcji antysmogowych. Wreszcie bardzo krytycznie ocenił stan psychiatrii dziecięcej. Od siebie mogę dodać – ponieważ jako RPO zajmowałem się tym wielokrotnie – że mamy tu do czynienia z fragmentem większej całości, czyli ogólnego zaniedbania przez władze ochrony zdrowia psychicznego w naszym kraju. I jeszcze jedno, otóż równoległe z RPD występowałem w sprawie dostępu do leczenia chorób rzadkich, pojawia się tu bowiem wyjątkowo dużo problemów z organizacją i finansowaniem kuracji chorych, bardzo często dzieci.

VII. Nie wolno dyskryminować ani szkalować dzieci w przestrzeni publicznej

Na przykład segregując dzieci w stołówce w zależności od tego, kto płaci za obiady: opieka społeczna czy rodzice. Niestety, to przypadek z moich rodzinnych Gryfic, gdzie dzieci jadły na plastikowych talerzach i plastikowymi sztućcami obiady kupowane przez opiekę społeczną. A szkany to np. hejt w szkołach – mieliśmy z RPD wspólne wystąpienie w sprawie Dominika z Bieżunia, który był prześladowany i popełnił samobójstwo. Wciąż występuje też przemoc w szkołach (choćby rzucanie w dzieci kluczami), jak również nieodpowiednie traktowa-

nie dzieci będących w szczególnych sytuacjach, np. dzieci z niepełnośprawnymi (problem ich dowozu do szkół czy edukacji włączającej), dzieci migrantów i uchodźców albo dzieci osób bezdomnych.

VIII. Będziesz wierny faktom, nawet jeśli to ci się nie opłaca

Widać to było np. w czasie głośnej debaty politycznej po wyborach w 2015 r. o „odbieraniu dzieci przez sądy z powodu biedy”. Jednym z głównych tematów był postulat zakazu rzekomo powszechnych praktyk tego typu. Szczególnie zaangażował się w to minister sprawiedliwości. Jednak w Polsce nie odbiera się dzieci z powodu biedy, co wyraźnie widać w statystykach. Biedzie zazwyczaj towarzyszą inne problemy społeczne: uzależnienia, zaniedbania czy przemoc. I to one są powodem odbierania dzieci. Rzecznik praw dziecka miał odwagę występować przeciwko takiemu taniemu populizmowi. Pokazywał, jakie są fakty.

IX. Czcij bohaterów

Marek Michalak budował swoją misję RPD na barkach gigantów – Janusza Korczaka i Ireny Sendlerowej. Był to dla niego kompas moralny oraz wyznacznik standardów. Przybliżał nam dorobek tych postaci, nie zawsze przecież znany w szczegółach, wykorzystywał ich myśli i doświadczenia w celu pokazywania

sensu służby publicznej. A wielu osobom pomagał w ten sposób budować osobiste motywacje do działania na rzecz innych, zwłaszcza tych w skrajnie trudnych sytuacjach życiowych.

X. Uśmiechaj się

Marek Michalak jest kawalerem Orderu Uśmiechu. Traktuje uśmiech jako najlepszy lek na rany i troski życiowe. Łączy się to z jego wrodzonym optymizmem. Dla niego uśmiech to także deklaracja dobrej woli i otwarcie się na drugiego człowieka, można powiedzieć – swoista oferta współpracy. Rzecz nie do przecenienia, zwłaszcza gdy pracuje się z dziećmi. Miejmy zresztą nadzieję, że może kiedyś ten nowy standard przyjmie się w całym naszym życiu publicznym.

Nie ulega wątpliwości, że Polska A.D. 2018 była dla swoich najmłodszych obywateli inna niż Polska w roku 2008. I jeśli w tym czasie wiele się zmieniło na lepsze, jest w tym również zasługa Marka Michalaka. Jak mało kto w naszym kraju swoją konsekwentną postawą i nadzwyczajnym zaangażowaniem starał się udowodnić, że prawa dziecka to prawa człowieka. I że, posługując się słowami jego mistrza Janusza Korczaka, „Nie ma dzieci – są ludzie”.

Warto też zauważyć, że rzecznik praw dziecka był niebanalnym przykładem urzędnika państwowego. Przez 10 lat, w nietatnych, zmieniających się warunkach politycznych i społecznych, sprawował urząd w sposób godny i efektywny, z zachowaniem standardów etycznych i prawnych. O takich postawach i o takiej kulturze urzędniczej mówimy, że są propaństwowe. Michalak pokazał, że państwowcem można być w każdych czasach.

Czy jego misja będzie kontynuowana? Mogę tylko odpowiedzieć, że z pewnością wiele środowisk dziecięcych i rodzicielskich, w tym ja, bardzo byśmy tego pragnęli. Choćby dlatego, że bardzo wiele problemów – wskazanych w niniejszym dekalogu, ale także w innych opracowaniach dotyczących praw dzieci – wciąż pozostaje do rozwiązania. I warto by tu przyjąć inną, wynoszącą nas ponad polityczne i społeczne spory, zasadę: wszystkie dzieci są nasze.

Dr Adam Bodnar od 2015 r. pełni funkcję rzecznika praw obywatelskich

Helena Leman

7 grudnia prawie kilometrowa kładka przez bagna do skitu – pustelni św. Antoniego i Teodozjusza Kijowsko-Pieczerskich w Odrynkach, skrzypi pod nieskazitelnie czystym śniegiem. Mrocznie, choć minęło dopiero południe. Cisza tak wielka, że słychać szelest zmarzniętych trzciny na wietrze. Na grobie gospodarza skitu, ojca Gabriela, nie zdążyła jeszcze zwiędnąć górka kwiatów, jeszcze płoną przy nim lampki. Inne, porozstawiane wzdłuż ściany cerkwi, wzdłuż alejek, przy polowej kuchni, przy dębach, już zgasty. Pustelnik, doktor teologii, archimandryta, przez kilka lat zwierzchnik monasteru w Supraślu, odszedł 22 listopada w wieku 56 lat.

W 2005 r. Olga Pietruczuk-Zajkowska przekazała mu ziemię w dawnym uroczysku Kudak na nadnarwiańskich łąkach w Odrynkach. Według przekazów w miejscu tym stała kiedyś czasownia (niewielka budowla bez specjalnie wydzielonego miejsca na ołtarz – przyp. red.), którą nakazał zbudować książę Wiśniowiecki, przodek naszego króla, po tym jak w 1518 r. objawiła się mu ikona św. Antoniego Kijowsko-Pieczerskiego i wskazała wyjście z mokradła. Od pierwszej połowy XVII w. do 1824 r. istniał tu prawosławny klasztor pw. Wniebowstąpienia Pańskiego. Ojciec Gabriel nawiązał do tych tradycji monastycznych. Oficjalnie skit w Odrynkach został powołany w 2009 r. przez abp. Sawę, prawosławnego metropolitę warszawskiego i całej Polski. Rok później powstała maleńka, drewniana cerkiewka z bali pw. św. Teodozjusza i Teodozjusza Pieczerskich, a w 2013 r. konsekrowano większą cerkiew Opieki Matki Bożej.

– Nie należy płakać po ojcu – mówi Aneta, która dyżuruje w kuchni skitu. – On by tego nie chciał. Odeszło jego ciało, lecz duch pozostał. W ostatnich tygodniach próbował nas przygotować na rozstanie. Raz powiedział nawet, że czuje, że nie dożyje do końca roku. Przed śmiercią prosił: „Kiedy odejdę z tego świata, przychodźcie do mnie na mogilkę i mówcie o swoich kłopotach, będę wam pomagał”.

Eugeniusz z Białegostoku, młody, około trzydziestki, który od lat pilnuje porządku w skicie, sprzęta, pali w piecu i takie to jego *postuszanije*, mówi, że ojciec tu jest. – Jednego dnia, póź-

PRZYJMIJ MNIE, PUSTYNIO

Pustelnia ojca Gabriela
była jak latarnia morska,
otwarta dla wszystkich zagubionych
na morzu życia



nym wieczorem czuwaliśmy z kolegą w domku na górze. Nagle poculiśmy zapach świętego oleju, którym nas namaszczał. „Myro czuć, batiuszka chodzi”, wyszeptaliśmy.

ZA WCZEŚNIE

W 2008 r. ojciec Gabriel nie przyjął wyboru na biskupa pomocniczego ówczesnej diecezji przemysko-nowosądeckiej, dzisiaj przemysko-gorlickiej, i został pozbawiony funkcji przełożonego monasteru w Supraślu. Wybrał życie w Odrynkach, bliżej zwykłych ludzi i przyrody.

– Ojca poznałam w klasztorze w Supraślu w latach 90., kiedy pojechałam do niego po radę i zioła. Później jeździłam do ośrodka diecezjalnego w Krzywcu, gdzie leczył ludzi ziołami i odprawiał nabożeństwa za chorych – opowiada Aneta. – Na tych bagnach, przeszło 10 lat temu zamieszkał w kolejowym wagonie, początkowo nawet

nieobudowanym. Obok stała ławeczka pod dębami i paliło się ognisko. Tu się z nim spotykaliśmy. Zanim położono kładkę, aby dostać się do wsi, trzeba było brodzić w wodzie. Zimą baliśmy się, że on tutaj zamrze. Potem wspólnymi siłami skit rozbudowano. Gdy kilka lat temu przywiozłam tu wujka Aleksandra, który te łąki za młodu kosił, to nie mógł wyjść z podziwu, że coś takiego powstało.

– Jeszcze siedem lat temu – dodaje jeden z mężczyzn – w miejscu, gdzie jest teraz cerkiew, stało pół metra wody. Nawieziono tu masę ziemi, aby podnieść teren. Otoczono skit fosą, która jest też zbiornikiem przeciwpożarowym. Fosę zarybiono, wpuszczono karpie, szczupaki. Wzdłuż kładki postawiono latarnie, we wrześniu odbyło się 500-lecie pustelni. Pewnie te wszystkie starania nadwątlily siły naszego batiuszki.

– Kiedy zadzwoniła koleżanka z wiadomością, że ojciec Gabriel nie żyje



Nieważne, czy to prawosławny,
czy katolik, czy ateista.
Nikogo nie odpychał.

– mówi Halina Sadowska z Odrynek – w szoku wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do Tamary, której syn w cerkwi służy, aby potwierdzić wiadomość. Dwa miesiące wcześniej zbierałam podpisy pod petycją w sprawie naprawy kładki do wsi Rybaki, zajrzałam też do skitu. Ojciec podpisał, obiecał nawet drzewo. Nie miałam pojęcia, że był tak ciężko chory. Uśmiechał się jak zwykle. Lecz przesadnie nikogo nie głośkał. Jak latem zawiozłam mu ogórki, ziemniaki i inne warzywa, aby miał z czego przygotowywać dla wiernych supę po sobotnim nabożeństwie, upomniął mnie delikatnie: „Mogłaś te jarzyny chociaż przerobić”.

Według Eugeniusza każdy człowiek wybiera swoją drogę do zbawienia. – A ojciec – podkreśla – wybrał drogę pod wiatr, pod prąd, nigdy nie płynął z falą. Jego pustelnia była jak latarnia morska, otwarta dla wszystkich zagubionych na morzu życia, nieważne, czy to prawosławny, czy katolik, czy ateista. Nikogo nie odpychał. Przyjeżdżali do niego ludzie z całej Polski, z Białorusi, Ukrainy, Słowacji, Czech, z całego świata.

Na drodze w Odrynkach rozmawiam z mężczyznami, którzy czekają na sklep obwoźny. – Choroba i zgryzoty każdego złamać mogą – wyrokują. – Był niewygodny w Supraślu, potem wysłano go do Łemków, lecz odmó-

wił. Tu, w pustelni, też łatwo nie miał. Ile razy mu ule zniszczono. Dobrze, że pochowano go tutaj, choć to nie było takie pewne. Ludzie będą go odwiedzać, *wieczną pamięć*. Za wcześniej odszedł, za wcześniej.

ZGRYZOTA

Do pierwszej dewastacji doszło w grudniu 2011 r. Nieujęci do dziś sprawcy zerwali krzyż z kopuły na bramie wjazdowej do pustelni, zniszczyli siedem uli, przecięli kabel agregatu prądotwórczego, a traktor zepchnęli do fosy. Zniszczyli też krzyż na kamiennym postumencie za główną cerkwią. W kwietniu 2015 r. ojciec poinformował policję o tajemniczej śmierci tysięcy pszczół. Lekarz weterynarii stwierdził, że padła tylko część pszczół, reszta zniknęła. Rok 2016 zapisał się dwoma dramatycznymi wydarzeniami. W artykule „Gazety Współczesnej” czytam: „21 września, w święto Narodzenia Przenajświętszej Bogurodzicy, czyli w Preczystą, po godz. 20 na teren skitu miało wtargnąć kilku młodzieńców z pochodniami. Grozili duchownemu spalaniem pustelni i całego dobytku wokół. Gdy ojciec krzyknął, że zaraz pojawi się policja, uciekli”. Ojciec Gabriel poprosił wtedy policję o częstsze patrole, oficjalnego zawiadomienia nie złożył.

1 grudnia 2016 r. w południe doszło do pożaru cerkwi Opieki Matki Bożej. „Ojciec Gabriel (...) z okna jadalni zobaczył parę zmierzającą do cerkwi. Po jakimś czasie ktoś zauważył, że cerkiew płonie. Pary, którą widział pustelnik, już nie było. Strażacy gaszący ogień początkowo myśleli, że zarzewiem ognia był piecyk gazowy, którym dogrzewano świątynię. Lecz jak twierdzi duchowny, był on wyłączony, a butla pusta. W czwartek nie było nabożeństw, więc nie było potrzeby ogrzewać cerkwi”, donosił wówczas portal Poranny.pl.

– Ogień błyskawicznie rozprzestrzenił się po ścianach, od grzejnika tak szybko nie mogłyby się zająć, zwłaszcza że od razu interweniowano – mówi starszy mężczyzna, którego pustelnik wyleczył. – Spłonęły ikonostas, ikony na ścianach, księgi i szaty liturgiczne, lecz konstrukcja budynku nie została naruszona. Ojciec nigdy się nie skarżył, lecz czuliśmy, że to przeżywa, tak jak bolały go obraźliwe słowa i okrzyki podczas najścia we wrześniu. Wołano, że ma się wynosić Białoruś. Gryzł się tym. Pogranicznicy podarowali mu nawet psa, żeby czuł się bezpieczniej. Teraz, po jego śmierci, dyżurujemy w skicie na zmianę, aby znów coś się nie stało.

Po incydencie z 2011 r. sprawą zajęła się specjalna grupa śledczych złożona z policjantów ABW i funkcjonariuszy Straży Granicznej. Śledztwo po kilku miesiącach zostało umorzone. W 2017 r. umorzono też śledztwo w sprawie pożaru cerkwi. Najbardziej prawdopodobną jego przyczyną była wada urządzenia grzewczego, informował prokurator Jan Andrejczuk. Moi rozmówcy jednak nie są przekonani. Zniszczoną cerkiew udało się wyremontować. Na ścianach przyciągają uwagę rządy ikon od ofiarodawców z różnych stron świata.

LEKARZ CIAŁA I DUSZY

Gdy kilka lat temu pierwszy raz przyjechałam do skitu, była pełnia lata. Złote kopuły cerkwi połyskiwały w słońcu. Ojca nie zastałam, spotkałam go dopiero następnego dnia na odpuszcie na świętej górze Grabarce. Stał na placu wśród odpustowych kramów z drewnianą skrzynką w ręce i zbierał datki na pustelnię. Jego postać w skromnym habicie wydawała się niedostępna, lecz uśmiech, jakieś ▶

► ciepło w oczach, gdy zwracał się do kogoś „siostrze”, „bracie”, przetłumaczył wszystkie lody.

W filmie Jerzego Kaliny z 2012 r. pokazano, jak powstaje skit. Traktorzysta manewruje w błocie, starając się, by nie ściągnęło go do bagna z przyczepką wyładowaną balami. Ludzie wożą deski na taczce, stukają młotki, powoli powstaje kładka życia. Ojciec gotuje posiłek dla swoich, jak mówi, nieocenionych pomocników. Dzwoni dzwonkiem na obiad. – Kończcie pracę – woła – myjcie ręce i szykujcie się do obiadu! Alosza, już obiad! Siostrze Leno, trzeba dodać kopru do zupy. Życie towarzystwa anioła przy posiłku.

Do bólu samotny wśród ludzi, których kochał i którym oddawał wszystko, nie biorąc nic dla siebie.

Część tej zupy ze szczawiu z uroczyska Kudak ojciec Gabriel przeleje do stoików i zanieś do wsi osobom samotnym, starym kawalerom, wdowcom. Na innym kadrze zbiera zioła: fioletową wierzbowkę „dla ozdoby pustelni”, dobrą na leczenie prostaty, szczaw koński przydatny przy problemach żołądkowych, kwiat dzikiej róży bogaty w witaminę C do herbatek. Potem wybiera miód. – Pierwszy raz będziemy odwirowywać na małych obrotach, gdyż przy szybkim wirowaniu plastry mogą się połamać – tłumaczy.

– Ojciec miał ogromną wiedzę medyczną – mówi Aneta. – Lecz nigdy nie kwestionował leczenia profesjonalnego, swoje terapie ziołami zawsze zalecał dodatkowo. Był dobrym obserwatorem, psychologiem, lekarzem ciała i duszy jednocześnie, patrzył na człowieka kompleksowo. Wystarczyło mu jedno spojrzenie i już wiedział, kto do niego przyszedł...

Lgnęły do niego osoby poranione. Jakiś czas temu w fosie utopiła się kobieta pomagająca w kuchni. Kto wie, pewnie to był nieszczęśliwy wypadek, a może nie... – zastanawiają się ludzie.

W pustelni można kupić książkę „Apteka ojca Gabriela”, jego herbatki prawie już wyprowadane. Został tylko „Sekret odchudzania”. Kupuję.

MARZENIE O UCZNIU

Na filmie Jerzego Kaliny pustelnik cieszy się z przyjazdu mnicha z mo-

nasteru w Supraślu. – O, radość nasza, ojciec Jerzy. Nasze słońce ziemi hajnowskiej i odryńskiej. Na ile dni twój zwierzchnik pozwolił przybyć do nas? – pyta. – Do soboty – odpowiada mnich.

Z młodym zakonnikiem ojciec zbiera, sortuje i wiesza zioła do suszenia. – Nauczysz się wszystkiego i zostaniesz zielarzem jak ja. Człowiek powinien zostawić po sobie ucznia, żeby kontynuował jego pracę, ale to wszystko jeszcze przed nami – mówi.

Gdy jeden z mnichów pyta ojca Gabriela, czy łatwo być w naszych czasach pustelnikiem, odpowiada: – Miałem trzech kandydatów do nowicjatu.

Pierwszy wytrzymał sześć godzin, drugi przetrwał jedną noc i o godz. 3.30 był już spakowany do wyjścia, trzeci przenocował dwie noce. Gdy zapytałem, dlaczego, wszyscy trzej byli zgodni: w pustelni najgorsza jest cisza. Współczesny człowiek, który na co dzień korzysta ze środków masowego przekazu, jest od nich uzależniony, nie może bez tego wytrzymać.

W pustelni dowiaduję się, że ojciec Gabriel w testamencie wyznaczył swojego następcę, ma nim zostać ojciec Gierasim z Supraśla.

– Najtrudniejsze zadanie być posłusznym – mówił pustelnik podczas pobytu w ławrze Kijowsko-Pieczerskiej.

WSPOMNIENIE

Na nabożeństwo w sobotę 8 grudnia wyznaczony następca nie przyjeżdża, za to obecni są dwaj mnisi z Gruzji. Testament ojca Gabriela zostanie otwarty po 40 dniach żałoby. Wracając

Zaszczuty ostracyzmem środowiska, coraz bardziej schorowany, odchodził powoli.

z pustelni z Haliną Sadowską, oglądamy jeszcze zarwaną kładkę przez bagna do Rybak. Przez kładkę do wsi jest 2 km, naokoło dużo więcej.

– Nie zdążyliśmy jej naprawić – wzdycha. – Najbardziej ceniłam w ojcu otwartość, to, że nie dzielił ludzi. Choć wiedział, że jestem niewierząca, nigdy mnie nie traktował inaczej, nie oceniał. Na jego pogrzebie nie było metropolity. Ten skit jest wyłącznie dziełem ojca Gabriela oraz mieszkańców okolicznych wsi i sponsorów. Pewnie

na roztrząsanie takich rzeczy jest za wcześnie, trwa żałoba. Ale uważam, że powinna powstać fundacja jego imienia, którą zarządzaliby ludzie tujejsi i związani ze zmarłym. Ojciec planował postawić wysoką dzwonnice, trzeba będzie zakasać rękawy i zrobić to za niego.

– Doceniał wszystkich, których spotykał, nie patrząc, czy to profesor, czy osobistość, czy prosty, maluczki człowiek – dodaje Adam Musiuk, który pomagał ojcu odbudowywać monaster w Supraślu.

– Zapamiętałam go jako wesołego człowieka – mówi Anna Kryszew, softyska Odrynek. – Miał takie swoje ulubione powiedzenie „super ekstra”, o jakkolwiek sprawę byśmy go zapytali – zawsze było „super ekstra”. W tym zwrocie była mądrość, założenie, że wszystko się ułoży, jeśli nie dziś, to za jakiś czas. Lubił również śpiewać na spotkaniach, np. „Mnohoje leta”. Kiedy go poznałam przez sąsiadkę, która jest księgową w klasztorze w Supraślu, już miał wizję tego miejsca, wiedział, gdzie będzie cerkiew, gdzie fosy. O swoich kłopotach nie rozpowiadał, nawet o tych najściach mówił niewiele.

W internecie umieszczono wspomnienie o ojcu Gabrieli, „dzięki któremu pustynia zakwitła jak piękna łąka”. Jego autorami są Marcin Abijski – teolog, kantor śpiewu bizantyjskiego, i Mariusz Wideryński – fotograf, który od 2010 r. fotografował pustelnika.

– Skit był prawdziwą wewnętrzną pustelnią ojca Gabriela – mówi Mariusz Wideryński. – Do bólu samotnego wśród ludzi, których kochał i którym oddawał wszystko, nie biorąc nic w zamian dla siebie. Zaszczuty ostracyzmem środowiska, coraz bardziej schorowany, odchodził powoli. Widzieliśmy, że

cierpi i gaśnie. Jednak najlepiej widzieli to zwykli ludzie, którzy go przegarnęli na drugi dzień po odejściu z klasztoru i zostali z nim do ostatnich chwil.

Wspomnienie „Przyjmij mnie, pustynio” tytuł wzięto od pieśni królewicza Joasafa: „Przyjmij mnie, pustynio, jak matka swoje dziecko, do cichego i spokojnego swego łona, mnie, com uciekł od przebiegłej nierządnic, którą jest ten świat”.

Helena Leman

Oko w oko



Tomasz Jastrun

BYŁ ROK 2018

Wigilia już mieszka w minionym roku, który odpływa jak oceaniczny statek, by zniknąć za horyzontem. Świętowaliśmy u kuzynki żony, w ich pięknym domu w lesie. Ona mądra, bliski mi jest jej syn, był z żoną i malutkim dzieckiem. Klimatolog, jeździ po świecie na konferencje. Apokaliptyczne wizje związane z globalnym ociepleniem. Fachowcy uważają, że już jest za późno – nawet gdyby teraz zupełnie zablokowano emisję dwutlenku węgla, reakcja łańcuchowa została uruchomiona. Mówi, że w tej sytuacji zastanawiał się, czy jest sens mieć dzieci. Nie, ale uznał, że jeśli się tak myśli, neguje się w ogóle sens życia. Nadal wielu ludzi nie wierzy, jak dramatyczna stała się sytuacja, pisowscy politycy cytują Biblię: „Pan oddał ziemię we władanie ludziom”, więc można tu robić, co się żywnie podoba. A z perspektywą wielkich tragedii w skali globalnej jest jak z małymi katastrofami, choćby z tą pod Smoleńskiem. Skoro leci kwiat polskiej polityki z prezydentem, różne zaniedbania nie wydają się ważne, skoro takie ważne są lecące osoby, jakoś to będzie. Tym bardziej nie mieści się głowie, by tragedia miała spotkać całą ludzkość w jej międzygwiazdowym locie, to niewyobrażalne, więc wyrzuca się zło-wrogą perspektywę z głowy. Jakoś to będzie. A w wigilijny wieczór o polityce ani słowa. Nie tylko dlatego, że ojciec żony, jedyne w rodzinie pisowiec, jest chory i nie wolno go denerwować. Nie mamy już sił.

Mój synek Antoś dostał od Mikołaja wymarzonego iPada, rozmawia z nim, na razie tylko po angielsku, polska wersja w drodze. iPad odpowiada na pytanie ludzkim głosem, czasami poetycko i inteligentnie, tak odpowiedział na pytanie: kim jesteś? Tak, to początek nowej epoki, gdy sztuczna inteligencja wkracza do naszych domów. Piszę powieść, w puencie przenoszę się w przyszłość, rok 2040, mój bohater ma 90 lat i rozmawia z robotem domowym. Teraz widzę, że nie doceniłem robota, musi być mądrzejszy.

Wpada mi w ucho radiowa wiadomość, że zmarł izraelski pisarz, nie usłyszałem nazwiska, dreszcz niepokoju. Sprawdzam w internecie. Amos Oz nie żyje. Tak był mi bliski jako pisarz i człowiek. Spotkałem go kilka razy. Miał polskie korzenie. Typ mędrca i świętego. Trochę rabin, ale zupełnie niereligijny. Bardzo ostro krytykował Izrael, też za politykę wobec Palestyńczyków, prawica izraelska go nie znosiła. Był ciepły i współczujący. Pamiętam, jak mówiłem mu, że skala Holocaustu, któ-

ry dokonał się na polskich ziemiach, nie została w pełni pojęta i przeżyta przez Polaków i nadal tli się u nas jakiś pokraczny antysemityzm, magiczny, już bez żywego obiektu, gdy z drugiej strony krzewi się filosemityzm. Jedno i drugie nienormalne. Zanotowałem jego odpowiedź: „Nie może być normalnych stosunków między Polakami i Żydami. To nigdy nie będą relacje jak między Nową Zelandią i Polską, za wiele jest historii. O co możemy powalczyć, to nie o normalność, lecz intensywność i próbę wzajemnego zrozumienia. Powinniśmy rozmawiać. Byliśmy małżeństwem przez tysiąc lat, to nie było małżeństwo szczęśliwe, chociaż zdarzały się lepsze i gorsze okresy. Małżeństwo skończyło się wielką tragedią dla Żydów i dla Polaków, ale są z tego dzieci, żydowskie geny w polskiej kulturze i polskie geny w naszej żydowsko-izraelskiej kulturze. Warto dbać o te geny, rozmawiać, tłumaczyć literaturę, ale nie ma mowy o normalizacji, nie będziemy jak Urugwaj i Australia”.

Zapytałem go też, dlaczego nigdy nie pisze o wojnie. Przecież brał udział w dwóch wojnach, a to świetny te-

Nawet gdyby teraz zupełnie zablokowano emisję dwutlenku węgla, reakcja łańcuchowa została uruchomiona.

mat. On na to: „Nie umiem opisać smrodu, a to jest istota wojny. Brałem udział w dwóch. Doświadczenie niepodobne do innych, z innej planety emocji. W czasie wojny sześciomiesięcznej zmobilizowano mnie jako rezerwistę na front egipski. Plotkowałem z kolegą, nagle obok zaczęły wybuchać pociski, a z pobliskiego wzgórze biegli jacyś nieznajomi i do nas strzelali. Pierwszym odruchem była myśl: trzeba dzwonić na policję...”.

Moja ulubiona jego powieść to „Fima”. Ileż jest podobieństw polsko-izraelskich, w dobrym i w złym, aż strach.

To niejedyna śmierć w końcu minionego roku. Z Zuzanną Łapicką przyjaźniłem się w młodości, a Kazimierz Kutz kiedyś mnie wyczuł za mocny felieton w „Newsweeku”. Był człowiekiem wielkiej pasji. I odszedł bp Pieronek, dawał nadzieję, że polski biskup nie musi być Sławojem Głódziem.

Sylwester w kinie na filmie Sorrentina „Oni”, a potem u przyjaciół. Jest kilka osób. O północy wznosimy toast: „Dla nas wszystkiego najlepszego, a im na pohybel”. I każdy wie, kim są nasi „oni”.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Jeśli znajdę się nago na Marszałkowskiej...

...bez niczego i skazany tylko na siebie, to sobie poradzę i po dwóch tygodniach będę pożyczał innym kasę na procent

Rozmawia Rafał Piłkuła

MARIUSZ SZCZYGIEŁ

– dziennikarz, ikona reportażu. Ostatnio ukazała się jego książka „Nie ma”

„Nie ma” jest swoistym wyznaniem wiary: w ludzi i potęgę opowieści. Zarazem kończysz książkę słowem: „Dziękuję”. Czy to jakaś forma twojego testamentu?

– Testament to za dużo powiedziane, raczej to forma autorefleksji i podkreślenia pewnego etapu w życiu, który zdarza się facetom po czterdziestce. To czas, gdy mężczyźni zaczynają zauważać swoje „nie ma”. Nie ma porannego wstania, nie ma tej siły i vitalności, tej pewności siebie. Jedni zaczynają się rozglądać za młodszymi kobietami, drudzy kupują większe i dłuższe samochody, wsiadają na harleya i wyjeżdżają w Bieszczady. Tłumaczą sobie, że przecież się nie starzeją, to tylko organizm szwan-

(W tym momencie do kawiarni, w której rozmawiamy, wchodzi Janusz Rudnicki i Mariusz wyjaśnia, że udziela wywiadu o książce, na co autor „Śmierci czeskiego psa” pyta, po co pisać książki. – Jak to po co? To jak z erekcją. To się dzieje samo – mówi Mariusz. – To jest jak polucja. Nawet o tym nie wiesz i dzieje się samo – dopowiada Rudnicki).

Jak długo pracowałeś nad tą książką?

– Pierwszą opowieść podrzucił mi Wojtek Tochman już w 2009 r. Była to historia profesora prawa, który całe życie walczył o prawo do eutanazji. Ostatecznie nie udało mu się wywalczyć zmiany prawa, ale kiedy po dziewięćdziesiątce sam zachoro-

skomponowana, nie może być tam za dużo smutku i dramatu. Trzeba wiedzieć, kiedy odpuścić.

Ważnym wątkiem książki jest także wiara. Deklarujesz się jako ateista, więc skoro nie w Boga, to w co lub kogo wierzysz?

– Przede wszystkim wierzę w siebie. Był taki czeski filozof Ladislav Klíma, który twierdził, że Bóg musi być wskrzeszony z człowieka, bo innego Boga nie ma. Jestem podobnego zdania i wskrzeszam Boga w sobie. Wierzę w siebie z wszystkimi swoimi zaletami i wadami. Wiem, że mogę na siebie liczyć. Ta wiara jest tak silna, że gdybym nawet siebie zawiodł, to nie miałbym do siebie pretensji, bo przecież wierzę w siebie. **Bardzo mocna deklaracja! Trochę w tym Nietzscheańskiego nadczłowieka, trochę zwykłego narcyzmu.**

– Uważam, że jeśli kiedyś znajdę się nago na środku Marszałkowskiej, bez niczego i skazany tylko na siebie, to sobie poradzę i po dwóch tygodniach będę pożyczał innym kasę na procent. Wierzący w Boga przerzucają odpowiedzialność na Niego, zapominają o sobie. Potem, gdy przychodzi kryzys, nie potrafią działać. Ja jestem przygotowany na wszystko. Wiesz, że od lat nie mam żadnego ubezpieczenia emerytalnego? Sam sobie odkładam pieniądze na specjalnym koncie i tej kasy w ogóle nie ruszam. Nie ma sytuacji, żebym wziął chociaż grosz z tych pieniędzy! No chyba że coś się stanie z moimi rodzicami, którymi się opiekuję.

Na pewno wierzysz też w ludzi. To cecha dobrych reporterów.

We mnie wciąż tkwi ten jednak z czwartego piętra bloku przy ulicy Podwale, który zachwyca się światem.

kuje, że to chwilowe, uciekają od tego. Ja postanowiłem zmierzyć się z moimi „nie ma” i napisać książkę.

Pisanie jest dla ciebie formą radzenia sobie z przemijaniem?

– Uważam, że pisanie wyzwala. Kiedyś Hanna Krall opisywała historię swojej koleżanki, która zadzwoniła do niej w nocy z Tel Awiwu. Ogłoszono alarm bombowy, wszyscy zeszli do schronu, windy stanęły, a ona została sama na wysokim piętrze wieżowca. Ma chore nogi – efekt tego, że jako dziewczynka podczas okupacji ukrywała się w grobie na cmentarzu – nie może wstąpić. Co ma robić, spytała Hannę Krall. Weź kartkę, doradziła pisarka, i pisz. Jak nic już nie można zrobić, można to zapisać. Ze mną jest podobnie: kiedy potrzebuję się uspokoić, piszę.

wał, popełnił samobójstwo, skacząc z okna. To był jego bunt.

Tej historii nie ma w książce. Dlaczego?

– Do książki wybrałem inną historię samobójczą. Jednej historii bardzo żałuję, ale bohaterka nie zareagowała na mój list do niej. Była amerykańska gwiazda filmów porno miała wypadek samochodowy i na wózku wróciła do ojczyzny, czyli do Czech. Skończyła studia medyczne, jest w Pilźnie psychiatrą o dużej renomie. Ileż w tym „nie ma”... Szkoda, że nie mogłem o niej napisać.

Chciałem, żeby w „Nie ma” były również bardziej pogodne opowieści, mówiące o innych przykładach „nie ma” niż śmierć. Potrzebne były też opowieści bliższe żyjącym. Wiesz, książka musi być dobrze



– Wierzę w dobre relacje z ludźmi. Ufam, że ludzie dadzą mi to, czego potrzebuję, że okażą się dobrzy. Inna sprawa, że ja nie mam poczucia obciachu i nie przepuszczam! Zagaduję obcych ludzi, jakby byli moją rodziną. Kiedyś, idąc ulicą, zauważyłem pewną panią pod parasolem, chociaż deszcz przestał już padać. Większość ludzi mijają ją i nie zwracają uwagi, ale ja do niej podszedłem i szeroko się uśmiechając, mówię: mam dla pani dobrą wiadomość. Może pani złożyć parasol, już nie pada.

Skąd w tobie taka otwartość?

– Jak się jest jedynakiem w małym mieście, to ma się dużo wolnego czasu i wiele pomysłów. Nie grałem w piłkę, ale też chciałem poczuć się doceniony i zauważony przez rówieśników. Moim sposobem na

zyskanie uznania było wysyłanie listów do wielu ważnych osób i instytucji. Raz z okazji Dnia Dziecka leciałem samolotem nad Wrocławiem i będąc na lotnisku, wziąłem ze sobą foldery reklamowe towarzystw lotniczych. Potem napisałem do British Airways i Air France z prośbą o przysłanie kolorowych katalogów. Oczywiście dostałem te materiały. Później zamawiałem katalogi różnych wydawnictw. Jak widziałem potem pieczętkę z Warszawy i mój adres – 59-500 Złotoryja, ulica Podwale 2c/14 – to czułem dumę!

Odrobina wielkiego świata na prowincji w dobie szarej PRL.

– Mając 17 lat, wysyłałem listy z tekstami piosenek do Urszuli i Wan-

dy Kwietniewskiej (z zespołu Wanda i Banda – przyp. red.). I wiesz, chociaż nie skorzystały z propozycji, odpisały mi! Po kilkunastu latach, kiedy już pracowałem w Polsce i byłem znany jako gospodarz „Na każdy temat”, spotkaliśmy się z Urszulą na estradzie i pokazałem jej te listy. Była w szoku.

Pamiętasz te teksty?

– Dla Wandy napisałem: „Przynosisz mi kwiaty, chryzantemy złociste / Oczywiście, że czuję się jak Wenus Cmentarna / Me palce sinieją, świecą blaski się śmieją”. A dla Urszuli: „Kiedy nocą jest już ciemno / Wtedy miasto wabi mnie / Kiedy nikt już nie śpi ze mną / Ja wykradam się na żer / Kiedy wielkie moje łóżko jest już puste / to mój pech kogoś zwabię dziś tu może / Może z nim popełnię grzech”. Ten drugi tekst można zaśpiewać na dwie melodie: Tiny Turner „Private Dancer” i Tanity Tikaram „Twist in My Sobriety”.

Te wszystkie listy bardzo mnie podbudowały. Chyba wtedy po raz pierwszy poczułem, zrozumiałem, że mogę wszystko, że nic mnie nie ogranicza! Kiedy w 1985 r. przyjechałem do Warszawy na studia, byłem bez grosza przy duszy. Ukradłem wtedy z Warsu filiżankę, którą mam zresztą do dziś. Nie było tak, że nie miałem z czego pić – mogłem przecież zabrać coś z domu albo pożyczyć od państwa, u których mieszkałem – to był gest symboliczny: chciałem mieć tę filiżankę.

Przyjechałeś do Warszawy, dosyć szybko trafiłeś do „Gazety Wyborczej” pod opiekę mistrzyni reportażu Hanny Krall i Małgorzaty Szejnert, ale po kilku latach wybrałeś telewizję i talk-show.

– Wtedy, w latach 90., wydawało się, że Polacy są bardzo zhomogenizowanym społeczeństwem,

Wierzę w dobre relacje z ludźmi. Ufam, że ludzie dadzą mi to, czego potrzebuję.

że wszyscy myślą i czują tak samo, a my w „Na każdy temat” pozwalaliśmy ludziom na oryginalność. Księgowa z Wałbrzycha mogła mówić, że zamiast w Boga wierzy w UFO, i nikt jej nie pouczał, nie moralizował. Z drugiej strony myślę, że praca w Polsce trwała zbyt długo, stałem się popularny dzięki niej, ale zatraci-

► I tam zdolność pisania. Do tego byłem prowadzącym minoderyjnym i kiczowatym, wdzięczyłem się do publiczności.

Na szczęście nie robiłeś najgorszej z możliwych rzeczy.

– Mianowicie?

Nie namawiałeś widzów do wysyłania SMS-ów: „Więcej, więcej!”.

– Tak, to była epoka pagerów, a nie smartfonów (śmiejch). Ale może ta praca była potrzebna, żebym

dobrych autorów, musisz to zrobić formą. W „Nie ma” jest tekst „Rzeka”, historia kobiety, która była gwałcona przez ojca i poczuła wyzwolenie dopiero po jego samobójczej śmierci. W tekście jest więcej wykrępowania niż słów, ponieważ usunąłem całe zdania i wyrażenia, które zazwyczaj pojawiają się przy takich opowieściach. Izaak Babel mawiał: „Styllem dokonujemy naszych podbojów, panowie, stylem!”.

Nie mam poczucia obciachu i nie przepuszczam!

nabrał dystansu? Czasami myślę, że gdyby nie ten etap, dalej pisałbym tak jak w „Niedzieli, która zdarzyła się w środę”, może nie powstałby „Gottland”, który jest już książką poważną.

Tak, to zupełnie inna książka, wyróżniająca się też pod względem formy. Oryginalny styl od zawsze był twoim znakiem rozpoznawczym.

– Bardzo wcześnie zrozumiałem, jak ważna jest forma. W 1991 r. przeczytałem w „Gazecie Wyborczej” recenzję książki „Papuga Flauberta” Juliana Barnesa. Kupiłem tę książkę i byłem zachwycony jej formą. To rodzaj połamanej biografii. Barnes, opisując życie Flauberta, nie zaczyna od miejsca i daty urodzenia, ale tworzy słownik terminów związanych z pisarzem, prowadzi literackie śledztwo dotyczące koloru oczy pani Bovary, przytacza opinie przyjaciół i krytyków, zamieszcza w końcu esej o papudze. To było świetne!

Wyobraź sobie, że sam Barnes, którego książkę tak się zachwyciałem, w 2014 r. zrecenzował na łamach „Guardiana” mój „Gottland”! Przyznał tam, że to jego książka roku, która jest „cudownie nieklasyfikowalna”. To wyznanie stało się moim sztandarem i potwierdzeniem, żebym szedł w tę stronę.

„Nie ma” jest jeszcze bardziej nieklasyfikowalna. Trudno powiedzieć, czy to zbiór esejów, opowiadań, reportaży.

– Nie boję się eksperymentować z formą, próbować, szukać. Poza tym muszę mieć satysfakcję z pisania. Ciągłe powstają reportaże na odwieczne tematy – przemoc, molestowanie, wykluczenie – i jeżeli chcesz się wyróżnić spośród wielu

Namawiasz do formalnej odwagi, a przecież styl to luksus zarezerwowany dla głośnych nazwisk. Gdyby debiutant przyszedł z takim materiałem jak „Rzeka”, nikt by tego nie wziął!

– Pewnie masz rację. Ale przecież z pisaniem jest jak z malowaniem. Niech ten reporter namaluje martwą naturę dwa, trzy razy w sposób akademicki, standardowy, niech pokaże, że umie, to za czwartym razem pozwoli mu na kubistyczne przedstawienie tematu. Ja też zaczynałem od newsów i standardowych tekstów, pisałem klasyczne reportaże śledcze i interwencyjne. Jeszcze w latach 90. z Krystyną Naszkowską napisałem tekst o nieprawidłowościach w polskim UNICEF, a z Beatą Pawlak tekst o aferzyście Sulimierskim, który zdefraudował pieniądze kombatanatów. Chociaż umiem śledzić afery, zdałem sobie sprawę, że nie daje mi to przyjemności. Mam naturę obserwatora, we mnie wciąż tkwi ten jedynak z czwartego piętra bloku przy ulicy Podwale, który zachwyca się światem.

Jeśli oczekujesz na fanfary, to nic się nie zdarzy. Owszem, temat pojawia się znieenacka, ale trzeba temu stworzyć możliwości.

Nie jest to trochę forma „ucieczki do przodu”? Może nie chciałeś konkurować z silną reprezentacją reporterów śledczych?

– Dobrze, że są reporterzy, którzy wznicięją burze i chcą zmieniać świat. Świetną robotę robią Jacek Hugo-Bader, Justyna Kopińska czy Marcin Kącki, ale ja nie chcę być detonatorem. Nie chodzi o ucieczkę, bo przecież mój tekst „Śliczny i posłuszny” to przykład klasycznego reportażu interwencyjnego.

Czyli nie jest tak, że formą zacierasz jakieś swoje braki?

– Może trochę. Podczas gdy Lidka Ostafowska czy Wojciech Tochman potrafili przedstawić głęboki portret psychologiczny jakiegoś człowieka, ja zatrzymywałem się w połowie drogi. Może dlatego, że jestem facetem powierzchownym i płytkim, nie potrafiłem wejść dostatecznie głęboko w ludzką duszę. Wymyśliłem sobie, że będę opisywał wielu bohaterów w ramach jednego tekstu. Postawiłem na formę i tak napisałem reportaż o Polakach epoki transformacji, analizując ogłoszenia prasowe. Forma to moja siła. Mam świadomość – i mówię to nieskromnie – że widzę więcej niż inni. Potrafię ciekawie opisać świat i moi czytelnicy to podkreślają.

W „Nie ma” piszesz: „najciekawsze zjawia się znieenacka”. Jak rozpoznać, że to „najciekawsze” właśnie się pojawiło?

– Zawsze powtarzam, że jeśli oczekujesz fanfar, to nic się nie zdarzy. Owszem, temat pojawia się znieenacka, ale trzeba temu stworzyć możliwości i warunki. U mnie to jest chyba pokłosie tych listów, które wysłałem do towarzystw lotniczych, wydawnictw i piosenkarek. Ja chyba nadal wysyłam te listy w świat.

Widać, że jesteś gawędziarzem. Przypadkowo spotkany człowiek po dwóch minutach rozmowy dałby ci swój numer PESEL. Na ile twoja osobowość wpływa na charakter pracy?

– Reporter to sposób życia. Byłem niedawno w Nowym Jorku na spotkaniu autorskim. Trafiłem tam na kobietę, której znajoma brała udział w porwaniu samolotu w latach 80.

W mig postanowiłem rzucić wszystko i pojechać do tej kobiety. Tak się składa, że moja następna książka będzie o porwaniu samolotów.

Niedawno mój uczeń Arkadiusz Lorenc opowiadał mi o swoim szefie w korporacji, który postanowił wynagradzać pracowników za rzucanie palenia. Ten szef bardzo się zaangażował w promowanie rzucania nałogu. Postanowiłem pojechać do niego do Łodzi, by choć przez pół godziny z nim porozma-



Spotkanie z czytelnikami w trakcie Gdańskich Targów Książki, 2018 r.

wiać. Ktoś mógłby powiedzieć, że wystarczyłoby zadzwonić, napisać mejla, ale ja wierzę, że najlepiej daje spotkanie z drugim człowiekiem. Przy okazji zwiedziłem też wystawę w Łodzi. To tak na temat mieszania się pracy i życia.

Aby uprawiać u nas reportaż literacki, trzeba być bogatym z domu albo mieć zamożnego męża czy żonę. Brak etatów, skromne wierszówki, słaba sprzedaż reporterskich książek... można by długo wymieniać.

– W Polsce mamy problem nadmiaru. Wychodzi bardzo dużo świetnych książek reporterskich, ale jest ich tak dużo, że jak konkretny tytuł sprzeda się w 2 tys. egzemplarzy, to już jest komercyjny sukces. Naprawdę trudno się wybić. Ja mogę sobie pozwolić na luksus, żeby żyć już tylko z pisanía.

Bycie reporterem to naprawdę ciężki kawałek chleba. Jakie cechy powinien w sobie pielęgnować ktoś, kto chciałby nim być?

– Nie da się być dobrym reporterem bez naturalnej ciekawości świata, wrażliwości. Z tym trzeba się urodzić. Warsztatu możesz się nauczyć poprzez czytanie, pisanie. Stworzenie własnego stylu to też kwestia czasu. Wiesz, po czym poznaję, że ktoś ma zadatki na dobrego reportera?

Słucham.

– Dobry reporter nie może z miejsca oceniać. Ludzie, którzy od razu mają zdanie o każdej sprawie, nie weryfikują swoich sądów, nie dążą tematu, mogą być najwyżej publicystami.

Dobry reporter nie moralizuje, tylko słucha, pyta, szuka. Poza tym sprawia, że jego bohaterowie czują się przy nim bezpiecznie. Hanna

Forma to moja siła. Mam świadomość – i mówię to nieskromnie – że widzę więcej niż inni.

Krall mawiała, że ludzie opowiadają nam swoje historie, bo chcą być zapamiętani, ale ja myślę, że chcą być po prostu zrozumiani. Potrzebują nadać swojemu życiu sens, a to się dzieje, gdy opowiadają. Bohaterkę reportażu „Rzeka” znałem od lat, ale nie wiedziałem nic o jej dramacie. Kiedy się dowiedział, że piszę książkę „Nie ma”, postanowiła opowiedzieć mi o tym, jak gwałcił ją ojciec i jaką ulgę poczuła po jego śmierci. Nie potrzebowała, żeby ta historia ukazała się drukiem, chciała tylko być wysłuchana.

I dochodzimy do wniosku, że chociaż twoje reportaże nie są interwencyjne, to też zmieniają świat.

– Jak widzę na Facebooku czy Instagramie reakcje ludzi po przeczytaniu „Nie ma” – wiele osób pisze, że po przeczytaniu książki zaczęło się zastanawiać nad sobą, że sami zmierzili się ze swoim „nie ma” – to czuję, że niektórym choć trochę pomogłem.

Nie byłoby siły tej książki, gdyby nie bohaterowie i ich niezwykle-zwyczajne historie.

– Myślę, że dojrzałem do tego, by pisać wraz z moimi bohaterami. Kiedy byłem młodym reporterem, potrafiłem nie zadzwonić do bohatera z autoryzacją. Bałem się odrzucenia, krytyki. Teraz akceptuję, że ktoś może się ze mną nie zgadzać. Traktuję to jak wyzwanie. Tak było z opowieścią o Karolu, który się urodził jako Karolina. Zakończyłem tę historię kwestią penisu. Według Karola takie zakończenie było ch... Spłycało i zubożało całą historię. Pozwoliłem Karolowi napisać własną puentę. Ostatecznie dałem dwa zakończenia i to rozwiązanie zadowoliło zarówno mnie, jak i jego.

Wraz z Wojciechem Tochmanem sprywatyzowaliście Polską Szkołę Reportażu. Mielście szczęście uczyć się reportażu u najlepszych za darmo, a teraz sprzedajcie tę wiedzę za ogromne pieniądze.

– Szkoła Reportażu to był pomysł Wojtka Tochmana. Bardzo dobry pomysł i nie da się tego robić za darmo. Musimy utrzymać lokal, opłacić tutorów i wykładowców. Ja osobiście

pracuję *non profit*, ale innym musimy płacić. Wymaganie, żeby robili coś tylko *pro bono*, byłoby nieuczciwe. Zresztą nie ma prywatnej szkoły, która uczyłaby za darmo.

Ale trudno zadebiutować w „Dużym Formacie”, nie przechodząc przez waszą szkołę. Nawet powstał dowcip: ile kosztuje publikacja w „DF”? 9 tys. zł, ale w gratisie masz Polską Szkołę Reportażu.

– Są autorzy, tacy jak Paweł Pieńiążek czy Tomek Michniewicz, którzy się nie uczyli u nas, a publikują! Niektórym słuchaczom redakcje finansują kurs, znam jedną bezrobotną absolwentkę polonistyki, której szkołę opłacała ciocia.

► Musisz wiedzieć, że nie ma drugiego tak kompleksowego kursu pisarskiego w Polsce. Jak prowadziłem zajęcia z dokumentacji, przynosiłem na zajęcia wielką torbę podróżną z książkami. Chciałem pokazać, z ilu książek skorzystałem, by napisać jeden tylko rozdział do „Gottlandu”. Oczywiście mógłbym zrobić listę lektur, ale nie byłoby

reportaż był nominowany do Grand Press w tym roku.

Nie mówię, że zajęcia nie są na wysokim poziomie, zauważam jedynie, że niewiele osób stać na taki wydatek.

– Jak już mówiłem, zajmowanie się reportażem to luksus. Staram się wspierać wielu młodych reporterów i wszyscy wiedzą, że zawsze można

traktowani, a przecież na nich opiera się istnienie wielu tygodników, magazynów i portali. Jeżeli się okaże, że w ramach protestu przestaną wysyłać swoje teksty, ja także do tego się zobowiązę.

To ważna deklaracja, zapamiętaj ją. Chociaż jesteś dziennikarskim celebrytą, powalczysz o prawa maluczkich.

– Włodek Nowak zarzucił mi celebrytstwo, ale ja uważam, że w promowaniu siebie nie ma nic złego. Ania Śmigulec, świetna reporterka, codziennie wrzuca na Instagram zdjęcia w nowej sukience na tle jakiegoś ciekawego budynku czy ozdobnego krzaka, ale co w tym złego, jeśli dobrze wykonuje swoją pracę? Justyna Kopińska jest bardzo aktywna w mediach społecznościowych, ale swoimi tekstami robi wiele dobrego. Włodek uważa, że to szkodzi misji dziennikarskiej, ja jestem zdania, że poza misją musi być też sprzedaż książek czy magazynów. Takie czasy.

Rafał Pikuta

W Polsce mamy problem nadmiaru. Wychodzi bardzo dużo świetnych książek reporterskich.

takiego wrażenia. Magdalena Grochowska, autorka biografii Giedroycia, prowadziła zajęcia z segregowania notatek. Są też zajęcia roboczo nazywane „rzeźbieniem w gównie”, czyli szukanie tematów z pomysłów, które pozornie nie mają w sobie nic ciekawego. Podczas tych zajęć Agata Grabowska wpadła na pomysł, by napisać o zegarynce. Ktoś się oburzył, co to za temat, ta zegarynka. Agata zrobiła z tego piękną opowieść o samotności i cyfrowym wykluczeniu. Jej

do mnie przyjść i poradzić się w kwestiach formalnych. Mam dziesiątki pomysłów i chętnie nimi się dzielę. Rekomendacji nie daję innym książkom niż te z mojego wydawnictwa, nie pośredniczę w kontaktach z redakcjami, ale każdy może liczyć na moją poradę.

Poza tym jako Instytut Reportażu daliśmy parasol ochronny Komisji Dziennikarek i Dziennikarzy („związek zawodowy” dziennikarzy freelancerów – przyp. red.). Wiem, że freelancerzy są słabo opłacani i słabo

FILHARMONIA NARODOWA

**SŁUCHAJ
I OGLĄDAJ
GDZIE CHCESZ**

SEZON 2018/2019:
6.10 | 7.11 | 8.12 | 22.12 | 12.01 | 16.03 | 7.05 | 1.06

**TRANSMISJE
KONCERTÓW ON-LINE**

FILHARMONIA.PL YouTube/FilharmoniaNarodowa

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

ŻLI DOROŚLI

Handlarze narkotyków, zabójcy, manipulatorzy, członkowie gangów, a w najlepszym razie narkomani i alkoholicy – oto, kim są rodzice bohaterów największych hitów Netflixa i HBO GO przeznaczonych dla grupy YA (*young adults*), czyli tzw. młodych dorosłych.

Napiszmy od razu: i dobrze. Bo nikt nie czuje się bardziej samotny niż nastolatek, który obejrzy serial pełny cukierkowych scenek rodem z reklamy płatków śniadaniowych. Obraz, w którym dojdzie do częściowego utożsamienia, a który pozostawi w młodym człowieku zięjący zimnem przerębel. Dorośli robiący filmy o wspaniałych dorosłych i nastolatkach nieradzących sobie z pokusami naszych czasów są nie tylko niewiarygodni, ale i okrutni. No i nikogo nie ciekawia fałszywe, poprawnościowe portrety. W filmie jest to zmarnowany potencjał drugiego planu, który przecież może podbijać napięcie, budować „trójwymiarowość” życia bohaterów.

„Plotkara”, „Riverdale” czy świetny „Ty” to seriale, które kształtują masową wyobraźnię współczesnych nastolatków na całym świecie. Wyobraźnię, ale też obyczaje, modę i język. Rodzice są w nich przedstawiani jako oprawcy, obłudnicy i seksoholicy, którzy czasem pokażą swoje ludzkie oblicze, ale częściej robią więcej szkód niż młodzi gniewni. W „Plotkarze”, która pozwala nam obserwować dojrzewającą elitę Manhattanu, przegląd rodziców przynosi niedojrzałą miłośnicę (matka głównej bohaterki Sereny van der Woodsen), egotycznego, nieodpowiedzialnego pijaka (ojciec Nate’a), pozbowionego uczuć, okrutnego biznesmena (ojciec Chucky Bassa) czy skupioną wyłącznie na sobie i swojej pracy projektantkę (matka Blair Waldorf). Wszyscy oni są do cna zepsuci, chimeryczni i nieobliczalni. Może poza ojcem Dana Humphreya, który jest sympatycznym głupolem, nieudanym artystą, zakochanym w rozpasanej seksualnie matce Sereny. Warto pamiętać, że bohaterowie tego serialu to w Stanach Zjednoczonych ikony. Wszyscy znają ich imiona i losy, a odgrywający ich aktorzy są gwiazdami na miarę gwiazd rocka.

Nowszy „Riverdale” idzie jeszcze dalej – rodzice sympatycznych, inteligentnych, choć mających ciemne strony nastolatków należą do gangów, ulegają idiotycznym rytuałom w sektach, handlują narkotykami, a w końcu nawet mordują. Serial ze zwykłej

obyczajówki typu *high school* niebezpiecznie szybko ewoluje w stronę dramatu, aż w końcu zamienia się w ostry thriller. Role się odwracają – to nastolatki okazują się tymi rozsądnymi i w końcu tylko one mogą uratować miasto.

W „Ty”, który rozsadza właśnie słupki oglądalności na platformie Netflix, obserwujemy sympatycznego psychopatę (w tej roli przekonujący Penn Badgley, który z dobrym skutkiem pozbył się manieryzmów Dana z „Plotkary”). Sprawiający wrażenie wymarzonego chłopaka, uprzejmy i nieco staroświecki Joe z odcinka na odcinek odsłania coraz mroczniejszą stronę swojego ja. Jednocześnie widz

Nikt nie czuje się bardziej samotny niż nastolatek, który obejrzy serial pełny cukierkowych scenek rodem z reklamy płatków.

ze skrawków wspomnień układa sobie obraz przeszłości bohatera. Opuszczony przez rodziców, przegarnięty przez przemocowego, zamykającego go w specjalnej klatce opiekuna, powoli staje się takim samym psychopatą jak on. Równolegle obserwujemy małego Paca, sąsiada, któremu Joe wielokrotnie pomaga wyjść z opresji. Sugestia scenarzystów jest jasna: uważajcie, z bólu, przemocy, głupoty i okrucieństwa rodziców może się urodzić Joe. Nawet jeśli tym razem będzie miał na imię Paco.

W ikonkach umieszczonych przy serialach pojawiają się ostrzeżenia przed wulgarnym językiem, przemocą, scenami seksu czy przyjmowania narkotyków (nigdy nie zrozumieć, jak można łączyć seks i narkotyki pod szyldem szkodliwych treści). Ale te seriale ostatecznie raczej przed nimi przestrzegają, pokazując konsekwencje złych wyborów, a czasami (jak w „Riverdale”) dają młodym ludziom sygnał, że mogą, a nawet powinni, walczyć z rodzicami, kiedy ci okazują się złymi ludźmi. Wpływ tych seriali na świadomość naszych *teens* jest tak wielki, że chyba każdy rodzic pragnący zrozumieć swojego nastolatka powinien prześledzić przynajmniej te najgłośniejsze produkcje. Zresztą nie bez przyjemności.



Kup PRZEGLĄD w wersji elektronicznej jako e-wydanie

Bądź pierwszy i czytaj już w sobotę rano na komputerze, tablecie i telefonie komórkowym. Taniej, wygodniej i bez wychodzenia z domu.

E-WYDANIE 3⁵⁰ zł

TANIEJ NIE KUPISZ!

sklep.tygodnikprzeglad.pl



MISTRZOWIE RZĄDZĄ

To oni zatrzęśli sceną, czyli aktorskie błyski 2018

Tomasz Miłkowski

Teatr stoi aktorami, nawet jeśli z niektórych recenzji wynika, że przedstawienia robią się same. Powtarzam to do znudzenia od lat, bo im właśnie należą się okłaski i podziękowania. Spośród wielu kreacji w ponad 130 spektaklach, które obejrzałem w ubiegłym roku, przypominam zaledwie 24, które pozostawiły największe wrażenie. Dominują na tej liście mistrzowie – to oni rządzą. Ciekawe, ale niemal połowa przypominanych przeze mnie kreacji 2018 r. wiąże się z tekstami Gombrowicza lub o Gombrowiczu.

ARTUR BARCIŚ jako Poseł Najjaśniejszej w „Trans-Atlantyku” według Witolda Gombrowicza, w adaptacji i reżyserii Artura Tyszkiewicza (Teatr Ateneum), niemal traci dech, gdy się rozpływa nad bezprzykładnym pięknem rodaków. Nawet pojedyncze pasemko włosów wtedy mu się kłębi. Wielka rola, tchnąca zapaszką tromtadacji – uosobienie nadętego hiperpatrioty i krętacza.

PRZEMYSŁAW BLUSZCZ w „Trans-Atlantyku” jako Gombrowicz uwodzi inteligencją. Jego bohater próbuje się znaleźć w menażerii emigracyjnej, zdobyć własną przestrzeń, wolny od zbiorowych obowiązków i zbiorowych iluzji. Przybiera cudze pozy i wkłada błazeńską czapkę niczym Stańczyk, przedrzeźniając ten świat z rosnącym zdziwieniem i goryczą.

AGATA BUZEK w spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego „Wyjeżdżamy” według komedii Hanocha Levina „Pakujemy manatki” – jej brawurowo wykonany monolog (skecz pt. „Wycieczka zorganizowana”) kompromituje katastrofę masowej turystyki. W tekst wypowiediany w błyskawicznym tempie, w którym natłok wrażeń celowo zagłusza sens, wkrada się nuta tragiczna. Aktorka zawarła w nim przesłanie spektaklu, ujawniającego daremność ucieczki od swojego losu.

KRZYSZTOF DRACZ jako Gonzalo w „Trans-Atlantyku” tworzy postać trudnego do uchwycenia kameleona, który zmienia stroje i ruchy z równą łatwością jak obiekty zainteresowania. Jego finezyjne, wystudiowane ruchy, kontrolowane szaleństwo budzą niepokój. Wprowadza zamieszanie umizgami do Ignaca i nieskrywanym upodobaniem do przesyty.

ANNA DYMNA jako szwarczarakter, Narcyza Kalmitowa, w telewizyjnej inscenizacji „Chłopców” Stanisława Grochowiaka w reżyserii Roberta Glińskiego z jadowitym uśmiechem podporządkowywała sobie otoczenie. Zagrała wędną gwiazdę, świadomą gasnących powabów, która nie chce się pogodzić z utratą pozycji carycy. Przebiegle zapewnia sobie przewagi na schyłek życia. Jako charakterologiczne przeciwieństwo – kobieta do rany przytóż, zabłysła w roli pani Jowialskiej w komedii Fredry.

ANDRZEJ GRABOWSKI jako Smarkul w telewizyjnej inscenizacji „Chłopców” Grochowiaka szkicuje postać najmłodszego mieszkańca domu starców, który niczym stażysta wśród wiekowych kolegów uchodzi za młokosa. Widać, że wytresowany przez kolegów zawsze śpieszy im z usługą, posłuszny, przytakuje i w ciągłym zachwyceniu urodą świata. W jego oczach jeszcze diabeł pali.

KRYSTYNA JANDA w spektaklu „Zapiski z wygnania” w reżyserii Magdy Umer w Teatrze Polonia mówi słowami Sabiny Baral, marcowej wygnanki. Artystka stoi w głębi wątku oświetlonej sceny, za ekranem, jak w jakiejś nierealnej przestrzeni, odległej niczym mroczne wspomnienie. Stoi przy mikrofonie, jej powiększona i wyświetlana na ekranie za pośrednictwem kamery twarz wyraża straszliwe zmęczenie. Niemal „na białą”, unikając aktorskiej interpretacji, wspomina dzieje rodziny, dni poniżenia, upokarzający wyjazd



Anna Dymna jako szwarczarakter, w inscenizacji „Chłopców” Grochowiaka.

z ojczyzny, ostatnie spojrzenia i bezdusność prześladowców. Po lewej stronie za pulpitemi siedzą muzycy z zespołu Janusza Bogackiego, nadający ton tej opowieści motywami pamiętnych piosenek do słów Wisławy Szymborskiej („Jeszcze”), Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Agnieszki Osieckiej („W żółtych płomieniach liści”), Wojciecha Młynarskiego („Tak jak malował pan Chagall”) i anonimowych pieśni, które łamiącym się głosem częściej melorecytuje, niż śpiewa artystka. Dwukrotnie osiąga apogeum artyzmu, kiedy śpiewa fragment „Mein Idische Mame” i piosenkę o zaplombowanych wagonach Szymborskiej. W monologu Jandy pojawiają się fragmenty wierszy, w tym z wielką siłą przywoływane słowa poematu Juliana Tuwima „My, Żydzi polscy”, ukochane strofy Sabiny Baral. Słucha się tego – i ogląda – ze ściśniętym sercem.

ELŻBIETA KARKOSZKA jako budząca sympatię Matka Przełożona w „Chłopcach” ukazuje zagubioną w rzeczywistości staruszkę, z trudem próbującą wypełniać swoją kierowniczą funkcję. Jest zbyt miękka, aby wygrać walkę z bezwzględną siostrą Marią, która w domu starców zaprowadzi wkrótce swoje porządki. Widać, że nad obowiązkami surowej przełożonej góruje dobroć, a także z trudem skrywana skłonność do trunków.



Grzegorz Małecki jako Pijak w „Ślubie” Gombrowicza.

DOROTA KOLAK jako Lola w spektaklu „Wyjeżdżamy” daje soczysty portret kobiety żądnej życia. Choć dotykają ją nieszczęścia, śmierć męża („w środku zupy”) i kochanka, wciąż wierzy w wygraną. Grę o życie lokuje przy karcianym stoliku, wbrew wszelkim przeciwnościom losu. W tym samym sezonie wstrząsająco zagrała Hekabe w „Trojankach” według Eurypidesa w reżyserii Jana Klaty w Teatrze Wybrzeże. I w komedii, i w tragedii istnieje na scenie intensywnie, skupia uwagę widzów.

MAGDALENA KUTA w wersji performatywnej spektaklu „Rechnitz. Opera – Anioł Zagłady” według Elfriede Jelinek w TR Warszawa w reżyserii Katarzyny Kalwat – z porażającą precyzją, sugestywnie odtwarza napięcie psychiczne, jakie towarzyszyło zbrodniczemu czynom baronowej, tytułowej Anioła Zagłady. Zaskakuje wyszukaną formą improwizacji muzycznych, które budują napięcie między brutalnością zbrodni (wymordowanie jeńców – robotników przymusowych w obliczu przegranej wojny) a niezwykłością wokalnego popisu. W tym samym teatrze sugestywna Matka, cierpiąca na alzheimera, w „Cząstkach kobiety” Kornéla Mundruczó.

ŁUKASZ LEWANDOWSKI w „Widoku z mostu” Arthura Millera w reżyserii Agnieszki Glińskiej (Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy) jako doker Eddie, pod którego opieką pozostaje osierocona siostrzenica żony, żywi do podopiecznej coś

więcej niż nadopiekuńcze uczucie. Kłębią się w nim mroczne emocje, toteż kiedy w jego domu pojawiają się przygarnięci krewni z Włoch, szukający w Ameryce godziwego zarobku, rodzi się w nim chorobliwa podejrzliwość i zazdrość. Skurczony w sobie, jakby bardziej zwalisty, niż pozwala mu na to jego budowa, jak wciąż dokręcana sprężyna, musi na koniec eksplodować. W tym samym roku wyśmienity w „Pijanych” Iwana Wyrupajewa w reżyserii Wojciecha Urbańskiego, też w Teatrze Dramatycznym.

GRZEGORZ MAŁECKI jako Pijak w „Ślubie” Witolda Gombrowicza w reżyserii Eimuntasa Nekrošiusa (Teatr Narodowy) – piekielnie inteligentny, udający idiotę manipulant i intrygant, przenikliwy gracz, którego trzeba się strzec, a przy tym nieodparcie komiczny. Małeckiemu udało się dorównać historycznemu Pijkowi Zbigniewa Zapasiewicza, a może i prześcignąć mistrza. Aktorską klasę pokazał także w „Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj” (znowu Gombrowicz) w telewizyjnym spektaklu Roberta Glińskiego, w roli kucharza Filipa – postaci tajemniczej i groźnej jednocześnie. Reżyser rozbudował rolę Filipa, kucharz pojawia się kilkakrotnie, podając jarzynowe specjały, torturując młodego gościa staranym układaniem jednej przywiedłej marchewki na wielkim talerzu, ceremonialnie krążąc wokół stołu z godnością wysoko postawionego urzędnika. Kamera wiele razy zagląda za nim do kuchni, do jego królestwa,

gdzie Filip nurza się w stertach mięsa, rąbie i sieka, tapla się w zwalach wątróbek nie jak kucharz, ale jak rzeźnik, czający się myśliwy, kto wie, czy nie siepacz.

MARIAN OPANIA w monodramie „Moskwa-Pietuszki” według Wieniedikta Jerofiejewa w Teatrze Ateneum – ćwierć wieku temu zagrał Wienię w spektaklu telewizyjnym Tomasza Zygadły i odniósł niebywały sukces, potem zapragnął wrócić do tego tekstu na scenie. Sam napisał scenariusz i przygotował błyskotliwie skonstruowany monodram, w którym drgnienia duszy Wienieczki nie tylko tchną prawdą, ale i składają się na skowyt duszy, stęsknionej (daremnie) za odmianą losu.

JAN PESZEK jako Bogusławski w „Minach polskich”, spektaklu Mikołaja Grabowskiego w Teatrze Polskim im. Arnolda Szyfmana, mówi słowami „Mimiki”, najstarszego polskiego podręcznika dla aktorów, poradnika min i gestów. Porady Bogusławskiego wygłaszane mistrzowsko przez Peszka nie tylko biorą rzeczywistość teatralną w nawias, ale też ujawniają teatralność, sztuczność polskich min, uwydatniają Gombrowiczowskie dorabianie gęby, upupianie.

ANNA POLONY jako tytułowa Hrabina w „Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj” stworzyła wystylizowaną postać arystokratki z pretensjami, istniejącej na pograniczu jawy i zmyślenia. Smakuje jarzynowe specjały z wielką ceremonią. Celebrowana przesada jej gestów i manier unaocznia dojmujący absurd sytuacji, pretensjonalność i pustkę. A jednocześnie materializuje potęgę słowa, które stwarza tutaj sytuacje, rodzi napięcia i zniewala. Popisowym fragmentem spektaklu staje się natchniona recytacja kiczowatych wierszy Królowej Małgorzaty z „Iwony, księżniczki Burgunda”, które scenarzysta powierzył do wykonania Hrabinie.

JERZY RADZIWIŁOWICZ jako Ojciec w „Ślubie”, precyzyjnie budowany, nadęty sztucznością i tę sztuczność kontrolujący ze świadomością artysty, który „Ślub” zna na wylot (pamiętny Henryk ze „Ślubu” Jarockiego w Starym Teatrze w 1991 r.). Na początku spektaklu Matka (Danuta ►



Danuta Stenka i Jerzy Radziwiłowicz w „Ślubie”.

► Stenka) i Ojciec siedzą na krzesłach połączonych sznurem i czekają na gości. Jak u Becketta. Przyzywają ich gestem, skłonem głowy, grymasem twarzy. Wzmacniają to swoje czekanie pożyczonymi od Brechta tabliczkami – najpierw wywieszają tabliczkę z napisem „Czekamy”. Etiuda ta, bardzo zręcznie poprowadzona przez mistrzowską parę polskiego teatru, trwa dość długo, wzbudzając żywe reakcje publiczności.

LIDIA SADOWA jako Sabina w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru” Juliana Tuwima w Teatrze Polskim im. Arnolda Szyfmana w opracowaniu i reżyserii Krzysztofa Jasińskiego portretuje starzejącą się pannę pozującą na kobietę fatalną. Z pozoru ostentacyjna, zblazowana feministka okazuje się namiętną kobietą, spragnioną miłości.

ANNA SENIUK jako fertyczna Ciotnia w „Ułanach” Jarosława Marka Rymkiewicza w reżyserii Piotra Cieplaka (Teatr Narodowy) przypomina swoje dawne komediowe kreacje. Ich rysunek, pełen werwy i wyrazistej mimiki, wzbogaca nowymi akcentami doświadczenia i delikatnego dystansu. Każdy jej gest, ruch zmierza wprost do celu, wzbudzając żywiołowe reakcje publiczności.

ANDRZEJ SEWERYN błyszczy jako Gombrowicz w „Deprawatorze” Macieja Wojtylskiego w reżyserii autora (Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana). Trzeba niezwykłego talentu i umiejętności rozkładania akcentów, aby nie stroniąc od słabostek artysty, jego

kabotyństwa, ukazać zawiłą przyjaźń Gombrowicza z Miłoszem. Seweryn robi to nie tylko dowcipnie, ale i z wagą należną intelektualistom, który potrafi mierzyć się z prawdą o własnym narodzie. W scenach ciężkiej choroby pisarza pojawiają się nuty tragizmu i melancholijnej rezygnacji z walki, którą tak namiętnie przez całe życie prowadził. To był świetny (jubileuszowy, 50 lat na scenie) rok Seweryna, który również sugestywnie zagrał na deskach prowadzonego przez siebie Teatru Polskiego tytułową postać w adaptacji powieści Szczepana Twardocha „Król” w reżyserii Moniki Strzępki.

DANUTA STENKA jako Matka w „Ślubie” okaże się też Mańką – pomysły, jakże ryzykowny, aby w obu rolach (matki i kochanki) obsadzić jedną aktorkę, która w mgnieniu oka będzie zmieniała tożsamość, okazał się znakomity. Zakotwiczony w skłonności synów do kobiet przypominających im matki, powiódł się dzięki fenomenowi talentu Danuty Stenki, która jak natchniona buduje tę dwoistą postać, czy dwu-postać, z ogromnym temperamentem, wyczuciem, dozowaną celowo przesadą i powściąganą gwałtownością. Swoją komediową skalę potwierdziła też brawurową kreacją szambelanowej Jowialskiej w telewizyjnym spektaklu Artura Żmijewskiego.

JOANNA SZCZEPKOWSKA w tytułowej roli w monodramie „Ida Kamińska” w reżyserii Gołdy Tencer, na podstawie sztuki „Mój teatr” Henryka Grynberga (Teatr Żydowski), portre-

tuje artystkę powściągliwie, unikając nadmiernej ekspresji. Opowiada o niełatwym życiu artystki, od dzieciństwa związanym z teatrem – gdzie tylko rodzice się znaleźli, pojawiał się teatr. A wraz z nim zadania dla Idy, najpierw pomocnicze, potem coraz poważniejsze. Po śmierci matki sama stanęła na czele zespołu i przejęła jej rolę. Bo też zawsze teatr był jej domem, jej światem. Teatr to jest prawdziwe życie – przekonuje Szczepkowska i trudno jej nie wierzyć.

JERZY TRELA jako Kalmita w „Chłopcach” z chirurgiczną celnością portretuje pensjonariusza domu starców, który chroni swoją godność i pewną ręką rozdaje karty w grze o jutro. Z posępną rezygnacją przygotowuje się na doroczną odwieczynę żony, starzejącej się gwiazdy teatralnej, i wciąż snuje nierealne plany na przyszłość. Kiedy okaże się, że walkę przegrał, odchodzi w milczeniu. Wydobywa ze swojego wnętrza pokłady poruszającego tragizmu. Poza tym wszystkie pieniądze za etiudę z butelką wódki, którą nabywa Jo-jo (Marian Dziędziel), wprowadzając Kalmitę i jego kamratów w stan tajonego podniecenia.

ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI królował jako mecenas Mazurkiewicz z Radomia w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru”. Dla rozkosznej sceny niewydarzonych amarów Mazurkiewicza i Sabiny trzeba ten spektakl zobaczyć. Z wielkim wyczuciem smaku Zamachowski ukazuje przemianę prowincjonalnego konserwatywnego notabla w urodzonego amanta buszującego po Warszawie.

MAGDALENA ZAWADZKA w niewielkiej, ale smacznej roli Izzy de Neyman w „Deprawatorze” wraca (z temperamentem) na scenę Teatru Polskiego, z którym związana była przez kilka sezonów. Jako niegdysiejsza wschodząca gwiazda międzywojnia odmalowuje maniery damy z pretensjami, umiejętnie łącząc salonową maskę ze skłonnością do magla. Specjalizuje się w intrygach i drobnych uszczypliwościach, nie oszczędza nawet swojej prywatności, cytując ulubione powiedzonko Magdy Zawadzkiej, która zwykła tak odpowiadać na komplementy: „Cóż winien kwiat, że pachnie”.

Tomasz Miłkowski

NA POWAŻNIE

NA EKRANACH

BEZ MAZURA

Premiera „Strasznego dworu” Moniuszki w Polskiej Operze Królewskiej przejdzie do historii jako dzieło pozabawione najbardziej żywiołowego z polskich tańców narodowych. Twórca przedstawienia Ryszard Peryt uznał, że na 200-lecie urodzin kompozytora warto raczej zaakcentować martyrologiczne konteksty dzieła: upadek powstania styczniowego, żałobę objawiającą się w czarnych sukniach kobiet, pożar dworku głównych bohaterów, Stefana i Zbigniewa, czy wreszcie stary zegar („Ten zegar stary”, o którym śpiewa klucznik Skołuba) w formie trumny. Zamiast kończącego operę wspaniałego i radosnego mazura dostaliśmy „Agnus Dei”, też Moniuszki, pod wielkim obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. I niech ktoś powie, że była to opera komiczna.

Bronisław Turmętowicz

Stanisław Moniuszko, „Straszy dwór”, dyrygent Grzegorz Nowak, reżyseria Ryszard Peryt, Polska Opera Królewska, premiera 30 grudnia 2018



DOKUMENT W TV

SYRIA: REŻIM ASADÓW

By zrozumieć, co się dzieje w Syrii, trzeba bliżej przyjrzeć się rządzącej od niemal 50 lat rodzinie Asadów. Dokument cofa się do czasów, kiedy władzę w kraju obejmował ojciec Baszara Hafiz, a rodzina opływała w luksusy. Baszar al-Asad był drugim synem Hafiza. W młodości zafascynowany nauką, w dorosłym życiu wybrał studia medyczne. Pasję i miłość do medycyny rozwijał w Londynie, gdzie poznał przyszłą żonę Asmę. On był okulistą, ona bankierem inwestycyjnym. Świetlana przyszłość w Europie przerwana została niespodziewanie w 1994 r., kiedy mający objąć w przyszłości rządy starszy brat Baszara Bassel zginął w wypadku samochodowym. Baszar al-Asad rozpoczął rządy od obietnicy wprowadzenia reform. Zapowiadał walkę z korupcją i wolne media. Szybko się okazało, że jego władza jest tak samo krwawa jak reżim ojca...

NATIONAL GEOGRAPHIC, 12 STYCZNIA, GODZ. 21.00



MÓJ PIĘKNY SYN

reż. Felix Van Groeningen, prod. USA, już w kinach

Najtrudniej optakuje się żywych. Nie wierzycie? To skonfrontujcie się z historią dziennikarza Davida, którego syn wchodzący w dorosłość bierze narkotyki. Choć przyjaźnili się, znali swoje sekrety, szybko stają się sobie obcy. Powrót do nieodległej bliskości jest już niemożliwy, czego David nie chce zaakceptować. Woli jeździć po ośrodkach, sięgać po fachową literaturę, wszystko, byle złożyć apelację od wyroku losu. Reżyser patrzy na problem uzależnienia z perspektywy rodzica, który staje się coraz bardziej współuzależniony – odsuwa się od rodziny, koncentruje tylko na synu narkomanie, jemu, a raczej jego nałogowi, podporządkowuje życie. W ojca wciela się znany głównie z komedii Steve Carell, który daje taki popis, że bezradność jego bohatera sprawia ból. Partneruje mu Timothée Chalamet, ale jego wątek osłabia siłę rażenia filmu. Nie z braku talentu, bo ten młody gwiazdor ma, tylko z powodu wygładzonej, niemal aseptycznej wizji jego bohatera. Nawet gdy ląduje na ulicy, zachowuje czyste włosy i gładką twarz cherubinka.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

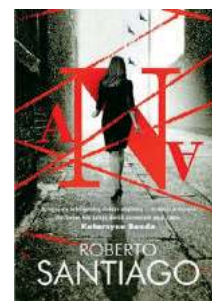
Roberto Santiago

ANA

tłum. Joanna Ostrowska, Grzegorz Ostrowski
Muza, Warszawa 2018

Świetna w przyjmowaniu ciosów – tak o sobie mówi adwokatka Ana Tramel. Potrafi je znosić jak Rocky Balboa, a syąpi się na nią co parę stron (potężne tomiszczce, więc sporo tego). Jeśli coś jej się udaje, już za chwilę potężnie obrywa, nie tylko w przenośni. Można nawet pomyśleć, że dla efektu dramatycznego autor poświęca wiarygodność postaci, bo dlaczego błyskotliwa prawniczka, rozgarniająca niegdyś przeciwników na sali sądowej, teraz daje się zaskakiwać? Z drugiej strony po paru latach pracy w kancelarii zajmującej się odwołaniami od mandatów porwała się na walkę z potężnym koncernem hazardowym, z ludźmi bezwzględными i obrzydliwie bogatymi, żerującymi na nałogowcach, co gorsza przy poparciu państwa. Czym jest uzależnienie, Ana zresztą dobrze wie. Jej brat hazardzista wpłatał ją w tę brudną sprawę, a ona sama ma słabość do seksu i łączenia alkoholu z lekami. To książka dla odpornych emocjonalnie – za głównych bohaterów od ruchowo trzyma się kciuki, ale tu ma się ochotę z nerwów gryźć palce.

Aleksandra Pańko



Elżbieta Sieradzińska

Meksyk, 17, może 18 maja 1992 r. Elsa Ávila wraca do domu po kolejnej rehabilitacji palców dłoni. Terkot faksu. To Carlos! Wszedł na Kanczendzongę! A jednak, udało mu się! Co za radość, tylko Wanda... Od pięciu dni nie ma żadnych wieści o Wandzie.

Nepal, noc z 19 na 20 maja. Na Kanczendzondze napadało dużo śniegu. Bardzo dużo. To największy opad od początku polsko-meksykańskiej wyprawy.

Austria, 22 maja. Dźwięk telefonu. Marion Feik podchodzi do aparatu. Nie mija nawet sekunda: wybucha płaczem. Ze słuchawką w ręce zwraca się do Gertrude Reinisch: Wanda nie żyje.

Polska, 25 maja, godzina 16. Agencja Reutera, powołując się na Ministerstwo Turystyki Nepalu, informuje: „Pierwsza Europejka, która weszła na Mount Everest, zdobywczyni ośmiu ośmiotysięczników Wanda Rutkiewicz zaginęła”. O godzinie 17 informację tę podają również Program III Polskiego Radia i Radio Zet. Do Michała Błaszkwicza dzwoni siostra z Niemiec. Do drzwi mieszkania na Sobieskiego pukają Hanna Wiktorowska i Andrzej Zawada. Maria Błaszkwicz otwiera drzwi, ale też już wie, wiadomość dotarła do niej, gdy słuchała koncertu muzyki japońskiej.

Austria. 27 maja. Do Marion przychodzi list od Carlosa, który chce się podzielić z nią rozpaczą po śmierci Wandy. „Jak mówił Ci Arek – pisze – nie dało się nic zrobić. Czekałem na nią na wysokości 8000 m, a także w drugim obozie do momentu, gdy byłem pewien, że już nie wróci... Nie byłem w stanie jej odwieść od tego, chociaż była ogromnie zmęczona, nie miała ani śpiwora, ani maszynki, wody ani żywności. Nie wiemy, czy zmarła w tej jamie, w której odpoczywała, czy też na drodze na szczyt, czy też w drodze na dół. Wiem tylko, że już nigdy nie wróci. Kochaliśmy Wandę”.

Nepal, 28 maja. Gąsienica-Józkowy wysyła list do Marion. Prosi ją o przekazanie go rodzinie Błaszkwiczów. List jest bardzo emocjonalny. Arek nie tylko relacjonuje to, co wydarzyło się pod Kanczendzon-



Biwak na filarze
Trollryggen
w Norwegii.

BEZ ŚLADU

Wiadomo, że Carsoglio nie miał szans odwieść Wandy Rutkiewicz od jej katastrofalnej decyzji i namówić do wspólnego zejścia

gą. Stara się wyrazić to, co nie daje mu spokoju, jemu, ratownikowi: czy mógł coś zrobić, by Wandzie pomóc. Nie w zdobyciu szczytu, bo jego ofiarność i ciężką pracę doceniła w listach sama Wanda, ale w tych ostatnich dniach, gdy nastąpiło załamanie pogody i los Polki był właściwie przesądzony. Dzwonić ani faksować Arek nie może, bo Carlos nie zgadza się za to płacić.

Polska. Po długim, długim czasie do kraju dociera ostatni list Wandy.

„To rozstanie było chyba najtrudniejszym momentem w moim życiu. Wiedziałem, że żegnałem się na zawsze”, mówi Carlos Carsolio w wywiadzie dla „Gazety Wy-

borczej”. „Chociaż rozumiałem, że Wanda chce zostać, zmuszałem się, żeby ruszyć w dół”. Carlos czekał na Polkę w kolejnych obozach. Cekał, choć był przekonany, że żegnają się na zawsze.

Warunkiem przeżycia w strefie śmierci jest przyjmowanie płynów, przynajmniej pięciu litrów dziennie, a Rutkiewicz wody nie miała. Na tej wysokości organizm się nie regeneruje, walczy o przetrwanie, pobierając rezerwy z własnej tkanki tłuszczowej, z mięśni, co z każdą godziną czyni go słabszym. Warunki na Kanczendzondze stawały się coraz gorsze. W bazie wiatr wieje z prędkością około 50 km/h, ale powyżej 7-8 tys., rozpędza się do 100 km.

Temperatura spada do minus 30-35 stopni. Nieustannie schodzą lawiny – prawdziwe potwory długie na 2 km, szerokie na pół kilometra, grube na kilkanaście metrów.

Carlos już nie ogląda się na Wandę. Kolano odmawia mu posłuszeństwa. Zaczyna walkę o życie. Tak mówi. Da radę. Ostatecznie jest Bykiem Himalajów. Jak później przyzna, to chyba jego najzimniejsza noc w górach. „Ciemność, wysokość i ta temperatura – wspomina. – Zacząłem schodzić bardzo powoli, stawiając ostrożnie stopy. Nade mną rozbłyśły miliony gwiazd, a ja wszedłem powoli w inny wymiar świadomości.

Zaginięcie himalaistki jest żywo komentowane w mediach; to niekończący się festiwal artykułów, programów, reportaży.

Miałem wrażenie, że z dołu wołają mnie Niemiec i Szerpa, który zginął na Kanczendzondze kilka tygodni temu”. Carlos słyszy też, nie, nie słyszy, czuje obecność Wandy. Tak jakby teraz właśnie odchodziła.

Zaczyna pokonywać ostatnie trudne technicznie miejsce: zjeżdża 800-metrową ścianą i popełnia błąd: źle wpina przyrząd zjazdowy. Czuje, że odpada. Ratuje go pętla, która przypadkiem tworzy się na linie. „Przywarłem do ściany – pisze Carlos – oddychając ciężko, serce w klatce piersiowej waliło jak oszalałe. I kolejny raz poczułem [jej] silną obecność. [...] Coś jakby połączenie matczynej, otaczającej mnie opieki [...] i głosu Wandy: »Spokojnie, nie martw się, zadbam o ciebie«. Łzy lały się po mojej twarzy, zacząłem szlochać i nie wiem, ile to trwało. [...] do końca zjazdu czułem, że ona nade mną czuwa”.

Około godziny 22-23 Carsolio dociera do obozu IV, na wysokości ok. 7900 m, choć, jak twierdzi, mógłby zejść jeszcze niżej. Nie ma tu ani jedzenia, ani picia. Meksykanin czeka. Mija 12 godzin, ale Wanda się nie pojawia. Fizycznie wyczerpany, decyduje się schodzić i 13 maja dociera do dwójki. Udało mu się. Wszedł na szczyt i wrócił, wyrwał się z paszczy bogini, jak najdalej od jej gniewu. „Pozostałem tam trzy noce. W obozie było wystarczająco dużo jedzenia oraz tlenu. Po rozmowie przez radiotelefon z Andrésem zdecydowałem się zejść do bazy. W dwa poprzednie

dni padał śnieg i obawialiśmy się, że pogoda jeszcze się pogorszy”. W obozie, na prośbę Gąsienicy-Józkowego, zostawia dla Wandy radiotelefon i herbatę. Jest bardzo zmęczony. Chce, by Andrés i Arek wyszli po niego pod północną ścianę. W górze znowu przychodzi załamanie pogody. Burza szaleje. Nie da się zobaczyć, co się dzieje w ścianie.

Jakie szanse ma Polka na przeżycie trzeciej ciężkiej nocy na wysokości 8300 m? Na zdobycie szczytu i samotne zejście? Tym bardziej że nadchodzi załamanie pogody. (...) Brak widoczności, temperatura

dochodzi do minus 30, a ślady partnera dawno zawiąło. Wanda nie ma śpiwora, kuchenki, zapasów, wody, cieplejszego kombinezonu. Carlos pozostawił ją całkowicie przytomną, choć „jej oczy, przekrwione i szkliste, odzwierciedlały to, co się działo w jej organizmie. Była kompletnie wykończona”, odwodniona i osłabiona wymiotami. Czy tak doświadczona himalaistka może mieć jakiegokolwiek złudzenia?

„Carlos zawołał przez radiotelefon, że jest bardzo zmęczony – wspomina Arek – że nie ma siły, żebyśmy wyszli naprzeciw, pod północną ścianę, na wysokość 6000 m, że on będzie

Grała w górach w rosyjską ruletkę. Uważała, że zawsze z tego wyjdzie. No i w końcu jej nie wyszło.

schodził. Wandy nie ma. Jak to, Wandy nie ma? [...] – Wanda została w górze, nie chciała wrócić ze mną”.

Carlos już nie jest, jak sugerowano, młodym, nie dość doświadczonym himalaistą; doskonale wie, że szanse Rutkiewicz na przetrwanie są zerowe. Walczy o własne życie, to oczywiste. Działa według reguł, które wyznawała też Wanda, mówiąc wielokrotnie o niemożliwości sprowadzenia partnera na takich wysokościach na dół, jeśli sam nie jest zdolny się poruszać.

W namiocie w obozie II zostawia na prośbę Arka jedzenie, picie, śpiwór, palnik i gaz. Dla Wandy, kiedy wróci. Jeśli wróci. Sam zaczyna

schodzić. Na lodowcu spotyka Arka i Andrésa, i razem schodzą do bazy.

Baza. Arek z Szerpami próbuje wyjść do góry, ale pogoda jest wciąż zła, muszą zawrócić. Łączności brak. Mija pięć kolejnych dni. Arek jest ratownikiem. Niesienie ludziom pomocy w górach ma we krwi. Może jednak powinien iść w górę, może coś dałoby się dla Wandy zrobić. Ta myśl go nie opuszcza. 17 maja pogoda jeszcze się pogarsza. Kanczendzonga zupełnie znika w zadymce i mgle. (...)

Arek: „Załamano się całkowicie pogoda. Przyszły chmury, burza śnieżna, nic nie było widać, tak że nie mogliśmy obserwować, co się dzieje w górze. [...] Zostaliśmy w bazie pięć dni. Meksykanie spieszyli się do domu. Carlos postawił sprawę jasno: wracasz na dół, związamy karawanę, wracasz na dół. Co mogłem zrobić?”.

Zaginięcie najśłynniejszej himalaistki świata jest żywo komentowane w mediach; to niekończący się festiwal artykułów, programów, reportaży. Kondolencje i wspomnienia ukazują się „we wszystkich liczących się periodykach (...). Wszystkie teksty podkreślają absolutnie czołową rolę zmarłej w alpinizmie światowym”. (...) Mnożą się wypowiedzi, komentarze i opinie osób mniej lub bardziej związanych z Rutkiewicz i górami, mniej lub bardziej kompetentnych. Pada również hasło „trzeba znaleźć Wandę!”, rzucone przez legendę

polskiego dziennikarstwa sportowego Bogdana Tomaszewskiego, który na początek asygnuje na ten cel duże pieniądze. Idea zorganizowania akcji poszukiwawczej, początkowo podchwycona przez brata Rutkiewicz Michała, ostatecznie upada. Czy miałyby jakieś szanse? Próba przelotu helikopterem od strony południowej – inicjatywa któregoś z departamentów MSZ tydzień po zaginięciu – skazana jest na porażkę. Śmigłowce latają tylko do 7000 m, a maszyna w ogóle nie wystartowała z powodu pogody. A zresztą, co można dostrzec ze śmigłowca? Ślady? Ciało?

Ludzie idą powyżej 8000 m i ryzykują życie dla zdobycia szczytu, ale

► czy można ich narażać, by szukali ciała? Czy góra pozwoliłaby je znaleźć? Szczeliny, rozpadliny, silne wiatry i zamiecie skutecznie chronią ciała śmiałków przed światem. Ponadto Michał czuł, że sprawa przybiera niewłaściwy obrót. Więcej w tym było medialnego szumu niż autentycznej troski i chęci pomocy. Arek Gąsienica-Józkowy także był sceptyczny: po takim czasie ciało na tej wysokości zaczyna ważyć 150-200 kilogramów. Jak je pochować?

Z dnia na dzień maleją szanse na jakiegokolwiek pozytywny wieści z Nepalu. W to, że Polka zdołała przeżyć, nie wierzy zresztą chyba żaden himalaista. Niektóre zagraniczne tytuły, jak „Komsomolskaja prawda”, podają nawet nieprawdziwą informację o znalezieniu Polki martwej w miejscu ostatniego biwaku przez kolejny zespół szczytowy.

Przez jakiś czas w dyskusjach przewija się alternatywna wersja wydarzeń na Kanczendzondze, wywołana niejako przez matkę Wandy. Maria Błaszkiwicz utrzymuje, że jej córka zeszła na południową stronę masywu i schroniła się w buddyjskim klasztorze. To przekonanie oraz wcześniejsze wypowiedzi samej himalaistki dawały nikłe wprowadzenie, bliskie zeru, ale jednak resztki nadziei na ocalenie. Biorąc pod uwagę racjonalne, pragmatyczne podejście Rutkiewicz zarówno do życia, jak i do wspinaczki, całkowicie przeciwne empirii, kabale i wiedzy tajemnej, jaka wypełniała życie i umysł jej



Sukces
norweskiej
wyprawy.

i jakby nieobecnej”. Kiedy Święch przestrzega ją przed wspinaniem się bez tlenu powyżej 7000 m, w odpowiedzi słyszy coś jakby zupełnie nie na temat: „Gdybym kiedyś nie wracała z Himalajów, nie martw się. Może zejść do któregoś z klasztorów...”. (...)

Jeszcze bardziej enigmatycznie brzmią słowa Rutkiewicz w Golubiu-Dobrzyniu podczas Balu Mistrzów Sportu, gdzie himalaistka dzieli stolik

zejście na południową stronę, odkopać w śnieżnej zawieszce owe „schowki”, zejść i dotrzeć do ludzkich siedzib oddalonych o parę dni drogi. Po południowej stronie nie działała żadna wyprawa i Wanda o tym wiedziała. (...)

Inną wersję ostatniej rozmowy z Wandą przedstawia Carlos Carso ino w wywiadzie udzielonym we wrześniu 2016 r.: „Było strasznie zimno. Namawiałem ją, żeby schodziła ze mną, ale nie mogłem jej zabrać siłą. Z nią zawsze trzeba było się zgadzać i wiedziałem, że nie mam szans jej przekonać”. Rok później, podczas VII Otwartych Dni Wspinania w Hucisku, w wywiadzie dla „NPM Magazynu Turystyki Górskiej” powie: „Była kompletnie wykończona, lecz jej determinacja nie znała granic”. Jego zdaniem Kanczendzonga zafascynowała ją bez reszty. Tak też tłumaczy sytuację słynnej Miss Elisabeth Hawley w Katmandu, która później powie: „To było dobrze chronione miejsce, ale nadal zachęcał ją do zejścia. Wanda powiedziała mu, że jest jej zimno, ponieważ stary kombinezon nie jest już wystarczająco ciepły. [...] Miała tylko płachtę biwakową, którą się owinęła, by zachować ciepło”. Wanda ponoć prosiła go jedynie, by zniósł z czwórki jeden ze śpiworów,

Anna Czerwińska: „Pomyślałam, że Wanda się zabije, i nawet wydawało mi się, że taki ma cel”.

matki, raczej trudno było wyobrazić sobie jej decyzję o zamknięciu się w buddyjskim klasztorze. Taką wersję mogły jednak potwierdzać niektóre, dość nieoczekiwane jak na Wandę wypowiedzi, jakie padły w różnych okolicznościach już po 1990 r.

Na krótko przed wyprawą na Kanczendzongę Zbigniew Święch, krakowski pisarz i dziennikarz, sprawca spotkania Wandy z Janem Pawłem II, podczas wspólnej kolacji „dwojga Wodników” (oboje urodzili się w pierwszych dniach lutego) zauważa dziwne rozkojarzenie Wandy. Zazwyczaj „żywiota i serdeczna zaczęła sprawiać wrażenie oświeconej

z Marią Nurowską. „Być może to mój ostatni rok tutaj – oznajmia pisarce – zamierzam wynieść się tam, gdzie umiem być szczęśliwa. – To znaczy? – dopytuje Nurowska. – Dowiesz się z gazet – odrzekła. Obie byłyśmy nieco wstawione, więc nie potraktowałam tego wyznania poważnie”.

Możliwość zejścia na południową stronę góry miałaby jakoby uwiarygodniać pozostawienie tam przez Polkę depozytów podczas poprzedniej wyprawy. Owszem, Wanda znała tę drogę i miała zapasy żywności i sprzętu, ale przy krańcowym zmęczeniu, po załamaniu pogody, trudno uwierzyć, że zdołałaby odnaleźć

bo ona, schodząc ze szczytu, będzie zbyt zmęczona i dwóch znieść na dół nie da rady. To dowód, że mimo wyczerpania mówiła i myślała logicznie, była w pełni władz umysłowych. W relacji Gąsienicy-Józkowego zawartej w książce Ewy Matuszewskiej „Uciec jak najwyżej” nie ma także ani słowa o prośbie pożyczania jej puchowych spodni. Informacja o tym i o odmowie Carsolia pojawia się dopiero w późniejszych wywiadach Meksykanina; Carlos odmawia, bo, jak twierdzi, sam ich będzie potrzebował, choć Arek się dziwi: do czego? w namiocie?

Środowisko alpinistów wątpliwości mediów i ogółu nie podziela. Carlos postąpił zgodnie z obecnie panującymi trendami, twierdząc. Każdy odpowiada za siebie, a jeśli ktoś jest słabszy, to jego problem. Ponadto wiadomo, że Carsoglio nie miał szans odwieść Rutkiewicz od jej katastrofalnej decyzji i namówić do wspólnego zejścia. Zresztą, czy przy jej tempie posuwania się aby na pewno czekałby na nią przy schodzeniu, tak jak zostawił ją daleko w tyle podczas ataku na szczyt? Równie dobrze mogłaby umrzeć z wyczerpania po drodze. (...)

Jednoznaczny, żeby nie powiedzieć bezwzględny, jest w tej kwestii Reinhold Messner: „Zupełny bezsens. Carsolio nie miał nic wspólnego ze śmiercią Wandy. Ona natomiast miała jak najwięcej wspólnego z własną śmiercią. Była szalona. Poszła tam, gdzie nie powinna chodzić. Ona jest odpowiedzialna za swoją śmierć. Bardzo łatwo jest w Polsce powiedzieć: »To przez tego Meksykanina całe nieszczęście«. Carsolio żyje ze świadomością, że ktoś w Polsce wini go za ten wypadek. Więc winny czy nie? Carsolio powiedział Wandzie: »Musisz schodzić, jest zbyt późno«. Ale ona: »Grrrr! Nie ma mowy!«. Wszyscy Polacy bili brawo: »O! Jaka dzielna kobieta!«. (...)»

O ile jednak zachowanie Meksykanina pod szczytem Kanczendzongi środowisko przyjęło ze zrozumieniem, znacznie trudniej w zaistniałej sytuacji wytłumaczyć jego odmowę opłacenia telefonów czy faksów Arka do Polski. Ostatecznie na jego wyprawie zaginęła himalaistka o sławie, o której do dziś, mimo zdobytej Korony Himalajów jako czwarty człowiek na świecie, Meksykanin może

tylko pomarzyć. A najtrudniej zrozumieć świętowanie zdobycia szczytu na bankiecie wydanym w Katmandu, na którym o zaginięciu Wandy kierownik meksykańsko-polskiej wyprawy ponoć nie wspomina ani słowem.

To była słaba wyprawa. Bez doświadczenia w górach wysokich. (...)

Jednak postawa Carlosa nie miała wpływu na ogólną ocenę szans Rutkiewicz na powodzenie „Karawany do marzeń”, na zdobycie trzeciej góry ziemi i dociekanie bezpośredniej przyczyny zaginięcia himalaistki.

„Karawana do marzeń” czy, jak mówili niektórzy, karawan do marzeń? Ewa Matuszewska w ostatniej, burzliwej rozmowie z przyjaciółką, tuż przed wyjazdem do Nepalu, rzuciła bez owej złośliwości, ale równie dobitnie: to sposób na życie czy na śmierć?

Ludzie idą powyżej 8000 m i ryzykują życie dla zdobycia szczytu, ale czy można ich narażać, by szukali ciała?

Anna Czerwińska: „To nie mogło się udać. Nie przy tej formie, jaką Rutkiewicz prezentowała w ostatnich latach. Ja widziałam w tym jednak chęć unicestwienia. Kiedy usłyszałam o »Karawanie«, pomyślałam, że Wanda się zabije, i nawet wydawało mi się, że taki ma cel. Jej organizm nie wytrzymałby całej tej »Karawany«. [...] Wiedziałam, że prędzej czy później zrobi sobie krzywdę. Autodestrukcja? Wanda powiedziała kiedyś, że na atak szczytowy trzeba iść z nastawieniem, że już się nie wróci”.

Arek Gąsienica-Józkowy: Miała szansę.

Pierre Mazeaud: Czy była w stanie to zrobić? Fizycznie? Mentalnie? Była za słaba? Za wolna? „Karawana” to szaleństwo? „Nic podobnego – nestor francuskiego himalaizmu niemal się oburza – to był wspaniały pomysł, challenge, wyzwanie. Godne podziwu. Zaginęła na Kang, zapłaciła za własne idee. [...] ale była wielka. A ta dyskusja jest najzupełniej absurdalna”.

Leszek Cichy: „Czy miała szansę zdobyć te wszystkie ośmiotysięczniki? W tym czasie to nie, to statystycznie niemożliwe”. (...)

Andrzej Zawada: Wanda znalazła się na drugim biegunie pojmo-

wania życia. „Coraz więcej czasu i sił poświęcała na żmudne starania o pieniądze. [...] Zgubiła ją polska bieda. Z takimi osiągnięciami na Zachodzie miałyby pieniądze na własne wyprawy, na których ona byłaby najważniejsza i dla niej zakładano by obozy i wynoszono sprzęt do góry, by mogła zachować siły na atak szczytowy. Tymczasem z konieczności pozostała jej tylko możliwość dołączania się do obcych wypraw na zasadzie prośby i częściowej odpłatności. Nieraz była tam traktowana po macoszemu. A czas uciekał”. (...)

Leszek Cichy: „Kanczendzonga w tych warunkach, przy jej zmęczeniu, słabym tempie i słabej wyprawie, w tej sytuacji (tylko jeden silny uczestnik), tym razem była zbyt dużym wyzwaniem. W tym zespole, co prawda, Wanda była kobietą i można uznać, że na pewnej wysokości była słabsza, ale to ona była

mistrzynią, a on był uczniem. Taka była relacja: mistrz i uczeń. To ona miała większe doświadczenie, więcej ośmiotysięczników za sobą, choć Carsolio był może silniejszy, bo był facetem”.

Janusz Onyszkiewicz: „Grała w górach w rosyjską ruletkę. Uważała, że zawsze z tego wyjdzie. No i w końcu jej nie wyszło. To jej przekonanie, że jest niezniszczalna, nie powiem, że musiało się tak skończyć, ale było całkiem prawdopodobne, że jednak się tak skończy. To była moja taka pierwsza gorzka myśl. Poza uczuciem wielkiej straty i żalu, że tak się stało. Ona stąpała jednak po polu minowym i w końcu nadepnęła na minę”.

Krzysztof Wielicki – tytuł jednego z wywiadów: „O Wandzie, która nie chciała przestać...”.

Fragmenty książki
Elżbiety Sieradzińskiej,
Wanda Rutkiewicz.
Jeszcze tylko jeden szczyt, Marginesy,
Warszawa 2018



Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Wiednia

Brunatne czerwone

Zweigelt,
najpopularniejsze
austriackie czerwone
wino, ma zmienić nazwę

Znawcy czerwonego wina nie gardzą silnie owocowym, o posmaku wiśni i jagód, niemal granatowej barwy austriackim zweigelt. Być może jednak ta nazwa gatunku, pochodząca od nazwiska twórcy krzyżówki szczepu, stanie się przeszłością.

Jej zmiany domaga się grupa intelektualno-artystyczna Institut ohne direkte Eigenschaften (Instytut bez Bezpośrednich Właściwości). Akcję tę traktują nie tylko jako prowokację, ale także jako wskazanie obszaru, który jeszcze nie zmierzzył się ze swoją nazistowską przeszłością, a moment dojrzał: 100-lecie powołania I Republiki, 80 lat od Anschlussu i nocy kryształowej.

Gatunek winogron pochodzi ze Styrii. W 1922 r. Friedrich „Fritz” Zweigelt skrzyżował dwa szczepy, St. Laurent i Blaufränkisch, a uzyskaną krzyżówkę nazwał Rotburger. Wino uważano za przyzwoite, hodowcy doceniali siłę rośliny i to, że nie wymaga wiele pracy. Pół wieku później znany winiarz Lenz Moser, uczeń Zweigelta, odkrył możliwości owego szczepu i uprawiał go w swoich winnicach od 1975 r. jako zweigelt. Dziś jest on drugim najczęściej uprawianym szczepem w Austrii (ok. 14% powierzchni upraw).

DR ZWIEGELT I BRUNATNY TERROR

I nadal rósłby sobie spokojnie pod tą nazwą, gdyby nie fakt, że dr Fritz Zweigelt był nie tylko „papieżem hodowców winorośli”, ale też aktywnym nazistą, a od 1 maja 1933 r. członkiem NSDAP. Pracował jako adiunkt w stacji hodowli winorośli w Klosterneuburgu, która w latach 30. XX w. z dumą podkreślała, że zatrudniano tam „tylko dobrych nazistów i fanatycznych nazistów. Poza tym nikogo więcej!”.

Po zajęciu Austrii w marcu 1938 r. dr Zweigelt mówił: „Zły sen został przepędzony przez dudniące kroki niemieckich żołnierzy. Żydowski duch spekulacyjny stracił grunt po wsze czasy”. Miał na koncie także

donos do gestapo na lokalną grupę antyfaszystów, z których jednego aresztowano. Po zakończeniu wojny Zweigelt trafił do więzienia za podleganie do nienawiści na tle narodowościowym, ale po pół roku go wypuszczono. Pamięta mu się też deprecjonowanie winiarzy specjalizujących się w gatunku uhudler. Zweigelt miał stwierdzić, że pijące uhudlera kobiety stają się niepłodne, a mężczyźni „szarzeją na twarzach i trzęsą się na ciele; ci zaś, co piją szlachetniejsze wina, mają pełne dzieci rodziny, są zdrowi i pracowici”. W efekcie do połowy lat 90. XX w. w Austrii obowiązywał zakaz produkcji tego wina, potem można było je wytwarzać na własny użytek – aktualnie zakazy nie obowiązują. Od 2002 r. przy politycznym wsparciu co roku wręczano za dokonania na polu winiarstwa nagrodę im. dr. Fritza Zweigelta, której towarzyszył medal z jego obliczem.

– Zbyt długo nic się nie działo, teraz podjęliśmy trud, żeby tę historię przepracować – mówi Wilhelm Klinger, szef przedsiębiorstwa Österreich Wein Marketing. Wspólnie z histo-

rykami i winiarzami przygotowuje 700-stronicową księgę o narodowo-socjalistycznej przeszłości branży winiarskiej „Wino zapomnienia”.

WINO I PRAWDA

Instytut bez Bezpośrednich Właściwości stara się przekonać lokale, winiarnie, centra kulturalne i inne miejsca, gdzie można napić się wina, by od nowego roku serwowały gościom nie zweigelt, tylko blauer montag. Nazwa nie jest ani przypadkowa, ani neutralna, nawiązuje do nacjonalistycznego punktu widzenia, podkreślającego „niearyjskie” podejście do życia (wolny poniedziałek, odpoczynek po intensywnym weekendzie). Projekt etykiety opracował poeta i grafik Daniel Böswirth. Jak mówi część winiarzy, prowokacyjna nazwa raczej się nie przyjmie, ale kilku hodowców winorośli już zgodziło się przemianować zweigelta.

Grupa intelektualistów i artystów z Instytutu bez Bezpośrednich Właściwości traktuje swoją akcję jako wkład w wydobycie na światło dzienne przeszłości winiarza nazisty i antysemitę Fritza Zweigelta. Chodzi o to, by przyrzeć się jemu i rynkowi winiarskiemu, aryżującemu produkcję wina w czasach III Rzeszy.

W Perinetkeller, historycznej piwnicy w Wiedniu, gdzie spotykają się członkowie Instytutu bez Bezpośrednich Właściwości, pokazywany jest film „Zweigelt – Wein und Wahrheit” (Zweigelt – wino i prawda) Geralda Teufela, toczą się też dyskusje. Można tam próbować wina już pod nową nazwą, a reklamuje się je jako „antyfaszystowski prezent gwiazdkowy”. „Odzwieglotowywanie” popularnej marki spotkało się z ostrą reakcją w prawicowo-ekstremistycznych mediach. Niewybredne ataki, stylistycznie porównywalne z tekstami z okresu III Rzeszy, mają zdyskredytować inicjatorów akcji. Samemu zweigeltowi pomóc nie mogą.

No cóż, gdyby nie artystyczna wolność podejmowania dyskusji, być może wielu, pijąc wino, nie wiedziałoby, skąd wzięto nazwę. Jego denazyfikacja się rozpoczęła. Winy winiarza znalazły się wreszcie pod lupą. ■



Głos za inspektami na Wiejskiej

Edward Mikołajczyk

Od razu na początku uprzedzam, że dodałem PLUS do nazwy tego mojego kąta w PRZEGLĄDZIE. Pewnie nic wielkiego by się nie stało, gdybym się nie przyznał, ale trzeba znać panią redaktor Joannę Wielgat, żeby wiedzieć, że tutaj samowolka nie przechodzi. Już słyszę ten głos: A po co to panu, taka niby dobra zmiana?

Odpowiadam, zanim zostanę zapytany. Plus jest wynalazkiem bezpartyjnym i stał się własnością naszej cywilizacji na długo przed plagami, które dopadły dzisiejszą Polskę. Mój pierwszy w życiu felieton miał tytuł „Plus dzwonki tramwajów”. Drukował go „Tygodnik Kulturalny” w roku 1964, kiedy w kinach wyświetlano historię o dwóch żarłocznych, leniwych i okrutnych bliźniakach, zatytułowaną „O dwóch takich, co ukradli księżyc”.

Nie pożyczam więc plusa od nikogo, bo on jest tak samo moją własnością, jak własnością wszystkich Polaków są Wawel, Białystok albo Kęty. Dodaję go do tytułu rubryki dla zaznaczenia od dzisiaj pewnej zmiany, a nie po to, aby pod coś się podszyc albo ironizować na temat środków, którymi PiS przekupuje elektorat. Plus znaczy tyle, że teraz będzie w tym miejscu więcej o samym życiu niż o sposobie objaśniania rzeczywistości przez telewizję.

Starłem się do tej pory, tak jak obiecałem Prezesowi (mam swojego!), pisać tutaj o mediach publicznych. Ale dłużej przecież się nie da. Telewizja Polska i Polskie Radio, powołane na początku lat 90. do służby cywilnej, zostały w ciągu ostatnich trzech lat ideologicznie skoszarowane i zajmują się wyłącznie rozsiewaniem partyjnej propagandy PiS. Dziennikarstwo, które w warunkach de-

odgadują wolę prezesa z ruchów każdego jego paluszka, czytają gotowe rozkazy z każdego grymasu. TVP jest w stu procentach pod nadzorem państwa, którego nadzór jest na Nowogrodzkiej. Jest wzorowym, a często nadgorliwym wykonawcą zleceń partyjnych, twórczym propagandystą, nie tylko ślepym ramieniem. Z własnej woli sprawuje partyjny nadzór nad całym otoczeniem medialnym niejako w imieniu państwa zagarniętego przez PiS. Wykonuje to nadmiarowo i z zapamiętaniem, którego nie przewidywał narodowo natchniony autor wspomnianego podręcznika. Wtedy nie było telewizji, dziś dopiero poczulimy telewizyjny triumf woli.



Oglądanie TVPiS obezwładnia człowieka, dlatego proszę swojego Prezesa, aby mi pozwolił dostawić Plus do Szołkejsa, tak bym mógł częściej pisać tutaj o rzeczach poważniejszych niż anomalia kurska.

Dzisiaj chciałbym np. pochwalić marszałka Sejmu za decyzję dopuszczającą jedno widzenie z postami w miesiącu. W ogóle warto wcześniej zakończyć udawanie, że gromada ludzi na Wiejskiej uchwała coś, czego wcześniej nie postanowił Kaczyński na Nowogrodzkiej.

Warto zakończyć to udawanie, że gromada ludzi na Wiejskiej uchwała coś, czego wcześniej nie postanowił Kaczyński na Nowogrodzkiej.

mokracji kontroluje władzę, zamieniono na robotę polityczną w bezwzględny interes tej władzy. Redaktorzy nie są już dziennikarzami. Wykonują pracę funkcjonariuszy czerezwyczaiki, partyjnego specoddziału, który demaskuje i ściga wrogów ludu, czyli politycznych przeciwników autorytarnej władzy.

„Państwo ma obowiązek nadzoru nad prasą, musi patrzeć jej na ręce”, czytamy w klasycznym podręczniku propagandy, którego tytułu nie podaję ze strachu. Państwo jest w rękach partii, partia jest w rękach Jarosława Kaczyńskiego, który już nie musi spoglądać w dół na nicyje ręce. Jego namiestnicy, jak ten z ulicy Woronicza,

Z wiosną Marek Kuchciński powinien pomyśleć o założeniu inspektów warzywnych w parlamencie, by obronić sens ekonomiczny utrzymywania nieruchomości. Ma już pewne miejsce w historii polskiego parlamentaryzmu jako ryzykant i śmiały reformator uzbrojenia i umundurowania straży marszałkowskiej. Dwa lata temu wykluczył z debaty Michała Szczerbę za słodsze, niż przewiduje regulamin, zwrócenie się do marszałka. Nawet jeżeli tak nakazywało umiłowanie porządku, Kuchciński powinien wiedzieć, z kim zadziera. Poseł Michał jest synem Kazimierza Szczerby, świetnego boksera, dwukrotnego medalisty olimpijskiego. Po jego prawym prostym przeciwnik „nie miał prawa się nie przewrócić”.

CZEKAJĄC NA BULDOŻERY

Dalia Mikulska

Korespondencja z Jerozolimy

Choć pod wpływem presji międzynarodowej decyzja o wyburzeniu Khan al-Ahmar została wstrzymana, losy tej niewielkiej beduińskiej wioski na Zachodnim Brzegu Jordanu zdają się przesądzone. Po trwającej prawie dekadę batalii sądowo-administracyjnej Wysoki Trybunał Sprawiedliwości Izraela odrzucił wniosek jej mieszkańców, a rząd postawił im ultimatum: albo dobrowolnie rozbiórą swoje namioty i chaty z blachy falistej, albo wszystko, co posiadają, zostanie zrównane z ziemią przez buldożery. Zostali, nie godząc się z taką decyzją.

NAKAZY WYBURZENIA

Dla mieszkańców Khan al-Ahmar, niegdyś koczowniczej społeczności Dżahalin, nie będzie to pierwsze przymusowe przesiedlenie. Na tereny leżące na północny wschód od Jerozolimy przybyli na początku lat 50. ubiegłego wieku, po tym jak w konsekwencji powstania Państwa Izrael arabska pustynia an-Naqab z ich wioską Tel Arad stała się izraelską Negew, a dla nich zabrakło na niej miejsca.

Na ich nieszczęście ziemia, na której zamieszkali prawie 70 lat temu, choć do Izraela nie należy, jest dla niego strategicznie istotna. Wybudowano tu izraelskie osady, takie jak Kefar Adummim czy Ma'ale Adummim – największą izraelską kolonię na Zachodnim Brzegu, przez Izraelczyków nazywaną miastem. Pomiędzy Wschodnią Jerozolimą a Ma'ale Adummim znalazła się natomiast strefa E1 (East 1), obszar o powierzchni 12 km kw. przeznaczony pod budowę infrastruktury służącej osadnikom.

W nakazach wyburzenia, które otrzymali beduini, jako przyczyna wskazany jest fakt, że ich nędzne domy z blachy falistej czy szkoła z opon samochodowych, w której uczą się ich dzieci, zostały wybudowane bez stosownych zezwoleń. Tyle że żyjący na tym terenie Palestyńczycy praktycznie nie mają szans ich otrzymać. Mieszkańcom Khan al-Ahmar odmówiono

Beduińska wioska
przeszkadza
w potężeniu izraelskich
osad na Zachodnim
Brzegu z Jerozolimą

pozwoleń z powodu braku planu budowy. Gdy coraz bardziej świadomi swoich praw beduini dostarczyli go, okazało się, że na przeszkodzie stoi brak formalnych aktów własności ziemi. Ziemi przeciw palestyńskiej, lecz położonej w strefie administrowanej przez Izrael. Ziemi, na którą przybyli nie z własnej woli, lecz wygnani przed laty przez to państwo.

I choć ubiegali się o zezwolenia, składali wnioski, dotarli nawet do izraelskiego Wysokiego Trybunału Sprawiedliwości, palestyńscy aktywiści mają gorzką świadomość, że walka beduinów przed izraelskimi urzędami i sądami jest daremna – i to nie ze względu na niedopełnione formalności. Należące do beduinów konstrukcje, podobnie jak strefa E1, stoją na drodze izraelskim planom potężenia Ma'ale Adummim i pozostałych kolonii z Jerozolimą. Chociaż właśnie one – jako służące osiedlaniu własnej ludności na ziemi okupowanej – są według prawa międzynarodowego nielegalne, im wyburzenie nie grozi. Zdaniem palestyńskich aktywistów wysiedlenie pasterskiej wioski ma stworzyć przestrzeń do dalszego rozwoju izraelskich osiedli, odcinając jednocześnie Wschodnią Jerozolimę od Zachodniego Brzegu, a palestyńskie ziemie przecinając niemal na pół.

NAJŚWIĘTSZE MIASTO NIEZGODY

Gdy pod koniec 2017 r. Donald Trump ogłosił zamiar przeniesienia ambasady Stanów Zjednoczonych do Jerozolimy, uznając miasto za stolicę Izraela, oczy całego świata po raz kolejny zwróciły się ku tej bliskowschodniej kości niezgody. O decyzji Trumpa mówili najważniejsi światowi przywódcy, znani dziennikarze i publicyści, zwykli ludzie protestowali w Gazie i na Zachodnim Brzegu, w Bejrucie i Ammanie. Na ulicach krzyczano: „Łapy precz od Jerozolimy!”, a przy stołach rozmów i przed kamerami zastanawiano się nad konsekwencjami politycznymi i stawiano pytanie, komu ona się należy – Arabom czy Żydom?

Zgodnie z rezolucją ONZ nr 181 z 1947 r., która podzieliła historyczną Palestynę na dwa państwa, Jerozolima – ze względu na obecność miejsc świętych dla trzech monoteistycznych religii – miała się stać *corpus separatum*, podlegającym specjalnej administracji międzynarodowej. W realizacji tego postanowienia przeszkodził wybuch wojny izraelsko-arabskiej. W 1949 r. miasto zostało faktycznie podzielone na dwie części – wschodnią zajęła Jordania, zachodnią Izrael. Prawie 20 lat później, po wojnie sześciodniowej, Izrael zajął kontrolowany dotąd przez Jordanię Zachodni Brzeg wraz ze Wschodnią Jerozolimą, którą wcielił do swoich granic. Aneksję potępiła Rada Bezpieczeństwa ONZ w kolejnych rezolucjach uznających izraelskie poczynania zmierzające do zmiany statusu miasta za nieważne.



Beduińska uczennica w drodze do szkoły w Khan al-Ahmar.



Dramatyczne protesty Palestyńczyków nie są w stanie zatrzymać izraelskich buldożerów.

Niektórzy komentatorzy wskazywali, że decyzja Trumpa o uznaniu Jerozolimy za stolicę Izraela i przeniesieniu do niej ambasady USA (co już spowodowało i zapewne w przyszłości spowoduje podobne decyzje innych państw) jest jedynie usankcjonowaniem faktów, bo już od 1949 r. właśnie tam znajdowały się najważniejsze izraelskie instytucje, a jej status jako niepodzielnej stolicy kraju potwierdzony został na mocy ustawy w 1980 r. Jednak za lokalizacją ambasad w Tel Awiwie lub Hajfie krył się symboliczny sprzeciw społeczności międzynarodowej wobec aneksji miasta. Uznanie Jerozolimy za stolicę Izraela rozumiane jest natomiast jako akceptacja niezgodnego z prawem międzynarodowym *status quo*. Według Palestyńczyków ta decyzja oznacza również zielone światło dla dalszych posunięć Izraela – takich jak wyburzenia i przymusowe przesiedlenia beduińskich wsi w celu połączenia Jerozolimy z izraelskimi koloniami czy rozbudowa muru, który oddziela ją od Zachodniego Brzegu.

DOM MUREM PODZIELONY

Gdy tylko echa pierwszej wojny izraelsko-arabskiej przycichły, Izrael rozpoczął poszerzanie granic Jerozolimy na zachód, a po zajęciu nowych terytoriów w 1967 r. również na wschód, włączając do niej okoliczne

palestyńskie wioski. W latach 80. na izraelskiej scenie politycznej zaczęło funkcjonować pojęcie Jerozolima Większa (ang. *Greater Jerusalem*) czy Metropolitalna Jerozolima, służące do opisanego nie tylko miasta, które rezolucja ONZ chciała widzieć jako *corpus separatum*, ale również otaczającego je obszaru, częściowo tylko leżącego w granicach Izraela, a w znacznym stopniu należącego do okupowanego Zachodniego Brzegu.

Khan al-Ahmar, wraz z otaczającymi ją koloniami Ma'ale Adummim, Kefar Adummim, Alon czy Nofe Perat, znalazła się w granicach obu wspomnianych obszarów. Według izraelskich planów całą Jerozolimę Większą – mimo że jej część znajduje się po palestyńskiej stronie zielonej linii – ma otoczyć mur, nazwany przez Ariela Szarona barierą ochronną. Palestyńczycy nazywają go raczej murem aneksji lub murem apartheidu.

Bez względu na to, jakiego słowa użyjemy do określenia tej żelazobetonowej konstrukcji, której długość ma wynieść 712 km, wystarczy spojrzeć na mapę, by zauważyć, że konsekwencją budowy muru jest izolacja wielu palestyńskich wsi i miasteczek znajdujących się między nim a zieloną linią oddzielającą Palestynę od Izraela lub przymusowe przesiedlenie ich mieszkańców. Mur ma się wciąć daleko w głąb Zachodniego Brzegu, okrążając beduińską wioskę i sąsiednie

żydowskie osiedla. Jednak już teraz często nie tyle otacza Zachodni Brzeg, ile przecina jego teren, szatkuje go, nie pokrywając się z zieloną linią. Aż 85% konstrukcji wybudowano na terenie Zachodniego Brzegu. Latynoamerykański pisarz i noblista Mario Vargas Llosa już w 2005 r. w książce „Izrael – Palestyna. Pokój czy święta wojna” zauważał, że podstawową przyczyną wznoszenia bariery jest „chęć zdobycia dla Izraela znacznej części okupowanych terytoriów, odgródzenia jednych miast od drugich, tak by stały się niemal gettami, i poszatkowania Zachodniego Brzegu w taki sposób, żeby ewentualne państwo palestyńskie na tych terenach urodziło się na wpół uduszone, skazane na totalny bezwład administracyjny i ekonomiczny”.

Także Palestyńczycy chcieliby widzieć w Jerozolimie – a właściwie w jej wschodniej części – stolicę swojego państwa. Gdy jednak od Zachodniego Brzegu ostatecznie oddzieli ją mur, a w miejscu pasterskiej wioski powstanie infrastruktura służąca osadnikom, będzie to zupełnie nierealne.

W proces pokojowy mało kto już wierzy. Jak tu wierzyć w cokolwiek, kiedy raz za razem, od lat, ziemie Palestyńczyków są przecinane i dzielone? Izraelskie buldożery w Khan al-Ahmar mogą nie tylko zniszczyć blaszane chaty i namioty beduinów, ale także ostatecznie pogrzebać i tak będący w impasie proces pokojowy. ■



Stare miasto to gotowa scenografia do filmu.

DOBRA ZMIANA W MATERZE

Europejska Stolica Kultury 2019 do niedawna była nazywana hańbą Włoch

Paweł Drąg
Korespondencja z Włoch

Powieściopisarz Carlo Levi zauważył przed laty, że wizyta w Materze pozostawia w człowieku trwały ślad „smutnego piękna”. Inaczej swoje doświadczenia ujęła pisarka Licia Troisi, twierdząc, że to miasto „ucieka od każdej definicji”. Przede wszystkim ze względu na mnogość emocji, jakich można doświadczyć podczas spaceru starożytnymi ulicami. To od człowieka i stanu jego wnętrza zależy więc, którą część duszy skradnie Matera i co przed nim otworzy. Ale jednego można być pewnym – Matera dzieli się na dwa światy. Pierwszy to czyste, spokojne i uporządkowane architektonicznie miasteczko, w którym wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Tak jakby nikt nie musiał nigdzie się śpieszyć. To Włochy z klasycznych opowieści, z wiecznie zapelnionymi kawiarniami, skąd dobiega gwar rozmów i zapach espresso, ze starszymi ludźmi grającymi w karty w zaułkach ulic; Włochy emanujące szacunkiem dla kultury i sztuki. *Bella vita*. Ten obraz jest prawdziwy, ale tylko wtedy, kiedy nie znajdujemy się w pobliżu wielkiego placu budowy, który od kilku lat jest drugim obliczem miasta.

W 2019 r. Matera stanie się Europejską Stolicą Kultury, dzieląc ten tytuł z bułgarskim Płowdiwem. W rywalizacji pokonała 21 innych kandydatów. Komisja oceniająca propozycję była pod wrażeniem entuzjazmu i innowacyjności władarzy miasta. Jury doceniło uwagę poświęconą technologii cyfrowej, która coraz intensywniej dociera do masowej świadomości również na polu działań kulturalnych. Program obejmuje internetowy kanał telewizyjny, digitalizację archiwów dziedzictwa kulturowego oraz uczenie młodych ludzi języków programowania. Komisja przeanalizowała prognozy wzrostu liczby turystów z 200 tys. do 600 tys., nie zapominając o tym,

19 stycznia wszystkie oczy będą zwrócone na Materę, bo właśnie wtedy odbędzie się oficjalne nadanie miana Europejskiej Stolicy Kultury. Tytuł ten powraca do Włoch po 15 latach – w 2004 r. Stolicą Kultury była Genua. Cały program obraca się wokół pięciu tematów, które podobno wpłynęły na decyzję komisji. – Pod względem lokalizacji program rozszerzy się z Sassi (historycznego centrum) na peryferie Materzy. Aby połączyć te dwie części, które żyją niezależnie, stworzyliśmy pięć ścieżek powiązanych z głównymi tematami programu. Ścieżki przecinają obszar często zaniedbane, a same działania będą miały również pozytyw-

W 2017 r. „New York Times” umieścił Materę na trzeciej pozycji wśród miejsc wartych odwiedzenia.

jak wpłynie to na wrażliwy ekosystem regionu. Kluczowe były jednak, jak niemal zawsze, finanse. Region Basilicata w 2014 r. przydzielił Materze 25 mln euro bez względu na wynik głosowania, z możliwością zmiany tej kwoty w przyszłości. Tym samym program miast kandydujących stał się częścią planu strategicznego – tu już nie chodziło o zwykłe uczestnictwo w konkursie, aby zdobyć rozgłos.

ny wpływ na cały region Basilicata – wyjaśniała Ariane Bieou, kierownik ds. kultury w Fundacji Matera-Basilicata 2019.

W ostatnich latach Matera cieszy się coraz większym zainteresowaniem turystów. W 2017 r. „New York Times” umieścił ją na trzeciej pozycji wśród miejsc wartych odwiedzenia. Wtedy też liczba gości wzrosła z 250 tys. do 281 tys. rocznie.

Nie wszystko idzie jednak zgodnie z planem. Już teraz wiadomo, że opóźni się oddanie do użytku drogi krajowej łączącej Materę z lotniskiem Palese i miastem Bari. Połączenie z siecią kolei dużych prędkości, która dociera do Salerno, również nie zostanie ukończona na czas. Ale większość przygotowań wyjątkowo przebiega zgodnie z oczekiwaniami. – Władze miasta chcą, by Matera stała się wielkim centrum technologicznym, które może przyciągnąć inwestycje w dziedzinie nowych technologii. Sama turystyka nie może zagwarantować przyszłości miastu. Dlatego inwestujemy w zróżnicowaną gospodarkę – zapewnia burmistrz Raffaello De Ruggieri.

W 1993 r. Matera znalazła się na liście światowego dziedzictwa UNESCO i została opisana jako „najwybitniejszy, nienaruszony przykład osadnictwa w regionie śródziemnomorskim, doskonale dostosowany do jego terenu i ekosystemu”. Miasto bowiem leży w stanowiącym naturalną fortecę stromym wąwozie Gravina i dzięki temu jest zamieszkane nieprzerwanie od ok. 9 tys. lat. Wszelkie próby napaści były zazwyczaj nieudane, bo wąwóz okazywał się nie do przejścia dla najeźdźców.

Matera prawdopodobnie istniała już w paleolicie. Groty wydrążone w skałach stały się wtedy domami, w których system kanałów regulował przepływ wody i nieczystości. Już w VII w. zamieszkujący te tereny benedyktyni i bazylianie tworzyli naskalne malowidła. W 1663 r. miasto zostało stolicą Basilicaty, jednak utraciło to miano na rzecz Potenzy w 1806 r. Jednocześnie bardzo szybko rosła jego populacja, a najbiedniejsi obywatele znaleźli je-

dyne słuszne, wydawać by się mogło, wyjście z tej sytuacji. Otóż zamieszkali w jaskiniach pierwotnie przeznaczonych dla zwierząt. Warunki były bardzo trudne. Nie mieli tam dostępu do wody ani kanalizacji, a świeże powietrze i światło wpadały jedynie przez drzwi i niewielkie okno, umieszczone zazwyczaj tuż nad nimi. W tradycyjnej rodzinie było co najmniej sześćoro dzieci, ale średnio co drugie umierało. Chowano je w zagłębieniach w podłożu skalnym, niedaleko wejść do grot.

Gdy wybuchł skandal, uznano, że problemu miasta nie da się naprawić za pomocą kanalizacji i przepisów.

Gęsto utkane na ścianie wąwozu siedziby tworzyły jedną tkankę mieszkalką. Często dach jednego pomieszczenia był jednocześnie podłogą drugiego. Aby dostać się do domu na górze, trzeba było przejść po dachu domu na dole. Obecnie wiele z tych dachów służy jako ogródki lub suszarnie, a pomiędzy domami wiją się strome schodki.

Ludzie żyli tak przez dekady. Dopiero w latach 50. zaczęło się to zmieniać, a mieszkańcy musieli opuścić swoje *sassi*, czyli domy w jaskiniach. Właśnie wtedy Materę nazywano „hańbą Włoch”.

Prawdziwy wstrząs nastąpił po publikacji książki Carla Leviego „Chrystus zatrzymał się w Eboli”, gdzie znalazł się fragment wspomnień siostry pisarza dotyczący Mater: „Drzwi były z powodu gorąca pootwierane. Przechodząc, zaglądałam do wnętrza, które nie miały żadnych okien, tylko drzwi dostarczające powietrza i światła. Czasem nie było nawet drzwi. Wchodziło się z góry po

schodkach i zasuwało otwór. W owych ciemnych dziurach o ścianach z ziemi widziałam łóżka, nędzne graty i łachmany. Na podłodze leżały psy, barany, kozy i świny. Każda rodzina ma do rozporządzenia jedną taką jamę i sypiają tu wszyscy razem: mężczyźni, kobiety, dzieci i zwierzęta. W ten sposób żyje 20 tys. ludzi. Dzieci bez liku. W upale, w chmarach much, w kurzu jest ich pełno wszędzie, zupełnie nagich albo okrytych jakimś łachmanem. Nie widziałam nigdy takiego obrazu nędzy,

a przecież jestem przyzwyczajona już, z racji mego zawodu, mieć do czynienia co dnia z dziesiątkami dzieci biednych, chorych i źle utrzymanych. O tak rozpaczliwym widowisku nie miałam jednak pojęcia. Patrząc na dzieci siedzące przy drzwiach w gnoju, w słońcu, z oczyma na pół przymkniętymi, o powiekach czerwonych i nabrzmiałych. Muchy wciskały się do chorych oczu, a dzieci nie czuły, że im muchy włożą do oczodołów. To była jaglica. Wiedziałam, że tu panuje, ale widok choroby był tak strasznym brudzie i w tej nędzy był przejmujący. Spotkałam też inne dzieci, z twarzami pomarszczonymi jak u ludzi starych i wysuszonych z głodu, o włosach pełnych wszy i nieczystości. Większość z nich miała brzuchy wzdęte, olbrzymie, a twarze żółte i cierpiące wskutek malarii. Kobiety, widząc, że zaglądam przez drzwi, zapraszały mnie do wejścia. Widziałam więc w tych jaskiniach ciemnych i cuchnących leżące na ziemi dzieci, przykryte jakimś łachmanem i dzwoniące zębami w ataku ▶



Tytuł Europejskiej Stolicy Kultury zobowiązuje.

► febrę. Inne znów wyniszczała do ostateczności czerwotka. (...) W tym prąjącym słońcu miałam chwilami wrażenie, że znalazłam się w środku miasta dotkniętego zarazą. Schodziłam coraz głębiej w kierunku kościoła, a w oddaleniu kilku kroków towarzyszyła mi chmara dzieci. (...) Doszliśmy w końcu do dna owego wąwozu i do pięknego, barokowego kościoła Matki Bożej z Idris; i tam dopiero wznosząc oczy w górę zobaczyłam nareszcie całą Materę. Było to istotnie prawdziwe miasto. Fronty wszystkich jaskiń, które stąd wydają się domami, są białe i równe, a otwory drzwi spoglądają jak czarne oczy w dal. Śliczne, malownicze miasto”.

Po publikacji we Włoszech wybuchł skandal. Uznano, że problemu nie da się naprawić za pomocą kanalizacji i przepisów porządkowych, że konieczne są przymusowe przesiedlenia mieszkańców *sassi*. Często odbywało się to siłą, wbrew ich woli. Ale nocą wracali do opuszczonych mieszkań, licząc, że rząd da im spokój.

Jakkolwiek kontrowersyjnie to zabrzmiało, uparczywa chęć pomocy oznaczała mimowolną śmierć kultury *vici-*

nato. W ten sposób określano zespół domów, których drzwi wychodziły na główne podwórko, gdzie spotykała się grupa sąsiadów, nawet 70-100 osób. Zazwyczaj w takich miejscach znajdowały się piec chlebowy i studnia. Te zamknięte terytoria służyły nawiązywaniu trwałych relacji, zabawie, szyciu, wyplataniu koszy, praniu – po prostu wspólnemu życiu, jak w gigantycznej rodzinie. W wyniku przesiedleń środowiska te rozdzielono, a opustoszałe mieszkania popadały w ruinę.

Ratunek przyszedł z nieoczekiwanej strony. W Materze kręcone były m.in. „Ewangelia według św. Mateusza”, „Król Dawid”, a także „Sprzedawca marzeń” i „Ben Hur”. Najwięcej sławy miastu przysporzyła jednak „Pasja” Mela Gibsona. „Gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, straciłem głowę, bo była po prostu idealna”, powiedział o Materze w jednym z wywiadów. Trudno mu się dziwić. Naukowcy od lat przekonywali, że *sassi* przypominają Ziemię Świętą, nawet bardziej niż współczesna Jerozolima. Gibson mógł więc zrezygnować z większej scenografii – stwo-

rzyło ją samo życie. Zresztą gdyby chciał coś zmienić, nie miałby takiej możliwości. W zabytkach UNESCO nie wolno wprowadzać trwałych zmian, a wszystkie prace restauratorskie powinny być wykonywane z zachowaniem oryginalnego kształtu i charakteru danego miejsca. „Pasja” spowodowała, że świat dowiedział się o Materze. Wtedy też zaczął się proces odrestaurowywania *sassi*, jednocześnie zadbano o stare freski.

Matera ma ok. 60 tys. mieszkańców, w *sassi* żyje dziś 2 tys. osób, kultywując tradycję i walcząc z namolnymi gapiami. Jeśli rzeczywiście wzrośnie liczba zwiedzających, z pewnością będzie to trudniejsze. Argumenty, aby pozostać wiernym historii, mieszczą się również w aspektach ekonomicznych. Stuletnia dzierżawa była darmowa, jedynym obowiązkiem mieszkańców stało się odrestaurowanie domu zgodnie z wytycznymi, oczywiście dzięki funduszom rządowym i unijnym. Teraz pojawi się okazja dodatkowego zarobku – przy udziale portfeli turystów.

Paweł Drąg



unicef
dla każdego dziecka

Umieram z głodu

Uratuj dziecko takie jak Lemi!

Trwa kryzys żywnościowy w Sudanie Południowym.
Wpłać darowiznę na unicef.pl/sudan

Czaputowicz eksterminator

No to Jacek Czaputowicz przeszedł do historii. Tak jak Antoni Macierewicz rozwalił wojsko i tajne służby wojskowe, tak Czaputowicz będzie tym, który do końca wyczyści MSZ. Ma do tego narzędzie – prezydent Andrzej Duda podpisał nowelizację ustaw o służbie zagranicznej, a także o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944-1990 oraz treści tych dokumentów. Ustawy te zakładają m.in., że w MSZ nie będą mogły być zatrudnione osoby, które między 22 lipca 1944 r. a 31 lipca 1990 r. pracowały lub pełniły służbę w organach bezpieczeństwa państwa, bądź były współpracownikami tych organów.

I to z automatu, bo ich stosunek pracy automatycznie wygasa po upływie 60 dni od wejścia ustawy w życie.

Bardzo to zresztą ucieszyło ministra Czaputowicza, który nie omieszkął powiedzieć, że podpisana przez prezydenta ustawa jest „ważnym, symbolicznym znakiem 30 lat po 1989 roku”. Chociaż, jak ze smutkiem dodał, nowe przepisy będą miały charakter symboliczny, ponieważ osób związanych ze służbami PRL, których dawniej było w resorcie spraw zagranicznych „bardzo dużo”, obecnie „zostało kilkadziesiąt” i odejdą one z MSZ, będąc w wieku „tuż przedemerytalnym”.

Czaputowicz, Duda, PiS, a także część PO mają więc radość, że wyrzuci, „tuż przed emeryturą” kilkadziesiąt osób, które pracowały w służbach PRL bądź z nimi współpracowały. Ta radość to albo defekt mózgu, albo jakaś inna gra.

Oto bowiem Czaputowicz chce ukarać urzędników za coś sprzed 30 lat. Przedawnienia nie stosuje. Ci ludzie

weryfikowali swój patriotyzm i lojalność wobec III RP przez prawie 30 lat, niemal całe zawodowe życie. Wprowadzali Polskę do NATO, do Unii Europejskiej, współpracowali w ramach różnych programów z USA i innymi państwami Zachodu, byli odznaczani, nagradzani. Okazuje się, że nie ma to żadnego znaczenia. Że won.

To jest postawa psychopatyczna.

Dodam jeszcze, już na marginesie, że więcej Polaka zawdzięcza tym, których PiS wywala teraz na zbity pysk, niż Czaputowiczowi i innym pisowskim żołnierzom. Ale w atmosferze dintojry na takie rzeczy mało kto zwraca uwagę.

I jeszcze jedna uwaga – służba dyplomatyczna na całym świecie przenika się ze służbą tajną, tego nie da się rozkleić. Także i dziś funkcjonariuszy wywiadu cywilnego i wojskowego jest w MSZ nie mniej niż w czasach PRL. I konflikty są takie same. Po co więc te słowa potępienia? Czaputowicz wprowadza jakieś dziwne kategorie, zamiast jednej, najprostszej – albo ktoś był dobrym dyplomatą i Polska miała z niego korzyść, albo słabym. I tyle. Nie w życiorysach trzeba więc grzebać, ale w nadsyłanych dokumentach i opracowaniach.

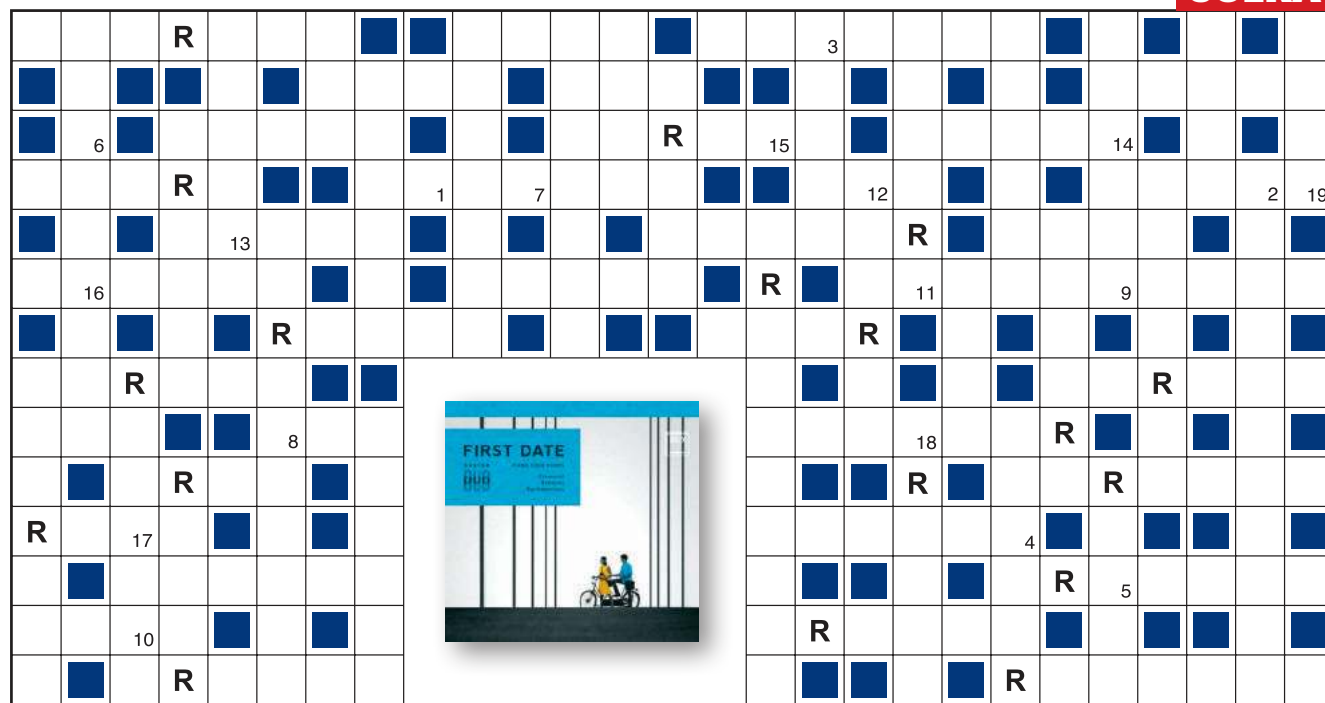
Nowa pisowska władza tego nie robi, woli wysłać za granicę dyletanta, nawet takiego, który Polskę ośmiesza, niż kogoś nie swojego. Dla niej np. Andrzej Przyłębski w ogóle z SB nie współpracował, jest czysty jak lelija, więc ustawa go nie obejmie, za to ktoś nie z PiS jest z zasady podejrzany.

Ot i cały zamysł. Trochę się zemścić, poujadać, zając czyjeś miejsce i potem iść do kasy. Fui!

Attaché



Lokal wyborczy w Gomie w Demokratycznej Republice Konga. Wybory prezydenckie to szansa na pierwsze pokojowe przekazanie władzy od uzyskania niepodległości w 1960 r. Wyniki mają być ogłoszone 15 stycznia.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- klóczył się o niego Afrodyta i Persefona
- ...Zaryan, wokalistka jazzowa
- japońska sztuka samoobrony
- królik, koza lub tygodnik
- ukochana Aragorna z „Władcy pierścieni”
- dostojnik w imperium osmańskim
- gryzoń budujący tamy
- jednostka masy, w średniowieczu głównie w północnej Europie
- ocalił Piętaszka
- beznoga larwa błonkówek
- pikowa u Puszkina, kameliowa u Dumasa
- osobowe chronione dzięki RODO
- z Majorki lub z Bordeaux wśród psów

- gra i strój maskaradowy
- zwolnienie lub ustąpienie ze stanowiska
- znany z ról Dodka, Hipka, Florka
- elektroda tranzystora
- imię Molnarowskiego Nemeczka
- kawał tiulu lub etaminy w oknie
- półwysep z przylądkiem Canaveral
- ptak krukowaty lub niedoszła korweta
- można mówić jednym
- gieldowy lub skrzydłowy
- szczypta soli albo garść orzechów
- znawca win, obrazów
- „...Duch” Słowackiego
- o charakterystycznych dla danego kraju potrawach
- Ang... reżyser „Życia Pi”
- używany przy zmianie koła
- afrykański laciaty psowaty
- pomieszczenie, siedziba, mieszkanie
- i archipelag, i ciastka
- ichtiolowa w tubce
- nazywany gazem kopalnianym
- zapłaty, rewizji, aresztowania
- mogą być iksowate
- gdy posłowie debatują
- honorowa „Zasłużony dla Kultury Polskiej”
- boczne skrzydło kamienicy
- krewniak żyrafy z lasów dorzecza Konga
- imię balwanka z „Krainy Łodu”
- geostacjonarna ze sztucznymi satelitami
- ważna i wpływała to VIP
- pomocnicze wyposażenie urzędnika
- kojarzy się z dziurą i burzą
- roślinny albo bardzo szybki ruch
- koszulka z kołnierzykiem i krótkim zapięciem

- śledzi lot samolotów
- outdoorowa np. na billboardach
- czyjś udział i znaczenie w jakimś przedsięwzięciu
- i plan, i układ, i rozpad
- honorową wykonuje zwycięzca
- „...o mych smutnych dziwkach” Marqueza
- zmienianie pary lub gazu w ciecz
- między zdrowiem a pomyślnością
- pióra otaczające oczy sów
- nie wszystkim przysługują
- tip...
- ćwiczenie umiejętności, nie tylko w sporcie
- jedzie na dostatecznych
- przytulenie, podanie sobie dłoni
- tam się zajmą składem po odczepieniu lokomotywy
- zwyczaj związany z najkrótszą nocą
- chlebowy to zaczyn
- i odgłos, i sprzeczka

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-891”. Do rozlosowania CD „First date” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 stycznia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-888” z 20 grudnia: Życie zmienia ludzi.

Nagrody otrzymują: Zofia Biszeńska ze Szczecina, Józef Dymalski z Wrocławia, Janina Stańczak-Osińska z Jeleniej Góry.

PENETRACJE

ZDANIE

BP TADEUSZ PIERONEK

Kościół przeżywa obecnie ciężkie chwile, padają różne zarzuty pod adresem Wojtyły, ale przecież w wielu sprawach papieża wprowadzano w błąd. Jeden raz powiedział coś o Radiu Maryja, a oni do dziś powtarzają to bez przerwy. Nauczanie Jana Pawła jest ciągle wykoślawiane i efekty tego widać. Dyktaturę już mamy! A konsekwencje tego poznamy niebawem. Najgorszą rzeczą, jaka mogłaby nam się przydarzyć, byłoby wyjście z Unii Europejskiej, której gorącym rzecznikiem był przecież nasz papież. A jeśli ktoś mówi, że UE to wspólnota wyimaginowana, z której mamy niewiele pożytku, to... na takie *dictum* ręce opadają.

PLAYBOY

JERZY OWSIAK,
ZAŁOŻYCIEL I PREZES
FUNDACJI WOŚP

W trzy lata „dobrej zmiany” Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy została wygumkowana z mapy polskich wydarzeń wspieranych przez rząd. Z udziału w naszym wydarzeniu wycofały się wszystkie spółki skarbu państwa. LOT kiedyś latał z wielkim serduszkami, teraz już nie. Radio i telewizja publiczna zdjęły nas z anten, a informacja o rekordowej zbiórce Orkiestry przeszła do historii TVP jako najszybciej wygłoszony news na antenie. Był tak szybki, że poza Ziemcem niewiele osób go zauważyło.

POLSKA

JAN A.P. KACZMAREK,
KOMPONENT

Nie potrafię pojąć, w jaki sposób niepostrzeżenie neoliberalizm mógł się stać dominującą doktryną polityczną. To nabrało tempa, gdy prezydentem USA był Ronald Reagan. To on rozpoczął proces deregulacji, odbierania przywilejów klasie średniej na rzecz wielkiego kapitału i globalnych korporacji. W ten sposób zakończył się okres prosperity, kiedy z owoców wzrostu korzystali właściwie wszyscy. 30 lat nieustannej prosperity klasy średniej w USA i Europie Zachodniej brało się m.in. z tego, że się bano Związku Radzieckiego i ideologii komunistycznej. Kapitalizm dzielił się bogactwem, bojąc się rewolucji. Kiedy upadł ZSRR, można było bezkarnie powoli odbierać te przywileje.

STYL

DOROTA KOLAK,
AKTORKA

Mąż w sezonie boi się ze mną iść nad wodę, bo ciągle z kimś się kłócę o ekologię. Żeby letnicy nie myli się mydłem, bo zatrują ryby. Żeby nie wrzucali petów, bo łabędzie się zadławiają. Lubię spacerować po lesie, nazywam to wietrzeniem duszy. Idę, gadam do siebie, uczę się roli. W ogóle jestem wędrowcem. Nie mam prawa jazdy, chodzę do tramwaju, do teatru. Wsiadam przystanek wcześniej, by się przejść, zobaczyć coś nowego. W obcych miastach lubię się powalać, zgubić.

Aby język giętki...

BRONISŁAW KOMOROWSKI
O ŚRODOWISKU PIŚ

Niektórych z nich znam. To są albo kompletni cynicy, albo fanatycy.

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI
O ORIENTACJI SEKSUALNEJ POLITYKÓW

Gdyby się upubliczniło, kto jaki jest naprawdę w relacjach seksualnych, mielibyśmy trzęsienie ziemi.

ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI
O PRZEMIJANIU

Zauważyłem, że młode kobiety, które proszą mnie o dedykację czy autograf, mówią, że proszą nie dla siebie, ale dla mamy czy babci.

ALEKSANDRA KURZAK
O RODZINNYCH ROZMOWACH

My z Robertem (Alagną) rozmawiamy po włosku. Córka Malena z tatą po francusku, a ze mną po polsku. Przy niej i ja zaczęłam mówić po francusku.

SZCZEPAN TWARDOCH
O WYDAWANIU

Jestem rozrzutny. Co zarobię, to wydaję, bo lepiej żyć, niż mieć.

PROF. ŁUKASZ TURSKI O TAM-TAMACH

Czym różni się internet od komunikacji za pomocą bębnow w Afryce? Idea jest dokładnie ta sama.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ
O PAWLE KUKIZIE

Jest niezdolny do kontrolowania swoich nałogów i odrażająco wulgarnego języka.

PAWEŁ SOŁTYS (PABLOPAVO)
O PÓŹNYM DEBIUCIE

Przez lata byłem obsesyjnym czytelnikiem, a to jest dla pisarza niebezpieczne, bo można ulec czyjejś frazie.

AGNIESZKA HOLLAND
O PUBLICZNOŚCI

Przez to, że głośno wypowiadam się na tematy polityczne, duża część widzów nigdy na mój film nie pójdzie.

KRYSTYNA STOCH O SYNU KAMILU

Gdy miał 11 lat, skoczył 128 m na Dużej Krokwi w Zakopanem i powiedział, że chciałby zdobyć medal olimpijski.



Noworoczne pozdrowienia z Pałacu Cesarskiego. Cesarz Akihito zapowiedział, że abdykuje 30 kwietnia – w Japonii to pierwsza abdykacja od 200 lat. Tron obejmie 57-letni książę Naruhito (z prawej).

Tysiącletnia grzechotka

Na jednej z wysp na Pojezierzu Myśliborskim w Zachodniopomorskiem archeolodzy odkryli średniowieczną glinianą pisanekę-grzechotkę wielkości kurzego jaja. Naukowcy szacują, że ozdobiony krzyżami zabytek ma około tysiąca lat. Wewnątrz grzechotki znajdują się grudki gliny, dzięki czemu przy potrząsaniu wydaje ona charakterystyczne dźwięki. Archeolodzy nie podają dokładnej lokalizacji znaleziska ze względu na ochronę terenu przed łowcami skarbów.

Nowy słownik dla scrabblistów

Już nie „English Oxford Dictionary” będzie rozstrzygać spory brytyjskich i anglojęzycznych scrabblistów, lecz nowy słownik dla graczy, który w krótko ukaże się na rynku. Wraz z jego publikacją dozwolone będzie używanie słów do tej pory nieznanych lub zakazanych, m.in. pochodzących ze slangu czy mediów społecznościowych. Znajdą się w nim np. słowo *bae*, będące slangowym określeniem kogoś ważnego, jak partner czy partnerka, oraz *zen*, oznaczające uczucie bycia spokojnym i zrelaksowanym (to słowo szczególnie cenne dla anglojęzycznych graczy, literka z jest tam bowiem wysoko punktowana). Zaktualizowany słownik będzie zawierał przeszło 4,5 tys. nowych słów, które odzwierciedlają zmiany językowe, jakie zaszły w ostatnich kilku latach.

Kłopotliwy uścisk dłoni

Władze Danii będą wymagać od nowych obywateli kraju, aby w czasie ceremonii nadania im obywatelstwa wymie-



nili uściski dłoni z urzędnikami. Nowe prawo, które wejdzie w życie 1 stycznia 2019 r., obejmie również muzułmanów, którzy ze względów religijnych odmawiają dotykania przedstawicieli płci przeciwnej. Wymóg ten krytykuje wielu burmistrzów, którzy skarżą się, że prowadząc ceremonię, będą musieli stać się twarzą polityki, niezależnie od własnych poglądów.

Nie z zoologicznego

Wielka Brytania zamierza wprowadzić zakaz sprzedaży szczeniaków i kociąt przez sklepy zoologiczne. Projekt poparło 95% uczestników konsultacji społecznych. Nowe prawo zakłada, że każdy, kto chce kupić lub adoptować szczeniaka lub kociaka poniżej szóstego miesiąca życia, musi skontaktować się bezpośrednio z hodowcą lub schroniskiem.

Droższe bilety do Tadź Mahal

Jeden z siedmiu nowych cudów świata, indyjskie mauzoleum Tadź Mahal odwiedzają każdego roku miliony turystów, głównie Hindusów. Ogromny przepływ ludzi powoduje nieodwracalne uszkodzenia podłogi i ścian wykonanych z marmuru, a nawet osłabienie fundamentów słynnej świątyni miłości. Chcąc ograniczyć liczbę odwiedzających, władze Indii podniosły cenę biletu dla Hindusów z 50 do 250 rupii (3,6 dol.), pozostawiając bez zmian cenę dla pozostałych turystów – 19 dol. Wyliczono, że zmniejszy to o 15-20% liczbę odwiedzających, a jednocześnie zwiększy dochód z biletów.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Barbie skończyła 60 lat, każdego roku w ponad 150 krajach sprzedaje się 58 mln tych lalek. Centrum projektowe firmy Mattel, producenta zabawek o najwyższych przychodach na świecie.

Nieoczekiwana zniżka

Linie lotnicze Cathay Pacific Airways popełniły bardzo kosztowny błąd. Sprzedały bilety na połączenie z Wietnamu do Kanady w klasach pierwszej i biznesowej za cenę biletów w klasie ekonomicznej. Przewoźnik wziął na siebie winę i obiecał, że zrealizuje połączenia bez korekty cen biletów. Błąd w cenie pozwolił zarezerwować bilety na lot z Da Nang w Wietnamie do Nowego Jorku w sierpniu za zaledwie 675 dol. (2,5 tys. zł), podczas gdy cena biletów w klasie biznes w tym okresie kształtuje się na poziomie 16 tys. dol. (ponad 60 tys. zł) w obie strony.

Nowozelandczycy chcą marihuany

W Nowej Zelandii wybory parlamentarne w 2020 r. będą połączone z referendum w sprawie legalizacji rekreacyjnego palenia marihuany. Referendum było jednym z warunków, jakie postawili współtworzący rząd Jacindy Ardern (Partia Pracy) Zieloni przed przystąpieniem do rozmów koalicyjnych. Wynik referendum jest łatwy do przewidzenia, ponieważ sondaże mówią, że 65% Nowozelandczyków popiera legalizację rekreacyjnego palenia marihuany. Zanim to nastąpi, rząd podjął działania prowadzące do legalizacji medycznej marihuany.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biala)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

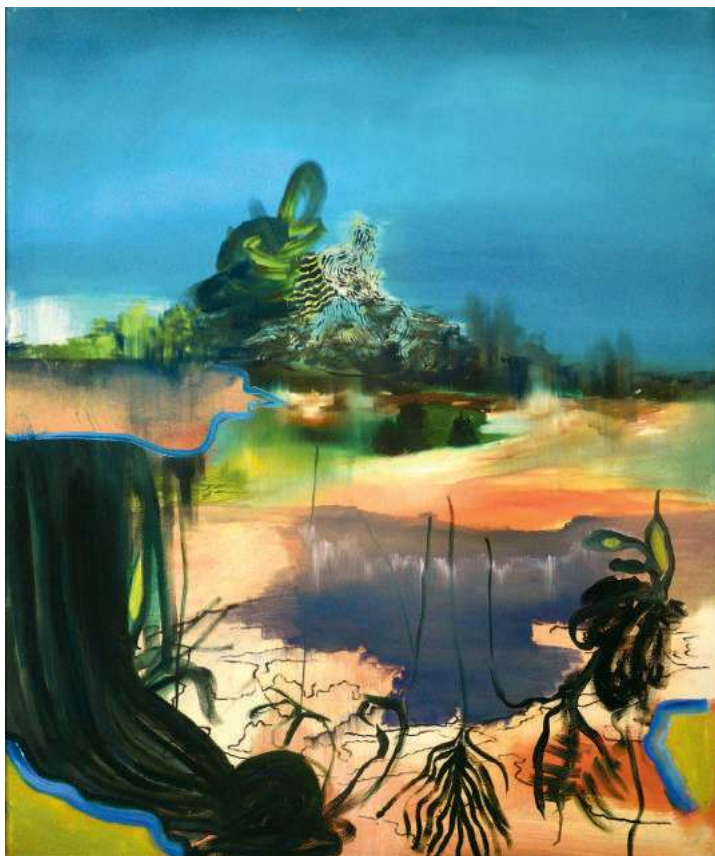
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Justyna Janikowska



Justyna Janikowska

artNOBLE 2017. Edukacyjny Festiwal Sztuki artNoble organizowany jest przez Fundację Kultury i Sztuki artHolding od 2012 r. Ma promować najzdolniejszych absolwentów — każda uczelnia artystyczna typuje trzy najlepsze prace dyplomowe. Kolejnym krokiem jest głosowanie, w którym bierze udział kapituła składająca się z ponad 40 osobistości świata nauki, kultury i sztuki. Najbardziej wyróżniające się „osobowości twórcze” otrzymują statuetkę 1-Art, przyznawaną w dwóch kategoriach: Muzyka i Plastyka. Wystawa prezentuje trójkę artystów nagrodzonych w konkursie artNoble 2017. Laureatem został Maciej Andrzejczak, a wyróżnienia otrzymali Justyna Janikowska i Szymon Ryczek.



**Mazowieckie
Centrum
Sztuki
Współczesnej
Elektrownia**
Radom,
ul. Kopernika 1
do 25 stycznia



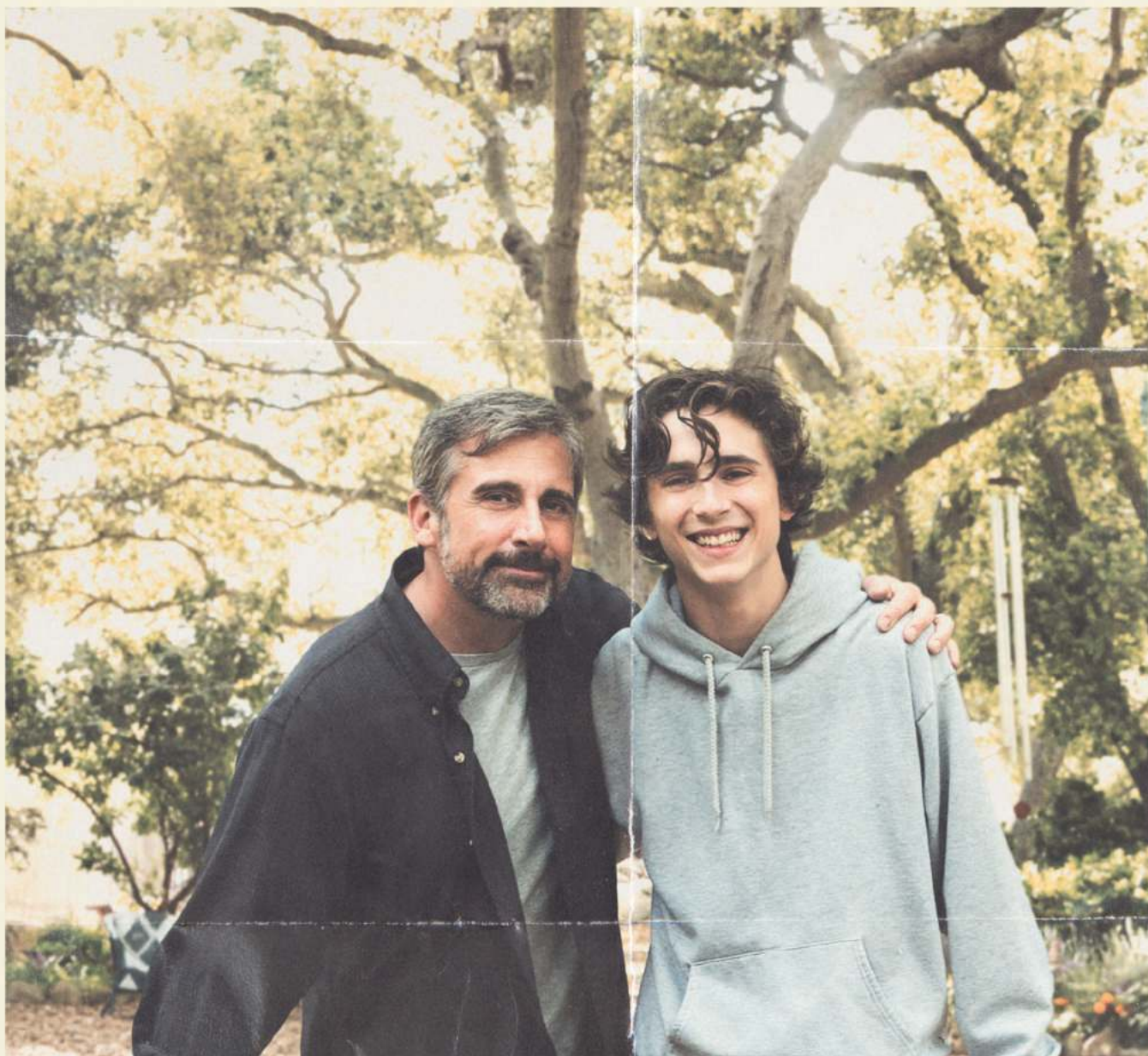
Justyna Janikowska



ZŁOTY GLOB

NOMINACJA

TIMOTHÉE CHALAMET



Steve Carell

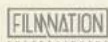
Timothée Chalamet

Maura Tierney

Amy Ryan

Mój piękny syn

AMAZON STUDIOS PRESENTS A PLAN B ENTERTAINMENT PRODUCTION STEVE CARELL TIMOTHÉE CHALAMET "BEAUTIFUL BOY" MAURA TIERNEY AND AMY RYAN CASTING BY FRÉDÉRIC MASSELER CSA MUSIC SUPERVISOR GARE HILFER COSTUME DESIGNER EMMA POTTER EDITOR NICO LEONEN PRODUCTION DESIGNER ETHAN TOOMAN DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY RUIJEN INFENS EXECUTIVE PRODUCERS NAW MOHALES AND SARAH ESBERG PRODUCED BY BOAD FETT P.E.A. DEDÉ GARDNER P.E.A. JEREMY KLEINER P.E.A. BASED ON THE BOOKS "BEAUTIFUL BOY" BY DAVID SHEFF AND "TOMMY" BY RUC SHEFF SCREENPLAY BY LUKE DAVIES AND FELIX VAN GRIENINGEN DIRECTED BY FELIX VAN GRIENINGEN © 2020 AMAZON STUDIOS. ALL RIGHTS RESERVED.



PLAN B

amazonstudios

112

w kinach



RAMEN. SMAK WSPOMNIENI

NAJLEPSZA UCZTA DLA NIENASYCONYCH SMAKOSZY
I NIEULECZALNYCH ROMANTYKÓW



W KINACH OD 11 STYCZNIA 2019

AURORA